

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Czy pieniądze dają szczęście?
- Jana: wojna zmieniła moje życie na lepsze
- Overbeek: Wojtyła wiedział
- Opowieść o miłości i śmierci
- Miliarderzy chcą zbawić ludzkość



WYSOKIE
OBCASY

Ghosting
Kiedy facet znika

Natalia de Barbaro:
Zatrzymaj się



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Jak PiS gra historią

RYŚ. MARCIN BONDAROWICZ

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Śmierć Stalina

Gdy nie wychodził z pokoju,
przestraszeni ochroniarze wysłali
służącą. Leżał w kałuży moczu



Chodziło nam o wolność dla wszystkich

Teresa Bogucka: W Marcu '68 weszłam
na ścieżkę, która stała się drogą

Andrzej Lubowski

F-16 w końcu polecą do Ukrainy

W obliczu długiej wojny Ukraina potrzebuje zachodnich myśliwców” – tak zatytułowała świeży komentarz Rada Redakcyjna „Washington Post”. Kilka dni wcześniej siedmiu kolejnych naczelników dowódców NATO w Europie napisało wspólnie: „Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, dla zwycięstwa Ukrainy”. „Dwukrotnie w minionym wieku USA wysłały miliony żołnierzy do Europy, by walczyć w wojnach, które początkowo zignorowaliśmy, przeciwko agresorom, którym się nie przeciwstawiono. Nie możemy znów popełnić tego błędu. Dziś jest czas dla Ameryki i jej sojuszników, aby sięgnąć głębiej i dać Ukrainie to, czego potrzebuje, aby wygrać. I aby zademonstrować, że Ameryka pozostaje wiodącą siłą wolności i sprawiedliwości na świecie”.

Chór wzywających do radykalnego zwiększenia pomocy wojskowej dla Kijowa rośnie z każdą godziną. „Powinniśmy zrobić więcej i zrobić to szybciej” – powiedziała premierka Finlandii Sanna Marin w Monachium. „Nie czekajmy, aż będzie za późno” – to słowa premiera Szwecji Ulf

Kristera. W Monachium zapewnienia o gotowości pomocy przepływały się z frustracją. Że za mało, za wolno. Bo obowiązująca dziś formułę po-

Chór wzywających do radykalnego zwiększenia pomocy wojskowej dla Kijowa rośnie z każdą godziną

mocy militarnej dla Ukrainy charakteryzują powolność i ostrożność. Zachodni eksperci wojskowi za wyolbrzymione uważają obawy, że F-16 staną się łatwym łupem rosyjskich rakiet ziemia-powietrze. To baterie tych rakiet byłyby głównym celem myśliwców. Ukraina dostała już od Ameryki rakiety antyradarowe, które osłabiają obronę przeciwnika. A doświadczonych ukraińskich pilotów można przeszkolić na nowych maszynach w górze pół roku. Brytyjski premier już zatwierdził szkolenie Ukraińców. Polska i Holandia wyraziły gotowość. Macron rozważa przekazanie Ukrainie myśliwców. Ale bez Waszyngtonu niewiele się wydarzy.

„Washington Post” przypomina, że rozdygotanie w sprawie broni dla Ukrainy służy interesom Putina. Dyktator liczy, że jego determinacja przetrzyma cierpliwość Zachodu. Biden, mimo ogromnej zasługi zmontowania koalicji i wszechstronnej pomocy dla Ukrainy, potęguje to ryzyko, wstrzymując decyzję w sprawie samolotów bojowych. A przecież jego administracja może postawić warunek, że Kijów nie użyje F-16 do ataku na terytorium Rosji. Zaś argument, że przekazanie myśliwców uszczupli arsenały państw NATO, odpada – podaź F-16 rośnie, bo wiele krajów Sojuszu przedstawia się na nowocześniejsze F-35.

Zachód powinien zacząć myśleć w kategoriach lat. Nawet gdyby udało się nie tylko odepchnąć Rosjan za linię sprzed 24 lutego 2022, ale też wygnać ich całkiem z Ukrainy, to zagrożenie z Moskwy będzie trwałym elementem krajobrazu. To oznacza potrzebę zbudowania Ukrainie mięśni pozwalających odstraszać wroga w dłuższej perspektywie. ●

Andrzej rysuje



Po trzęsieniu ziemi w Turcji Pluszowe serce kibica



Setki pluszaków wpadły na murawę stadionu Vodafone w Stambule. Ten deszcz zabawek spadł podczas tureckiej Super League, na meczu pomiędzy Besiktasem a Antalyaspor. Wszystkie misie i inne przytulanki trafią do dzieci dotkniętych tragedią trzęsienia ziemi z 6 lutego.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba dnia

11

MINUT RUCHU DZIENNE
Jak wyliczają uczeni, gdybyśmy wszyscy poświęcali choć tyle czasu na aktywność fizyczną, liczba zgonów z powodu niezakaźnych chorób przewlekłych spadła by aż o jedną dziesiątą

Naprawianie powieści Fleminga James Bond „uwrażliwiony”

Nie będzie to może wstrząs, ale najwierniejsi fani Iana Fleminga mogą być nieco zmieszani – nowe wydania powieści o przygodach Jamesa Bonda ukażą się w zmienionej wersji. Spadkobiercy pisarza i właściciele oficyny Ian Fleming Publications usunęli z nich niektóre fragmenty dotyczące mniejszości rasowych.

Jak donosi dziennik „The Telegraph”, w większości przypadków interwencje dotyczyły opisów mniejszości afrokaraimskiej. Nie chodzi tylko o usunięcie z tekstu rasistowskie określenie „nigger”, ale też w niektórych przypadkach samej informacji o pochodzeniu etnicznym postaci.

Zmieniony miał być też m.in. fragment, w którym agent 007 odwiedza klub w czarnej dzielnicy. W oryginalnej wersji powieści Bond widzi „publiczność dyszącą i chrząkającą jak świny przy korycie”, w nowej „czuje elektryzujące napięcie w pomieszczeniu”. W innym miejscu ze zdania „Całkiem praworządni facci, pomyślałbym, o ile za dużo nie wypiją” zniknęła ostatnia część.

Na początku każdej z książek ma się znaleźć informacja, że zo-



stały one napisane „w czasach, kiedy powszechne były określenia i postawy, które mogą zostać uznane za obraźliwe”, a tekst nowych wydań został zmieniony w sposób „jak najbliższy oryginalnej wersji i czasom, w jakich jest osadzona”.

Sugestie zmian w nowym wydaniu powieści Fleminga pochodzą od tzw. sensitive readers, recenzentów, którzy czytają tekst pod kątem problematycznych wątków. „Sprawdzają teksty przygotowane do wydania, by ocenić, czy obraz przedstawicieli tych mniejszości nie jest w nich przekłamany, czy tekst nie jest obraźliwy, oparty na stereotypach, szkodliwy” – tłumaczyła na łamach „Książek” Natalia Szostak. ●

Emilia Dłużewska

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Nie zatrzymamy się

Wojna wojną, ale panuje u nas porządek. Mamy bardzo mało przejazdów na gapę. Nie odwołaliśmy ani jednego pociągu pasażerskiego. Może z postojami, może mniej komfortowo, ale ludzie wiedzą, że dojadą.

Z Ołeksandrem Kamyszynem, prezesem Kolei Ukrainiekiej, rozmawiają Urszula Pieczek i Tomasz Kwaśniewski



Top 2 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Od soboty, 4 marca

Najciekawsze spektakle
z Polski

1 Plus sesja poświęcona Krystynie Jandzie – w Teatrze Powszechnym w Łodzi rozpoczyna się Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. W programie m.in. głośny musical „1989” o micie „Solidarności”, „Spartakus” w reżyserii Jakuba Skrzywanka, który mierzy się z tematem samobójstw nastolatków, i jako pokaz mistrzowski – „My Way” Jandy. Szczegóły: www.powszechny.pl



FOT. JAKUB WŁODEK, SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

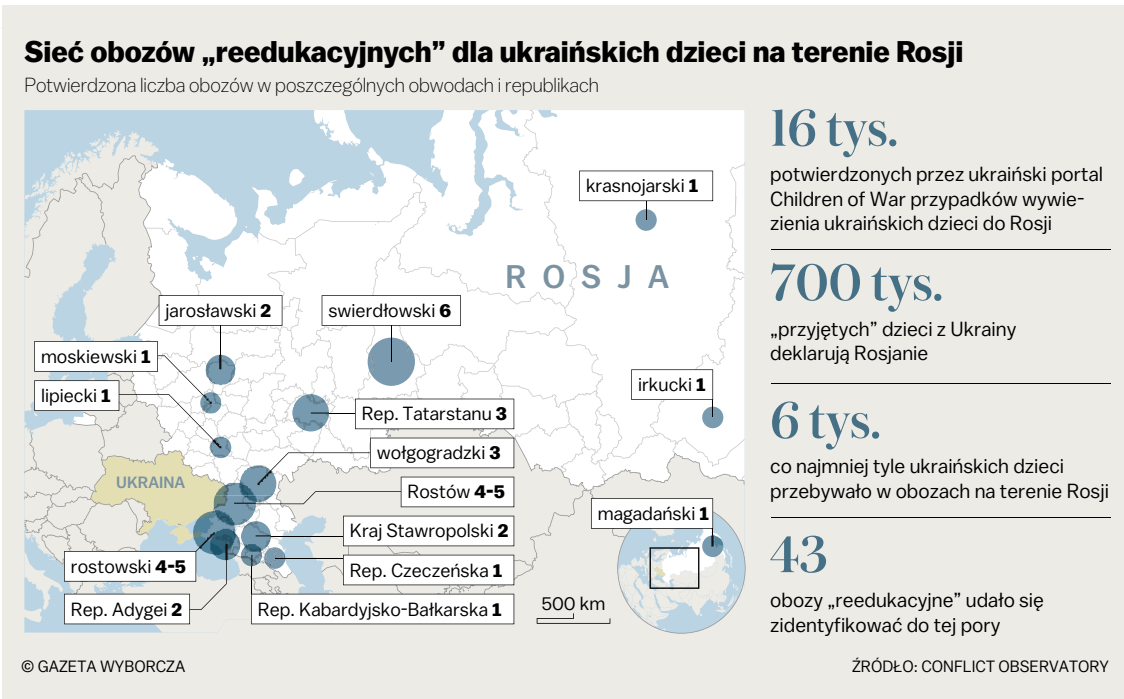
Środa, 8 marca

Kaja Godek nie odpuszcza

2 W Dzień Kobiet będzie pierwsze czytanie projektu antyaborcyjnej ustawy Kai Godek. W myśl proponowanych rozwiązań więzieniem – do dwóch lat – byłoby zagrożone nawet posiadanie ulotek o aborcji. PiS odcina się od projektu, rzecznik partii Rafał Bochenek już w grudniu stwierdził, że ustawa mogłaby się stać argumentem „dla środowisk skrajnie lewackich do liberalizacji prawa aborcyjnego”.



Wykres tygodnia
Ukradzione dzieci



– Rosja deportuje z Ukrainy tysiące dzieci, by oddać je do adopcji rosyjskim rodzinom i zrusyfikować. To jest ludobójstwo – mówił na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kuleba. Czy wszystkie te dzieci to sieroty, jak twierdzą Rosjanie?

– [czytaj na Biqdata.wyborcza.pl](http://czytaj.naBiqdata.wyborcza.pl)

Umiemy już żyć z SARS-CoV-2

Przygotowujemy się na kolejną pandemię

W tym momencie najbardziej niepokojące jest pojawienie się dużej liczby przypadków ptasiej grypy H5N1 u zwierząt. Wielka Brytania np. zaczyna już monitorować, czy ten wirus pojawia się u ludzi

PYRĆ

PIOTR CIEŚLIŃSKI: Mija trzeci rok od wykrycia pierwszego zakażenia wirusem SARS-CoV-2 w Polsce. Co się z tym wirusem dzisiaj dzieje?

KRZYSZTOF PYRĆ: Wciąż nas zakaża, ale jest już nieco inny niż na początku pandemii. Wtedy wbrew pozorom był słabiej dopasowany do ludzkiego organizmu, choć zbierał bardziej krwawe żniwo. Przez te trzy lata SARS-CoV-2 dynamicznie się zmieniał – najpierw aby lepiej dostosować się do naszego organizmu i naszych systemów obronnych, a potem także, by unikać pułapek i barier, które mu stawialiśmy. My też się zmieniliśmy.

A co się z nami stało?

– Praktycznie wszyscy już albo się zaszczepili, albo przechorowali, a najczęściej jedno i drugie, bo obecnie szczepionki chronią nie przed samym zakażeniem, tylko przed ciężką postacią choroby i zgonem. Zyskaliśmy więc odporność, dzięki czemu normalnie żyjemy, nie ma potrzeby wprowadzenia żadnych ograniczeń. Co oczywiście nie oznacza, że wirus stał się niegroźny. Jeśli ktoś przechorował ostatnio COVID, to wie, że to wcale nie jest takie sobie przeziębienie. To w wielu przypadkach paskudna choroba, która może położyć do łóżka, a osobom z grupy wysokiego ryzyka wciąż grozi śmiercią.

Czyli wirus pozostał z nami?

– I już pozostanie. Praktycznie wszystkie „ludzkie” wirusy przeszły do ludzi ze świata zwierząt podobnie jak SARS-CoV-2. I swego czasu wywołały bardziej lub mniej tragiczne pandemie w zależności od tego, w jaki sposób się przenosiły i jak ciężką chorobę powodowały. Po jakimś czasie jako społeczeństwo uzyskiwaliśmy jednak

bazowy poziom ochrony. Początkowo zabójcze patogeny stawały się wirusami przeziębienia i przestawały na nas robić wrażenie.

Oczywiście nie zawsze tak było. Wirus HIV jest z nami od wieku i w dalszym ciągu powoduje śmiertelną chorobę, a osoby zakażone są skazane na dożywotnią terapię, która pomaga utrzymać chorobę w ryzach.

Podobne pandemie już były w historii ludzkości?

– Najbardziej chyba znanym przykładem jest grypa hiszpanka, która na początku XX wieku spustoszyła świat. Pochłonęła więcej ofiar niż COVID, a wtedy żyło dużo mniej ludzi na świecie.

Wielu nie zdaje sobie jednak sprawy, że hiszpanka nie zniknęła po wywołaniu pandemii. Wirus i powodowana przez niego choroba zostały z nami jako wirus sezonowy aż do połowy zeszłego wieku, kiedy pojawiła się jeszcze nowsza odmiana grypy.

Jest więc normalną koleją rzeczy, że pandemiczne wirusy z nami już zostają i albo uczymy się z nimi żyć i je kontrolować jak w przypadku wirusa HIV, albo – jak to było z hiszpanką czy teraz COVID – przestają robić na nas wrażenie, bo nasze organizmy zyskują narzędzia obrony, które są w stanie skutecznie zminimalizować ryzyko.

Czy SARS-CoV-2 może jeszcze tak zmutować, że skruszy tę nabytą odporność i pandemia wróci?

– Takie ryzyko istnieje, ale zmniejsza się z każdym miesiącem. Na świecie mogą jeszcze krążyć inne warianty wirusa SARS-CoV-2 niż potomkowie omikronu, które ewoluują w ograniczonych społecznościach albo w organizmach zwierząt. Istnieje więc ry-

zyżko, że pojawi się nowy wariant, który będzie bardziej groźny – tj. będzie bardziej efektywnie unikał naszej odporności i spowoduje kolejną falę ciężkich przypadków. Natomiast wątpię, by SARS-CoV-2 czy jakiś jego bliski kuzyn w najbliższym czasie spowodował tragedię podobną do tej z 2020 i 2021 r.

Będziemy musieli już co roku brać szczepionki przypominające, tak jak to jest z grypą?

– Tutaj jeszcze konsensusu nie ma. Trwają dyskusje, na ile zasadne będzie przyjmowanie takich szczepionek przez całą populację, a na ile wystarczy podawać je osobom z grup ryzyka. Takie decyzje powinny być oparte na danych klinicznych.

Czy możliwa jest nowa pandemia?

Czy wiemy, jakich wirusów mamy się bać, czy też znowu zaraza spadnie na nas jak grom z jasnego nieba?

– Odpowiedź na te wszystkie pytania brzmi „tak”. Kolejne pandemie są pewne, ale patrząc na stan przygotowania chociażby naszego kraju, można się spodziewać, że znowu nas to zaskoczy.

Może pojawić się wirus X, o którym dziś zupełnie nic nie wiemy, ale raczej będzie to coś z listy zagrożeń, jaką znamy. SARS-CoV-2 też nie spadł z nieba,

o pandemii spowodowanej przez koronawirusy mówiło się w kręgach specjalistów już od 20 lat.

Niektóre patogeny pojawiają się w naszej strefie wraz ze zmianą klimatu, np. flawiwirusy, kiedy to zwierzęta przenoszące je migrują coraz bardziej na północ. Znamy też kuzynów koronawirusów SARS czy MERS, które mają potencjał pandemiczny. Ale w tym momencie chyba najbardziej niepokojące jest pojawienie się bardzo dużej liczby przypadków ptasiej grypy H5N1 u zwierząt. Ten wirus krąży wśród ptaków już od ponad 20 lat. Przenosi się też na ludzi, ale na razie robi to bardzo nieefektywnie, a między ludźmi przenosi się słabo albo wręcz wcale. Gdy jednak już zakazi człowieka, to choroba jest bardzo niebezpieczna i często kończy się śmiercią.

Na razie nie ma co straszyć, ale dobrze by było śledzić rozwój sytuacji. Wielka Brytania np. zaczyna już monitorować, czy ten wirus pojawia się u ludzi. To są działania wyprzedzające, ktoś może powiedzieć, że nadmiarowe, ale koszt testów antygenowych dla wybranej i niewielkiej grupy osób, które mogą mieć kontakt z zakażonymi ptakami, jest nikły wobec kosztów potencjalnej pandemii.

Strach nigdy nie jest dobrym doradcą, ale jeżeli będziemy ignorować rzeczywistość, to niestety, ta rzeczywistość może nam znowu pokazać, gdzie jest nasze miejsce. Dlatego powinniśmy już dziś przygotować konkretne scenariusze postępowania i procedury, przemyśleć to, co należałoby zrobić, kiedy znowu wybuchnie pandemia. Chciałoby po to, żeby uniknąć takich absurdów jak zamykanie lasów. ●

• **KRZYSZTOF PYRĆ** – biolog, profesor UJ, członek grupy doradczej ds. COVID-19 przy Komisji Europejskiej



Lęk przed utratą status quo jest przeżywany tak samo przez tych, którzy obawiają się, czy im starczy na jedzenie, jak i tych, którzy muszą zrezygnować z egzotycznych wakacji

Z **AGATĄ GĄSIOROWSKĄ***, PSYCHOLOŻKĄ Z UNIWERSYTETU SWPS, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Gdziekolwiek przyłożyć ucho, tam słyhać rozmowy o drożyznie. Wiele badań wskazuje, że Polacy najbardziej boją się teraz biedy.

– Co nie dziwi, bo ceny rosną, a pensje w wielu przypadkach – nie. To budzi nie tylko lęk, ale i frustrację. I ta frustracja zaczyna dotyczyć wszystkich. I tych, którzy muszą odmówić sobie różnych podstawowych produktów, żeby jakoś spiąć domowy budżet. I tych, którzy jeszcze mają pieniądze, ale którym się radzi, żeby zrezygnowali ze zbędnych wydatków po to, żeby polepszyć swoje bezpieczeństwo finansowe.

Kiedy wspomniałam o tym niedawno w jednym z wywiadów, oburzony czytelnik skomentował, że dlaczego ktoś mu każe zrezygnować z kina i kawy na mieście? Co to w ogóle za świat, w którym on się musi pozbawiać takich przyjemności? Po pierwsze, nikt mu nie każe. Po drugie, może te wydatki akurat dla niego są niezbędne i ta rada w ogóle go nie dotyczy. A po trzecie, co jeśli jego budżet za chwilę przestanie się domykać? Może jednak warto, żeby przyrzal się swoim pieniądząom krytycznie?

Pod rozmowami z panią można też znaleźć innego rodzaju komentarze. „Jakie kino? Jaka kawa? Od dawna mnie nie stać”.

– No właśnie. I wydawać by się mogło, że to są dwie różne opowieści, dwie różne frustracje. Tymczasem na poziomie psychologicznym one się nie różnią.

I jedni, i drudzy boją się tego samego. Nie biedy, ale pogorszenia swojej sytuacji finansowej – czyli utraty status quo. Psychologicznie ten lęk jest przeżywany tak samo przez tych, którzy obawiają się, czy im starczy na jedzenie, tych, którzy się boją, że jak przestaną móc spłacać kredyt, to stracą mieszkanie, jak i przez tych, którzy mają wysokie dochody,

ale jeszcze większe aspiracje. Dla tych ostatnich to, że nie pojadą w tym roku na egzotyczne wakacje czy nie kupią nowego samochodu, może być ogromną stratą, którą mogą przyplacić poważnymi konsekwencjami dla zdrowia psychicznego.

I nie można się z tego śmiać?

– Nie można. Bo ta frustracja czy lęk przed utratą pozycji są realne. Różnica polega na tym, że osoby z niskiego poziomu zamożności, tracąc status quo, tracą realne bezpieczeństwo, czasem możliwość normalnego funkcjonowania, ich lęk jest silniej ugruntowany w racjonalnych przesłankach. Z kolei utrata status quo przez osoby zamożne nie wiąże się z zagrożeniem bezpieczeństwa. Nawet jeśli ich sytuacja finansowa się pogorszy, to nadal będzie obiektywnie dobra. Ale to nie znaczy, że nie cierpią.

To czego się tak naprawdę boją?

– Najczęściej? „Utraty twarzy”.

Powiedzmy, że jestem bardzo dobrze zarabiającą menedżerką, która buduje swój wizerunek poprzez to, dokąd jeździ na wakacje, z kim i w jakich restauracjach jada, jaki ma sprzęt muzyczny i kto jest jej trenerem personalnym. Jeśli w którymś momencie przestanę mnie być na to stać, to stracę nie tylko dochód, ale również status, szacunek innych, a może i szacunek dla samej siebie – bo te aspekty zależą w moich oczach od tego, co posiadam. Psychicznie mogę więc cierpieć tak samo jak osoba biedna, która ledwo zaspokajała swoje podstawowe potrzeby, a której sytuacja się pogorszyła – wpaść w depresję, doświadczać objawów psychosomatycznych, mieć obniżoną odporność. Takie mogą być skutki długotrwałego lęku, z którym nie jesteśmy sobie w stanie poradzić.

Są jednak osoby, którym łatwiej się pogodzić z tym, że muszą się ograniczyć, żyć skromniej. Od czego to zależy?

– Między innymi od tego, jak ważne jest to, z czym musimy się pożegnać. Zdecydowanie łatwiej zrezygnować z przyjemnostek, które fajnie jak są, ale od których niekoniecznie uzależniamy swoje poczucie szczęścia. Trudniej – z tego, co nadaje naszemu życiu sens. Problem w tym, że często nie potrafimy zidentyfikować, czy dana rzecz jest dla nas rzeczywiście istotna, czy nie. Na przykład dla wielu innych osób taka nie jest, więc możemy myśleć, że dla nas też nie powinna być.

Na przykład?

– Wspomniana kawa na mieście. Dla jednych to kapers, dla innych bezrefleksyjny zakup, a dla jeszcze innych – ważny element dnia. Te pół godziny, kiedy mogą pobyć sami ze sobą i zebrać myśli. Nie w pracy i nie w domu. Jeśli jesteś właśnie taką osobą, dla której kawa w kawiarni raz na jakiś czas to krok do wewnętrznej równowagi, a jednocześnie szukasz oszczędności, to może nie rezygnuj z tego. Bo zrezygnujesz nie tylko z kawy – ale i z jakiegoś rodzaju kontaktu ze sobą, z momentu wyciszenia. Jeśli natomiast kupujesz kawę na mieście, bo nie chce ci się jej zrobić w domu, wypijasz ją w biegu, a połowę wlewasz, to niewielkim wysiłkiem możesz to zmienić. Tak samo jest z kinem czy z każdą inną przyjemnością. Dla jednego rezygnacja z kina będzie bezbolesna, inny będzie wołał nie zjeść obiadu, bo mu to kino ratuje równowagę psychiczną. Namawiam, żeby przyjrzeć się swoim różnym wydatkom właśnie pod tym kątem. Chodzi nie o to, żeby za wszelką cenę ciąć koszty, tylko o to, by ciąć koszty niepotrzebne i zrobić to bez większej szkody dla siebie.

Czasem się nie da inaczej. Trzeba ciąć po wszystkim.

– To prawda, czasem może się nie dać. Dlatego najbardziej poszkodowani. I ekonomicznie, i psychologicznie. Wiele badań pokazuje, że osoby, które przez długi czas żyją na granicy przetrwania, gorzej funkcjonują poznawczo, a mówiąc kolokwialnie – gorzej myślą i wyciągają wnioski niż osoby zamożne. W badaniach oznacza to zwykle tyle, że osoby na granicy finansowego przetrwania mają niższe wyniki w testach na inteligencję. Wśród badaczy toczy się dyskusja, dlaczego tak się dzieje. Jedną z odpowiedzi jest hipoteza „permanentnego przeciążenia poznawczego”. Zakłada ona, że osoby, które żyją na bardzo ścisłym budżecie i każdą złotówkę oglądają ze wszystkich stron, codziennie muszą podejmować dziesiątki przemyślanych, drobnych decyzji, co jest po prostu intelektualnie wyczerpujące. Jeśli ten stan się przedłuża, obciąża to zasoby tych osób na tyle, że negatywnie wpływa na tempo i jakość ich myślenia.

Czy tego efektu nie widać też u tych, którzy nawet przyzwoicie zarabiają, ale po gwałtownym wzroście rat kredytowych i cen nie starcza im do końca miesiąca?

– Według mnie sytuacja, gdy dochody nagle równają się obowiązkowym wydatkom – niezależnie od tego, jak te dochody wyglądały na początku – to właśnie taki przypadek. Może to więc być sytuacja emerytki, która ma 2,5 tys. zł emerytury, ale mieszka w mieszkaniu z niskim czynszem, nie spłaca żadnych pożyczek, ledwo wiąże koniec z końcem – jednak jakoś wiąże. Ale równie dobrze to może być sytuacja pary młodych ludzi z tzw. klasy średniej, którzy mają dwójkę malutkich dzieci. Wyobraźmy sobie, że mąż ma dobrą pracę, zarabia powiedzmy 15 tys., ale żona jest na urlopie wychowawczym i nie ma dochodu, rata kredytu wzrosła im dwukrotnie, do tego płacą wysoki czynsz, rachunki za prąd, jedzenie i pod koniec miesiąca są w identycznej sytuacji jak ta starsza pani, czyli ich budżet wynosi zero. A kiedy pojawia się jakikolwiek nieprzewidziany wydatek – samochód się zepsuje, trzeba kupić drogie lekarstwo – to nie ma skąd na to wziąć. I nagle nie ma znaczenia, czy ktoś jest emerytką z niskim uposażeniem, czy młodym informatykiem z klasy średniej.

Takich osób wcale nie jest mało. Prawie połowa Polaków nie ma żadnej poduszki finansowej. Niezaplanowany duży wydatek to stres, bo trzeba kombinować albo pożyczyć.

– Ale jaki jest sens pożyczania, jeśli nie mamy żadnej rezerwy, żeby oddać? Nie wolno myśleć, że skoro mi się budżet nie spina, to pożyczę, żeby mi się spało. Jeśli pożyczam, to muszę wiedzieć, czy stać mnie na to, by oddać. Najpierw więc trzeba ten nasz budżet rozpoznać i zrewidować. Jeśli tego nie zrobimy, ryzykujemy, że za chwilę wpadniemy w spiralę długów. Dlatego powtarzam, że paradoksalnie pożyczki są dla tych, którzy potrafią oszczędzać.

Ktoś zaraz powie: jaki sens ma oszczędzanie przy takiej inflacji. Za kilka miesięcy te zaoszczędzone 100 zł będzie warte 80. A potem jeszcze mniej. – Niestety, nie mam racjonalnych argumentów, żeby z tym dyskutować, bo wartość naszych oszczędności faktycznie zmaleje. Jednak wolałabym mieć oszczędności, które tracą co roku 15 czy 20 proc. wartości, niż przepuć te pieniądze, nie mieć żadnego buforu, a potem stracić pracę i obudzić się z ręką w nocniku.

Można nie mieć z czego zaoszczędzić. – To prawda. Ale niezależnie od tego, czy ktoś nie potrafi, czy nie ma jak, nie powinni brać pożyczek, jeśli nie będzie w stanie ich spłacić. Spirala zadłużenia może prowadzić do straszliwych konsekwencji. Do bankructwa, ale także do silnych zaburzeń depresyjnych, a w konsekwencji nawet do targnięcia się na własne życie. I wcale nie musi chodzić o wielkie kwoty. Na początku pandemii czytałam o młodej dziewczynie, która odebrała sobie życie, bo z niespłaconych „chwilówek” uzbierało jej się 2 tys. zł długu. To była kwota, która ją przerosła.

Czy wiadomo, jak na naszą psychikę wpływa świadomość, że ciąży nam dług? Na przykład

przed nami jeszcze 15 lat kredytu hipotecznego, a raty zmieniają się jak w kalejdoskopie?

– Zaczniemy od tego, że dług i kredyt to dwie różne sprawy. Jeśli pożyczam od banku pieniądze, to jest kredyt. Długiem staje się dopiero wtedy, kiedy nie jestem w stanie albo nie chcę go spłacić.

Kredyty hipoteczne z punktu widzenia instytucji finansowych są najbezpieczniejsze, bo odsetek osób, które ich nie spłacają, jest niewielki. Natomiast najbardziej niepokoi w kredycie hipotecznym w Polsce to, do czego odwołała się pani w końcówce swojego pytania. Przekonaliśmy się najpierw w kontekście kredytów frankowych, a potem przy kredytach w złotych, że umowy nie działają na rzecz ustabilizowania sytuacji kredytobiorcy. W większości krajów europejskich w ramach podpisanej już umowy kredytowej można się umówić z bankiem na zablokowanie stopy procentowej na jakiś czas, na przykład na pięć lat. I wiele osób w ciągu ostatniego roku skorzystało z takiego rozwiązania. Stopa procentowa jest wtedy trochę wyższa niż obowiązująca w danym momencie na rynku, ale mamy gwarancję, że przez pięć lat się nie zmieni. Słyszała pani, żeby ktokolwiek proponował takie rozwiązanie w Polsce?

Można wziąć wakacje kredytowe na jakiś czas. Poza tym jesteście zdani na siły ekonomiczne, nad którymi nie mamy żadnej kontroli.

– Uznałabym raczej, że te siły nazywają się „prawo bankowe” oraz „postępowanie banków komercyjnych”. Polskie banki robią to, na co pozwala im pra-

Dużo łatwiej wydajemy pieniądze, które mają zdematerializowaną formę – karty kredytowej czy przelewu elektronicznego, skrupulatniej pilnujemy gotówki

wo, dążąc do zysku po trupach i bezwzględnie przeliczając ryzyko finansowe na klientów. Przecież to oczywiste, że bank w Wielkiej Brytanii czy Francji nieco straci na zablokowaniu zmian stopy procentowej przez klienta, a jednak tamtejsi konsumenci dostają taką możliwość. Oskarżamy inne kraje o drapieżny kapitalizm, tymczasem drapieżny kapitalizm w najkrwawszym wydaniu mamy raczej tutaj. Polacy się przeciwko temu masowo nie buntują, bo wielu z nich nie rozumie, o co w ogóle chodzi. Nie mają świadomości, że różne zapisy są dla nich niekorzystne. Podobnie jak nie mieli tej świadomości, kiedy wprowadzono kredyty frankowe. Proszę posłuchać, jak to brzmi: „Nie stać cię na mieszkanie w złotych, ale jak weźmiesz kredyt we frankach, to dostaniesz nawet 20 proc. więcej i wtedy cię już będzie na nie stać”.

Prawie 700 tys. osób to zaakceptowało.

– Co jest kolejnym argumentem za tym, jak niski jest poziom wiedzy finansowej Polaków.

Gdzie indziej jest jakoś lepiej?

– Nie. Ogólnie rzecz biorąc, wiedza ekonomiczna jest niska. Tyle że w innych krajach są rozwiązania, które chronią konsumenta przed tym, żeby różne instytucje finansowe nie wykorzystywały tego niskiego poziomu wiedzy. A u nas takich rozwiązań nie ma.

Gdzie pani zdaniem taka wiedza ekonomiczna powinna być zapewniana?

– Idealnie? W domu. I to nie powinna być teoria, tylko po prostu zdrowe nawyki, których powinniśmy się uczyć od rodziców. Tak jak uczymy się, jak się zdrowo odżywiać czy że aktywność fizyczna jest ważna, tak samo powinniśmy się uczyć, jak mądrze zarządzać swoimi finansami.

Jakie są te zdrowe nawyki, jeśli ktoś chce zadbać o higienę finansową?

– Po pierwsze, nigdy nie kłócimy się o pieniądze. Nie wypominamy sobie żadnych rzeczy związanych z pieniędzmi. Ani nie narzekamy na pieniądze. A już najgorsze jest narzekanie w stylu: „O Boże, nie mogę ci tego kupić, bo nas na to nie stać!”, bo to buduje przekonanie w nas samych, ale też w osobach, którego tego słuchają, czyli na przykład w naszych dzieciach, że pieniądze mają cudowną, wręcz boską moc! I że gdybyśmy tylko je mieli, to wszystko nagle zmieniloby się na lepsze, a że ich nie ma, to się nie zmienia. To niestety tylko złudzenie, a bogatsi wcale nie muszą być szczęśliwsi od biedniejszych.

Czyli powinniśmy oderwać od pieniędzy emocjonalność?

– To przede wszystkim. A po drugie – nie wkładać głowy w piasek. Wie pani, ile ma w tej chwili pieniędzy na koncie?

Niestety, wiem.

– A większość osób tego nie wie. Tuż po wypłacie jeszcze się mniej więcej orientujemy. Jednak im bliżej końca miesiąca, tym bardziej nasze przekonania rozjeżdżają się z rzeczywistością. Potem mają miejsce takie sytuacje, że zaglądamy na konto i się dziwimy: „Ojej, a dlaczego tu nic nie ma? Co tu się wydarzyło?”. Albo: „O rany, mam 300 zł więcej, niż sądziłam. A to je sobie wydam na bzdury!”.

Jednym z podstawowych nawyków powinno być monitorowanie swojej sytuacji finansowej. Podkreślam – monitorowanie swojej sytuacji, a nie kontrolowanie tego, ile wydaje mój partner albo partnerka. Chodzi o to, żebyśmy wiedzieli na bieżąco, ile mamy pieniędzy, co się z nimi dzieje i na jakie wydatki jesteśmy przygotowani.

Kolejną rzeczą jest planowanie wydatków odpowiednio do dochodów. Jeśli nie potrafimy utrzymać kontroli nad finansami na jednym koncie, to założymy sobie trzy subkonta na różne cele – rachunki, zakupy spożywcze, przyjemności. Albo wzorem na-

Najpiękniejsze Parki Narodowe USA

Wspaniała podróż z Los Angeles - tętniącej życiem stolicy filmu, przez parki narodowe, pustynne krajobrazy i stolicę hazardu - Las Vegas aż do San Francisco.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Los Angeles. **Dz. 2** Los Angeles – Calico – Laughlin. **Dz. 3** Laughlin, Route 66 i Grand Canyon. **Dz. 4** Monument Valley, Horseshoe Bend, Lake Powell i Page. **Dz. 5** Page, Kanion Antylopy i Park Narodowy Bryce. **Dz. 6** Bryce Canyon – Dolina Ognia – Las Vegas by night. **Dz. 7** Las Vegas. Dzień wolny. Możliwość wycieczki do Zapory Hoovera, instalacja artystyczna „Siedem Magicznych Gór” oraz wizyta na cmentarzysku neonów. **Dz. 8** Death Valley i Tulare. **Dz. 9** Tulare – Park Narodowy Yosemite – Manteca. **Dz. 10** San Francisco: most Golden Gate, Chinatown, Wzgórze Twin Peaks. **Dz. 11** San Francisco. Dzień wolny. Możliwość wycieczki do Fisherman's Wharf i więziennej wyspy Alcatraz. **Dz. 12** San Francisco – 17 Mile Drive - Monterey – Carmel – San Simeon. **Dz. 13** San Simeon – Solvang – Santa Barbara – Getty Center/Villa i Los Angeles. **Dz. 14** Wylot z Los Angeles. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 07/09, 12/10 2023

16.498,-



Albatros travel



Zeskanuj kod QR i przeczytaj więcej!



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW12

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

1 RP

REKLAMA 34237219

eprasa.pl e821ad87d6

szych babć podzielną wypłatę na koperty. Jedna koperta na rachunki, druga na jedzenie, trzecia na coś jeszcze innego. Chodzi nawet nie o to, żeby były z tego jakieś oszczędności, tylko żeby zobaczyć, na co te pieniądze co miesiąc uciekają. I żeby nie przeżywać tych ciągłych zaskoczeń.

Powiedziała pani, że ważne jest, żeby „zobaczyć”, gdzie te pieniądze się rozchodzą. Często ich nie widzimy posługując się kartami, przelewami, blikami. – I między innymi dlatego tracimy nad nimi kontrolę.

Badania z obszaru psychologii ekonomicznej jasno pokazują, że dużo łatwiej wydajemy pieniądze, które mają zdematerializowaną formę, czyli formę karty kredytowej czy przelewu elektronicznego, a dużo skrupulatniej pilnujemy gotówki. Z kolei jeśli chodzi o gotówkę, łatwiej wydajemy pieniądze, które mają niskie nominały, niż te o wysokich nominalach. Dlatego powrót do systemu kopert nie jest taki zły.

Wymieniła pani strategie panowania nad pieniędzmi. Jednak kiedy pojawia się kryzys, a inflacja jest taką sytuacją, czasem emocje wygrywają z rozumem. – Zgadza się. Są sytuacje, kiedy trudno jest wdrożyć te racjonalne techniki i w których czujemy się zupełnie bezradni. No bo jaki mam wpływ na to, żeby ceny nie rosły? Staram się i staram, i nadal jest ciężko. I zdarza się, że ludzie w poszukiwaniu ulgi nieświadomie uciekają się do innych, zastępczych strategii. Na przykład udają, że problemu nie ma. Wydaje im się, że tak długo, jak nie będą o nim rozmawiać albo myśleć, tak długo nie będzie ich dotyczył. To oczywista nieprawda, a problem przemilczany na dłuższą metę tylko pogłębia naszą frustrację. Inne strategie mogą mieć na celu uśmierzanie lęku czy obniżenie stresu – pójść na piwo z kolegami, nie będę się tym zajmować. Obejrzę serial, zamiast o tym myśleć. Zagram w grę. Oczywiście, jeśli to służy chwilowemu oderwaniu się, żeby nam emocje opadły i żebyśmy mogli zacząć wcielać w życie te racjonalne strategie, to nie ma w tym niczego złego. Gorzej, jeśli strategia odsuwania od siebie problemu się utrwała. Jeśli zamiast porozmawiać z bliskimi o naszej sytuacji finansowej i spróbować ją jakoś uporządkować, po raz kolejny sięgamy po smartfona i przepadamy w nim na wiele godzin albo po kieliszek. Naszych problemów finansowych to na pewno nie rozwiąże, a dodatkowo może prowadzić do uzależnienia.

Z badań opublikowanych na stronie brytyjskiej organizacji zajmującej się zdrowiem psychicznym Mind wynika, że ludzie w kryzysie, kiedy powinni zaciśnąć pasa, często wydają jeszcze więcej. – Bo kiedy do głosu dochodzą emocjonalne strategie, resztki racjonalności się wyłączają.

Może się tutaj pojawiać jeszcze inne zjawisko, które w odniesieniu do kryzysu dwudziestolecia międzywojennego nazywano „efektem szminki”. Kobiety, których nie było stać na nowe ubrania, kupowały szminkę, żeby poprawić sobie humor. W tej chwili ten efekt obserwuję na przykład w gastronomii. Z jednej strony wiele restauracji pada, a z drugiej są takie, które mają wzrost przychodów. Prawdopodobnie część ludzi wychodzi z założenia: skoro nie stać mnie na wakacje w tym roku, to przynajmniej pójść sobie coś zjeść na mieście.

Albo do fryzjera. 33 proc. Polaków wydaje tyle samo na fryzjera i kosmetyczkę co przed inflacją, a 17 proc. jeszcze więcej. – Bo jeśli nie mogę zrobić dla siebie czegoś dużego, na co mam ochotę, to sprawię sobie małą przyjemność, której efekty będą widzieć też inni. Dlatego szminka jest tu symbolem – mała, stosunkowo tania, za to bardzo widoczna. Dzięki takiemu zabiegowi robi się troszkę lżej.

Co pomaga nam konstruktywnie radzić sobie z lękiem przed pogorszeniem

naszej sytuacji finansowej? Tak żeby właśnie emocje nas nie zalewały.

– Bardzo lubimy mieć kontrolę nad swoim życiem. To jedna z podstawowych ludzkich motywacji. Ale prawda jest taka, że rzeczywistości nie da się kontrolować tak, jak byśmy chcieli, i że pewne rzeczy dzieją się niezależnie od nas. Pandemia, inflacja, wojna w Ukrainie – jaki mam na to wpływ? Jeśli będę się tym zamartwiał, nie sprawię, że te rzeczy znikną. Pierwszym krokiem do polepszenia jakości naszego życia jest więc refleksja na temat tego, co rzeczywiście ode mnie zależy, co realnie mogę zmienić, a czego nie. W kwestii pandemii – mogę się zaszczepić. Wojny – mogę jakoś pomóc ludziom, którzy tej pomocy potrzebują. Inflacji – mogę spróbować wziąć w karby swoje finanse. I to w zasadzie tyle, co mogę zrobić w sprawie tych trzech nieszczęść.

Kolejna sprawa to wsparcie społeczne. Czy je mam? Czy o nie dbam? Żyjemy w świecie, w którym duży nacisk kładzie się na indywidualizm. Każę się nam wierzyć, że każdy jest odpowiedzialny za sie-

W materialistycznym świecie powiedzieć „nie stać mnie, nie chcę wydawać” to prawie akt odwagi

bie, a prośenie o pomoc to oznaka słabości. Tymczasem wiele badań z różnych obszarów psychologii pokazuje, że bliskie relacje i przekonanie, że niezależnie od tego, co się będzie działo, obok mnie jest drugi człowiek, który mnie wesprze, zabezpieczają nas przed różnego rodzaju negatywnymi konsekwencjami dla zdrowia psychicznego. Już samo spędzanie czasu z innymi, które polega nie na tym, że siedzi obok siebie na kanapie każde ze swoim telefonem, tylko że jesteśmy ze sobą naprawdę, rozmawiamy, słuchamy się, robimy coś razem, obniża nasze poczucie niepokoju. Nie zlikwiduje to nam problemu, ale jak nie będziemy na niego reagować tak dużym lękiem, to może łatwiej będzie nam znaleźć sensowne wyjście z sytuacji.

Rozumiem, że chodzi o to, że gdzieś z tyłu głowy pojawia się myśl: skoro są wokół mnie inni, nie zginę z głodu. Zawsze ktoś poradzi zupę. Da dach nad głową? – Tu chodzi nawet nie o takie racjonalne argumenty, tylko o zwykłą obecność drugiego człowieka, która działa na nas uspokajająco na poziomie czysto fizjologicznym. To jest dużo głębszy mechanizm.

Tyle, że w świecie, jaki mamy, pieniądze stały się też narzędziem do tkania więzi społecznych. Niektórzy, bojąc się ubożenia, boją się także tego, że zostaną sami. Bo ich znajomi jeżdżą na wspólne wakacje, korzystają z różnych rozrywk. Kontakt społeczny dla części osób wiąże się ze sporym wydatkiem.

– Ale przecież możemy się spotkać w domu, zagrać w planszówki, napić się herbaty. Pojechać na działkę albo nad rzekę. Przecież nie jesteśmy skazani na interakcje, w których koniecznie trzeba wydawać pieniądze. Możemy spotkać się w cztery osoby i ugotować wspólnie zupę albo zrobić ciasto. Korzyść będzie podwójna – będziemy razem, to będzie korzyść społeczną i zrobimy coś, co spowoduje, że nie będziemy musieli wydawać tylu pieniędzy. Mamy alternatywę, tylko często wmawiamy sobie, że jej nie mamy. Bo „nie mam czasu”, „tyle mam na głowie”, „nie będę stać przy garach”, „należy mi się coś od życia” itp.

Niektórzy obawiają się, że zmieniając swój tryb życia na skromniejszy, po prostu wypadną z pewnej grupy społecznej. – Jeśli mam stracić kontakt z jakimiś ludźmi wyłącznie dlatego, że mam mniej pieniędzy, to co to w ogóle była za relacja? Co z niej mam? Jaka jest jej wartość? I gdzie tu jest zaufanie, jeśli ktoś spędza ze mną czas czy lubi mnie tylko dlatego, że zarabiam X pieniędzy i stać mnie na te wszystkie przyjemności, które w danej grupie są traktowane jako... no właśnie, jako co? Oznaka statusu? Przynależności?

Pieniądze to w ogóle trudny temat. A powiedzenie: „Słuchaj, nie spotkam się z tobą na mieście albo nie pójde do kina, bo mnie na to nie stać”, jest jeszcze trudniejsze. Reakcja to często niezręczne milczenie albo zażenowanie. – Myślę, że część osób może to też odbierać jako zawołowaną krytykę. „Ty głupi wydajesz pieniądze bez sensu na zachcianki, a ja mądra tego nie robię”. Dlatego może warto dodać na końcu: „Bo ja tak wybie-

ram. Uznaję, że taki wydatek nie mieści się w moim budżecie, ale ty nie musisz się ze mną zgadzać”.

Inna rzecz, że w materialistycznym świecie powiedzieć „nie stać mnie, nie chcę wydawać” to prawie akt odwagi. Bo co nam wiska ten świat? Będą cię szanować, jeśli będziesz mieć więcej. Albo będą cię lubić, jak będziesz mieć to i to. Jeśli sama siebie szanuję i lubię, jeśli czuję się bezpiecznie niezależnie od tego, ile mam, to nikt mnie nie musi przekonywać, co mam robić, żeby mnie inni lubili i żeby mnie siebie lubiła. Jeśli jednak mam wątpliwości co do tego, „czy jestem OK”, to mogę być bardzo podatna na takie komunikaty.

Pytanie, ile jest tych pierwszych osób?

– No i tu mamy społeczny problem. Badania podłużne pokazują, że rośnie poziom narcyzmu, rośnie poziom lękowego przywiązania, rośnie poziom braku zaufania do innych, a w związku z tym tendencja do poszukiwania jakiegoś „lekarstwa” na to poczucie „wybrakowania”, na przykład poprzez ostentacyjną konsumpcję też będzie rosnać. Łatwo wtedy kupić informację, że dany produkt czy styl życia jest nam niezbędny. Prawdopodobnie gdybyśmy wszyscy byli superzdrowi psychicznie, to nawet w kulturze zalewającej nas namowami do kupowania byłibyśmy w stanie funkcjonować niematerialistycznie. Na razie jednak warto nauczyć się rozmawiać o pieniądzach i zarządzać nimi w sposób pozbawiony emocji. Nie jest to łatwe, ale jeśli nie będziemy próbować, lepiej nie będzie.

Od czego zacząć?

– Najlepiej od własnego domu. Od rozmów z partnerem, partnerką, dziećmi, szczególnie jeśli w ogóle o tych pieniądzach nie rozmawiamy. Zastanówmy się, dlaczego tak jest. I co to milczenie nam robi. Często jest tak, że wychodzimy z różnych „szkół”. U kogoś rodzice ciągle klócili się o pieniądze i wypominali sobie, kto za mało zarabia, a kto za dużo wydaje, więc tej osobie każda wzmianka o pieniądzach może się kojarzyć z awanturą. U drugiej osoby z kolei rodzice rozmawiali spokojnie i rzeczowo o pieniądzach, więc ona traktuje je bez emocji. Proszę sobie teraz wyobrazić, że te

dwie osoby są ze sobą. Ta druga przychodzi pewnego dnia do domu i mówi: „Miałam dostać premię, ale nie dostałam”. Zupelnie neutralny komunikat. Ale ta pierwsza, ze względu na swoje doświadczenie, odczytuje to tak: „Boże, zaraz się na mnie wyżyje. Trzeba natychmiast zejść z linii strzału”. I rozmowy nie ma. Warto się więc zastanowić, jak ja podchodzę do pieniędzy, jak moi bliscy, czy ta różnica w ogóle istnieje. A jeśli tak, to na ile utrudnia nam komunikację i w ogóle współbycie i co można z tym zrobić. Na początku pewnie będzie trudno, ale jeśli nie wykonamy tej refleksji, to nic się nie zmieni.

Jak najlepiej traktować pieniądze?

– Jak młotek. Jak zwykle narzędzie. Młotkiem możemy wbić gwóźdź, żeby naprawić szafę, ale możemy też spuścić go sobie od stopy i uszkodzić palec. Wszystko zależy od tego, jak umiejętnie się nim posługujemy.

Moje badania sprzed kilku lat pokazują, że im bardziej umiemy zarządzać pieniędzmi, tym bardziej obiektywnie potrafimy ocenić swoją sytuację finansową. I tym bardziej racjonalnie do nich podchodzimy. U osób, które nie mają tej umiejętności, ta ocena rozjeżdża się w każdą możliwą stronę. Oznacza to, że ktoś, kto ma obiektywnie dużo pieniędzy, może uznać, że jest biedny, co będzie miało na niego negatywny wpływ. Z kolei ktoś, kto ma tych pieniędzy mało, może uznać, że go stać, i wydawać bez żadnej kontroli, czym doprowadzi się do bankructwa.

A z tym szczęściem i pieniędzmi to jak to jest, tak naprawdę?

– Nie do końca wiadomo. Badania pokazują bardzo różne rzeczy. Są takie, które dowodzą, że im jesteśmy zamożniejsi, tym jesteśmy szczęśliwsi. I takie, które pokazują, że w którymś momencie ta krzywa szczęścia się wyplaszcza albo nawet zalamuje. Różni badacze próbują ten moment uchwycić. Jedni twierdzą, że to musi być określona kwota, na przykład 20 tys. dolarów miesięcznie, inni – że inna. Ja bym raczej powiedziała, że na poziom szczęścia, także w kontekście pieniędzy, wpływa tak wiele różnych czynników, że nie da się tego jasno określić. Jeśli mamy zaspokojone podstawowe potrzeby i nie musimy się martwić o to, czy mamy co do garnka włożyć, jeśli nie żyjemy na spiętym budżecie i możemy co miesiąc trochę odłożyć albo nawet przepuścić, jak mamy na to ochotę, to każdy następny przyrost pieniędzy prawdopodobnie nie spowoduje, że nasze poczucie szczęścia jakoś specjalnie wzrośnie. Ale jeśli żyjemy na ekstremalnie spiętym budżecie i musimy się ciągle zastanawiać, czy możemy w tym miesiącu kupić leki, czy raczej buty, bo dziecko wyrosło, albo że skoro popsuł się nam samochód, to nie pójdziemy już do dentysty, to wtedy przyrost dochodu pewnie zwiększy poczucie naszego szczęścia. Albo nie tyle zwiększy szczęście, ile zmniejszy poczucie nieszczęścia. Zabierze ten niepokój, stres i tę konieczność ciągłego podejmowania wielu drobnych decyzji. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Agata Gąsiorowska

• profesor Uniwersytetu SWPS, psycholog. Autorka książki „Psychologiczne znaczenie pieniędzy” (2014). Kierowała projektem badawczym „Symboliczna natura pieniędzy i kontrola. Badania nad pieniędzmi jako zasobem psychologicznym używanym w samo-regulacji” finansowanym przez Narodowe Centrum Nauki

Papuga

Biesiadowali Minister wraz z Małżonką, w asyście oficerów SOP, a także Kardynał ze swoim sekretarzem, Komendant Straży Pożarnej, Rektorzy, Posłanka, Wicemarszałek, Celebryta oraz Pieśniarz.

Michał Rusinek



Wmansardzie nad dachami Paryża Marcello próbuje coś namalować, ale nic mu nie wychodzi. Jego przyjaciel, Rodolfo, próbuje napisać tragedię w pięciu aktach wierszem – ale też mu się nie udaje. Wchodzi Colline, filozof, który próbował sprzedać swoje książki w antykwariacie, ale bezskutecznie. Są załamani. Wspólnie wynajmują pokoi, ale nie mają już pieniędzy ani na czynsz, ani na opał. Stają przed dylematem: czy porząbać krzesło, czy zapalić w kominku rękopisami. Rodolfo poświęca rękopisy, ale te palą się szybko, i to słabym ogniem, więc dalej marzną. Aż tu nagle – ich los się odmienia! Do pokoju wchodzi czwarty współlokator, muzyk Schaunard, a razem z nim pojawiają się nie tylko drewno na rozpalkę, ale także jedzenie, napitki i cygara! Muzyk znalazł sobie pracę u pewnego arystokraty: miał tak grać znienawidzonej przez niego papudze, by ta wyzionęła ducha. Po trzech dniach ciężkich starań Schaunardowi wreszcie się udaje (choć trochę oszukuje) i zgarnia honorarium. Teraz więc wszyscy czterej przyjaciele mogą zasiąść do uczty.

To wszystko na scenie Opery Wrocławskiej oglądają Minister wraz z Małżonką, w asyście oficerów SOP, a także Kardynał ze swoim sekretarzem, Komendant Straży Pożarnej, Rektorzy, Posłanka, Wicemarszałek, Celebryta oraz Pieśniarz. Chciałoby się rzec, jak u Tuwima: „Co za gracia! Co za władza! Co za pompa! Jezu Chry...! Zajeżdżają futra, fraki./ Lśniące laki, szapoklaki./ uwijają się tajniaki/ w palto-cikach Burberry”. Nie jest to jednak, jak by się mogło wydawać, zjazd miłośników włoskiej opery. Szacowne te osoby przybyły bowiem na urodziny Pełnomocnika Ministra. Impreza urodzinowa zaczyna się od opery „Carmen” Giacoma Pucciniego, ale gdy tylko Rodolfo, spojrzawszy w zamglone oczy Marcella, rozumie wreszcie, co się stało, i z rozzwierającym krzykiem rzuca się na martwe ciało pięknej Mimi, kurtyna opada, a gawieź wychodzi z teatru – zaczyna się właściwa część urodzin. Dziennik „Fakt” donosi: „W pewnym momencie zrobił się popłoch, bo ktoś twierdził, że z budynku obok robione są zdjęcia – mówi nam pracownik opery i dodaje: – Od razu zdecydowano, że wszystkie naczynia z jedzeniem i stoliki przenosimy na scenę opery i tam odbędzie się balanga”. I już po chwili goście Pełnomocnika bawią się na scenie, „nie zważając na bezpieczeństwo”. Ja jednak nie wierzę, że powodem przeniesienia „balangi” na scenę była obawa przed fotoreporterami (znów chciałoby się zacytować „Bal w operze”: „Ani się nie obejrżeli./ ani zdążył z żyrandziaka/ mrugnąć tajniak na tajniaka – / jak błyskawicowym zdjęciem./ foto-ciosem, blasku cięciem/ wszystkich wszyscy diabli wzięli”). Także obawy Beaty Maciejewskiej, która w „Wyborczej” pisa-

ła, że przecież „zabytkowy gmach Langhansa (...) palił się już dwa razy, więc może i trzeci”, uważam za nieuzasadnione: przypominam, że nieprzypadkowo jednym z gości był Komendant Straży Pożarnej, więc zagrożenia żadnego być nie mogło. Co innego, gdyby to był Komendant Policji.

Dość na tym, że biesiada odbyła się na scenie podobnie jak ta w pierwszym akcie opery. Tyle że tym razem już nie biedna cyganeria biesiadowała, ale najmożniejsi tego kraju, a przynajmniej regionu. Być może pod wpływem miejsca rozochoceni uczestnicy uroczystości zaczęli kontynuować to, co przed chwilą działało się w tym samym miejscu, i nie tylko biesiadowali, ale i śpiewali! I nie, nie skończyło się na jedynej pieśni, którą znają na pamięć wszyscy Polacy, czyli „Sto lat”. Nieprzypadkowo gościem przyjęcia był przecież Pieśniarz, który wykonał swój największy przebój estradowy: „Majteczki w kropeczki”.

Jeszcze przed momentem tu, na scenie opery, Mimi śpiewała, że sama sobie robi obiad, że nie zawsze chodzi do kościoła, ale modli się do Pana. „Vivo sola, soletta,/ là in una bianca cameretta”, czyli „mieszkam sama, samiuieńka, w białym pokoiku, patrzę sobie na dachy i na niebo. Ale kiedy przychodzi odwilż, pierwszy promień słońca jest mój, pierwszy pocałunek kwietnia jest mój. Róża kielkuje w wazonie, śledzę każdy listek, taki miły zapach kwiatów, lecz kwiaty, które wyhodowałam, nie mają zapachu. Nie umiałabym powiedzieć nic więcej o sobie. Jestem twoją sąsiadką, która wychodzi tylko po to, by zawracać ci głowę”. A po chwili odpowiada jej Pieśniarz: „Gdy sześć lat skończyłem, do szkoły był czas./ Małenka Marzenka żegnała mnie tak:/ »Zostawiasz mnie samą, ach, czemu tak jest?/ Me serce zranione do ciebie wciąż lgnie”«./ I tuląc się do mnie, mówiła mi tak: »Nie przejmuj się miły, bo to pierwszy raz«./ Majteczki w kropeczki (lo, ho, ho, ho, ho),/ niebieskie wstążeczki (lo, ho, ho, ho, ho),/ bielutki staniczek (lo, ho, ho, ho, ho),/ małeńki guziczek (lo, ho, ho, ho, ho)”. Trudno nie dostrzec subtelnego dialogu, jaki toczy sopranistka z Pieśniarzem. Tym subtelniejszego, że aby go zrozumieć, trzeba znać dwa obce języki: włoski, w którym Luigi Illica i Giuseppe Giacosa napisali libretto „Cyganerii”, oraz chiński, w jakim Pieśniarz wykonał swój przebój. Dlaczego akurat po chińsku? Być może ze względu na obecność Kardynała, który zapewne chińskiego nie zna, a który mógłby się przecież zgorszyć treścią tej pieśni, opowiadającej o ujawnionej przez podmiot liryczny w bardzo młodym wieku skłonności do rozbierania przedstawicieli płci przeciwnej i ich rozpaczliwych próbach powstrzymania go przed obnażaniem ich oraz dalszymi tego obnażania konsekwencjami. No, ale ponieważ pieśń została wykonana po chińsku, to Kardynał nie popsuł swoim zgorszeniem radosnej uroczystości.

Tak oto jeden wątek z pierwszego aktu „Cyganerii” okazał się profetyczny. Przypominam: pewien możnowładca miał dość dźwięków wydawanych przez papugę, zatrudnił więc kogoś, by ją zamordował swoją muzyką. A że papuga (obok pawia) ma w naszej literaturze znaczenie symboliczne, to trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to scena także symboliczna, przedstawiająca mordowanie kultury w jej własnej świątyni, ku ucieście możliwych, przy poklasku ministrów i kardynałów. Ale hola, tuwimowscy archikratorzy! Ta papuga jeszcze żyje, póki – proszę mi wybaczyć patos – my żyjemy. I póki nas to gorszy. ●

To się zinterpretuje

PiS jako pierwszy na świecie wprowadził do prawoznawstwa pojęcie podwójnej konstytucji.

Marcin Matczak



Jak powszechnie wiadomo, drugie imię PiS to hipokryzja. Najwyraźniej widać ją w sprawie konstytucji, która kiedyś, gdy PiS nie miał kontroli nad TK, była zła i postkomunistyczna, a teraz, gdy kontrolę ma, jest jak Bóg, honor i ojczyzna – czyli taka jak inne wartości PiS: splugawiona wykorzystaniem do doraźnych celów politycznych.

Z tego umiłowania podwójnej moralności PiS jako pierwszy na świecie wprowadził do prawoznawstwa pojęcie podwójnej konstytucji. Jest ta uchwalona w 1997 roku, której tekst nie zmienił się w czasie rządów PiS. Z tą konstytucją jest zgodne prawo Unii Europejskiej, co potwierdził w orzeczeniach dawny Trybunał Konstytucyjny. I jest konstytucja druga, pisowska, którą wyprodukowano na potrzeby walki politycznej z Unią i prawnego wsparcia uczuć prezesa, któremu obrzydliwe jest wszystko, co obce. Przez ponad 16 lat od naszego wejścia do Unii sprzeczności między konstytucją a prawem unijnym nie było, a tu powołano do TK Krystynę Pawłowicz i nagle unijne traktaty naszą konstytucję naruszają? Po prostu magia!

Pisowscy hipokryci naśmiewają się z obrońców praworządności – że oto ta święta konstytucja teraz, gdy potępia prawo unijne, już jest im nie taka święta. To rechoć bezczelny, który liczy na niezrozumienie wśród ludu. Opiera się na założeniu, że o tym, co mówi konstytucja, decyduje nie ona, ale ludzie, którzy ją dowolnie interpretują. Stąd idea podwójnej konstytucji – była kiedyś jakaś, a teraz jest taka.

Gdy TK w 2007 roku oceniał ustawę lustracyjną, PiS zaatakował sędziów. Twierdził, że mogą zrobić z konstytucją wszystko – byleby popsuć partii rządzącej szyki. Zdaniem PiS rozstrzygałi oni nie sprawę lustracji, opierając się na konstytucji, ale swoje polityczne widzimisie. Ten rodzaj orzekania, nazywany aktywizmem sędziowskim, znamy z dyskusji amerykańskich. Na przykład Jack Balkin pisał, że konstytucja jest czasami jak pudełko czekoladek z „Forresta Gumpa” – nigdy nie wiadomo, na co się trafi.

Sędziowie według PiS zwalczali politycznie lustrację, więc jak magik z kapełusa wyciąga królika, tak oni wyciągnęli z niej wymóg precyzji języka prawnego, choć nie jest on wprost wyrażony w konstytucji. Dlatego teraz PiS uważa, że sędziowie przyjaźni Partii mogą z konstytucją zrobić, co zechcą. W ten sposób jedna konstytucja rozpada się na dwie – jest konstytucja „nasza” i konstytucja „nie nasza” – bo przecież ona sama o niczym nie decyduje, decydują ci, którzy ją interpretują.

Otóż tak nie jest. Ta pierwsza, prawdziwa konstytucja zawierała te zasady, które zastosowali sędziowie. Zasa-

da określoności przepisów prawnych była w niej od dawna, bo jest gwarancją, że przepisy wpływające na nasze wolności nie będą dowolnie interpretowane przez władze. W tej drugiej, fałszywej konstytucji PiS znajduje się rzeczy, o których nikt nie słyszał. Czyta się ją jak manifest polityczny, nie prawo. Spójrzcie na pseudowyrok w sprawie prawa unijnego i słowa o „nowym etapie”, w którym „Rzeczpospolita nie może funkcjonować jako państwo suwerenne i demokratyczne”. Niby wyrok, a brzmi jak wypowiedzenie wojny.

Ta druga konstytucja jest oparta na trikach prawnych, w szczególności jednym. Prawnicy rozróżniają przepis prawny i normę prawną. Przepis to fragment tekstu prawnego. Norma to wprowadzony z przepisów na drodze interpretacji standard działania. Po co to rozróżnienie? Bo prawo to system, w którym każdy element musi być czytany w kontekście innych, aby dać pełny obraz tego, co powiedział prawodawca. Przykład: mamy przepis, zgodnie z którym „kto zabija człowieka, podlega karze”. Czy to prawda? Otóż nie! Ponieważ są inne przepisy, które ustanawiają wyjątki od wskazanej wypowiedzi: nie podlega karze ktoś, kto wprawdzie zabił, ale działał w obronie koniecznej. Pełna norma prawna wymaga powiązania ze sobą kilku przepisów lub wyprowadzenia oczywistych konsekwencji.

Pisowski Trybunał tworzy drugą konstytucję, ponieważ wyprowadza z przepisów normy, których nikt inny nie odnajduje. Jak to robi? Od dawna TK wydawał tzw. wyroki interpretacyjne, w których uznawał za niezgodne z konstytucją jakieś rozumienie przepisu, które przyjęło się w praktyce sądowej. W ten sposób przyznawał rację realitom amerykańskim, którzy odróżniali „prawo w księgach”, a więc to, które zostało zapisane, od „prawa w działaniu”, a więc prawa w kształcie, które nadają mu sędziowie, gdy je stosują. Zdarzało się więc, że TK stwierdzał niekonstytucyjność normy (pewnego rozumienia przepisu), ale samego przepisu nie usuwał. Te orzeczenia zawierały specjalną formułę: „przepis artykułu X, rozumiany jako Y, jest niezgodny z konstytucją”.

Trybunał PiS także wydaje wyroki interpretacyjne, z tą różnicą, że sposób rozumienia przepisów, który uznaje za niekonstytucyjny, nigdy się w praktyce nie utrwalił. Zwalcza w ten sposób interpretacje przyszłe – prewencyjnie orzeka, że jakiegokolwiek rozumienie prawa sprzeczne z interesem Partii narusza konstytucję. W ten sposób litera konstytucji pozostała ta sama, ale jej duch spisał.

I tak mamy dwie konstytucje – tę przyjętą w referendum, i tę z szalonych marzeń Krystyny Pawłowicz i jej stowiska w sprawie „unijnej szmaty”. Ta pierwsza tworzyła warunki do polskiego członkostwa w Unii, ta druga tworzy warunki do polexitu. Ta pierwsza rozumiała praworządność tak, jak rozumie się ją wszędzie – jako ochronę przed arbitralnością władzy, której gwarantem są niezależne sądy. Ta druga idiotycznie zakłada, że praworządność pozwala zastraszać sędziów.

Konstytucja PiS jest z jednej strony całkowicie elastyczna – można nią uzasadnić wszystko, czego zapagnie Partia. Z drugiej strony jest twarda jak kij, którym można bić po głowie politycznych przeciwników. Jeśli tylko pojawi się ryzyko uznania, że działania Partii naruszają prawo, tak się zinterpretuje konstytucję, żeby prawo, które Partia narusza, było niekonstytucyjne. Tym samym wola Partii i treść konstytucji stają się jednym. I spełnia się stare pragnienie wszystkich autokratów, by aktualna wola polityczna i prawo zupełnie się od siebie nie różniły. ●

Sebastian Rejak*, Aleksandra Gliszczyńska-Grabias**

Antysemityzm, czyli połączenie uprzedzeń, stereotypów, wrogości, dyskryminacji i prześladowań, nazywany bywa „najstarszą nienawiścią”. Wykazuje wyjątkową historyczną ciągłość, występuje wszędzie. Jego istota, jak wskazywał izraelski historyk Robert Wistrich, polega na uznaniu Żydów za pogardzanych lub wrogich „innych” oraz na postrzeganiu świata w sposób, który napędzany jest nienawiścią i strachem. Z kolei Wasilij Grossman pisał o antysemityzmie jako o „ironicznej, pokrywającej niechęć pobłażliwości”, która również prowadzić może do pogromów, „nigdy nie jest celem, zawsze jest tylko środkiem, miernikiem nieusuwalnych sprzeczności”.

Ma niebywałą zdolność adaptacji i nieustającej mobilizacji, która sprawia, że nadal, w 2023 roku, w przededniu kolejnej rocznicy Marca '68 oraz zbliżającej się 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim, również w Polsce antysemityzm ciągle o sobie przypomina.

nacyjną retoryką skierowaną tak naprawdę przeciwko Żydom, niezależnie od ich związku (lub jego braku) z Izraelem. W gruncie rzeczy to, co nazywane bywa „antysyjonizmem”, jest często zawołanym antysemityzmem.

Na tym tle rodzi się wiele trudnych pytań: w jakim miejscu sytuować granice między wolnością wypowiedzi a krytyką nacechowaną nienawiścią? Jak reagować na zrównywanie działań izraelskiego rządu (nawet najbardziej kontrowersyjnych) ze zbrodniami nazistów czy zbrodnią apartheidu? Jak reagować na bojkot izraelskich naukowców czy przedsiębiorców? Czy można w tym wypadku dostrzec paralelę do przedwojennego „numerus clausus” na uniwersytetach lub antysemickiego bojkotu ekonomicznego, który wyrażał się hasłem „nie kupuj u Żyda”?

Względnie nową odsłoną antysemityzmu jest negowanie prawdy historycznej o zbrodni Holokaustu. Niedawno różne agendy Organizacji Narodów Zjednoczonych podjęły kroki w celu powstrzymania tej formy zakłamywania przeszłości. Warto podkreślić, że także przypisywanie Polakom odpowiedzialności za tworzenie i funkcjonowanie niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych i obozów śmierci jest jedną z form zniekształcania prawdy o Zagładzie, zgodnie z definicją Między-

Źródła narracji antysemickiej znajdujemy obecnie także po lewej stronie sceny politycznej. Przodują w tym partie i organizacje pozarządowe radykalnej lewicy, które wydają się mieć realny „problem z Żydami”. W Żydach pod każdą szerokością geograficzną i na każdym etapie historii świata widzą klasę wyzyskiwaczy uciskających lud. Izrael jest dla nich wrogiem numer jeden na arenie międzynarodowej. Radykalną lewicę o wiele mniej interesuje kwestia praw człowieka na Kubie, w Chinach, Korei Północnej niż w Izraelu. To te ugrupowania wzywają do bojkotu ekonomicznego Izraela, a nawet izraelskich naukowców i żydowskich studentów na uniwersytetach.

Przed kilkoma miesiącami światowe media donosiły o antysemickich tyradach amerykańskiego artysty Kanye Westa, które, publikowane w jego mediach społecznościowych, zyskały miliony odbiorców. (...) Jego rozpoznawalność i popularność z całą pewnością zapewniły im globalne grono odbiorców. Ten przypadek obrazy również dobrze siłę i niebezpieczeństwo związane z rozpowszechnianiem antysemityzmu w mediach i na kanałach społecznościowych. (...) Dzięki powszechnej dostępności mediów społecznościowych, których użytkowników liczymy w miliardach, antysemicka mowa nienawiści dotyka ludzi na niespotykaną wcze-



ANTYSEMITYZM

Krzywdzi nie tylko tych, wobec których wymierzony jest bezpośrednio – jego destrukcyjne działanie wpływa bowiem na całą tkankę społeczną. Antysemityzm zazwyczaj wzmacnia inne postawy ksenofobiczne, napędza wrogość, prowadzi do wykluczania „innych”. Niechęć wobec Żydów przenosi się na kolejne grupy mniejszościowe; niechęć wobec innych grup wcześniej czy później dotyka także Żydów.

ANTYSYJONIZM

Spektrum postaw i przejawów antysemityzmu jest dziś przy tym o wiele szersze niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Oprócz klasycznych antysemickich treści i działań, takich jak nienawiść motywowana religijnie, teorie spiskowe, uprzedzenia i stereotypy na tle ekonomicznym, napaść słowna, ataki na synagogi czy szkoły żydowskie, niszczenie żydowskich cmentarzy, a nawet przypadki zabójstw na tle antysemickim, mamy dziś do czynienia ze zjawiskiem tzw. antiszyjonizmu. To postawa wroga Izraelowi tylko z tego powodu, że jest on państwem żydowskim. Oczywiście nie każda krytyka Izraela jest motywowana antysemicko. Jednak w praktyce bardzo często przekraczana jest cienka czerwona linia pomiędzy krytyką konkretnych decyzji instytucji państwa a wrogą i dyskrymi-

narodowego Sojuszu na rzecz Pamięci o Holokaucie

W Polsce mamy jednak częściej do czynienia z innymi formami zniekształcania prawdy historycznej. Chodzi o twierdzenie, że Polacy wyłącznie Żydów ratowali, natomiast szmalcownictwo i inne postawy wrogości czy wręcz nienawiści wobec Żydów były marginalne. Taka narracja jest formą zafałszowywania prawdy historycznej dotyczącej Holokaustu. Świadomość negatywnych postaw w żaden sposób nie umniejsza bohaterstwa polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Wręcz przeciwnie – wypukla je.

PONAD PODZIAŁAMI

15 lutego 2023 r. przejdzie do historii brytyjskiej Partii Pracy. Tego dnia jej lider Keir Starmer publicznie przeprosił za antysemityzm w szeregach swojego ugrupowania. Postępowanie w sprawie antysemityzmu w Partii Pracy, przeprowadzone przez brytyjską Komisję ds. Równości i Praw Człowieka, wykazało odpowiedzialność partii za akty antysemickiego nękania i dyskryminacji. Fakt, że doszło do bezprecedensowych publicznych rozliczeń i przeprosin ze strony partii, która zawsze szczyła się swym przywiązaniem do takich wartości jak równość i nie-dyskryminacja, powinien dawać do myślenia.

śniej skalę. Ofiarami są miliony Żydów na całym świecie, ale także całe społeczeństwa, w których tkankę sęczy się trucizna nienawiści. Media społecznościowe są wykorzystywane jako narzędzie politycznego rozgrywania zjawiska antysemityzmu, i to nie tylko przez środowiska skrajne. Jednocześnie dostrzegamy, że stosowane dotychczas strategie przeciwdziałania antysemityzmowi, z których korzystały platformy społecznościowe, są nieadekwatne i niewystarczające.

ANTYSEMITYZM MIĘDZYNARODOWY

W 2021 roku Komisja Europejska przedstawiła pierwszą w swojej historii, wieloletnią strategię UE w sprawie zwalczania antysemityzmu i wspierania życia żydowskiego w państwach unijnych. (...) Strategia przewiduje wdrożenie szeregu działań skupiających się wokół trzech filarów: zapobiegania wszelkim formom antysemityzmu oraz reagowaniu na akty antysemityzmu, ochrony i wspierania życia żydowskiego w państwach członkowskich oraz promowania badań, edukacji i pamięci o Holokaucie. Jej powodzenie uzależnione jest oczywiście od zaangażowania i reakcji państw członkowskich. Te zaś, w dużej mierze, pozostają jednak ograniczone.

Autorzy raportu publikowanego przez Uniwersytet w Tel Awiwie alarmowali w 2021 roku o dramatycznym wzroście nastrojów antysemickich na całym świecie i że właściwie przegrywamy walkę z tym zjawiskiem. W 2021 r. w Niemczech odnotowano 3027 przestępstw o podłożu antysemickim, a ich liczba była najwyższa w historii prowadzonych statystyk.

Amerykański Komitet Żydowski opublikował badania, z których wynika, że 89 proc. amerykańskich Żydów uważa, że antysemityzm jest problemem w USA, a 82 proc. twierdzi, że nasilił się w ciągu ostatnich pięciu lat. 20 proc. respondentów przyznało, że z powodu antysemityzmu nie czuje się bezpiecznie, uczęszczając do jakiegokolwiek żydowskiej instytucji. Najważniejszym i najbardziej alarmującym wynikiem badania jest zdecydowany spadek poczucia bezpieczeństwa, spowodowany wzrostem antysemickich ataków, przestępstw i przemocy oraz przekonaniem, że antysemityzm w Stanach Zjednoczonych staje się zjawiskiem akceptowalnym w szerszych kręgach społecznych.

Nie mniej alarmująca sytuacja ma miejsce w Europie. Opublikowane w 2021 roku badania Ándrása Kovácsa i Györgyego Fischera wykazały, że zarówno tradycyjne motywy antysemickie, jak i przejawy tzw. wtórnego antysemityzmu

w niektórych krajach utrzymują się na niebezpiecznie wysokim poziomie. Przykładowo 37 proc. greckich respondentów i 31 proc. pytanych Węgrów stwierdziło, że Żydzi są częściowo odpowiedzialni za zbrodnie i prześladowania, których sami byli przedmiotem. Z kolei 53 proc. pytanych Austriaków odpowiedziało, że z powodu polityki władz Izraela narasta w nich generalna niechęć do Żydów.

Według Europejskiej Agencji Praw Podstawowych antysemityzm stanowi problem społeczny i polityczny – dla 85 proc. Żydów w Polsce, 77 proc. na Węgrzech i 95 proc. we Francji. Żydzi w tych krajach postrzegają antysemityzm jako zagrożenie w szczególności w przestrzeni internetowej – tak widzi to 92 proc. respondentów w Polsce, 81 proc. na Węgrzech i 95 proc. we Francji (...).

ANTYSEMITYZM W POLSCE MARGINALNY?

Twierdzenia o Polakach wysysających antysemityzm z mlekiem matki rodzą skojarzenia z teoriami rasistowskimi, ponieważ wskazują na rzekome biologiczne podłoże pewnej postawy czy zjawiska społecznego. Taki pogląd należy więc, co oczywiste, uznać za irracjonalny i nieakceptowalny. Antysemityzm jest jednak problemem

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Często słyszymy w Polsce, że w porównaniu z antysemicką przemocą fizyczną Europy Zachodniej to, z czym mamy do czynienia w naszym regionie, jest zjawiskiem marginalnym. To prawda, że pobicia Żydów są rzadkie, a zabójstwa na tle antysemickim nienotowane od wielu lat, ale wystarczy przyjrzeć się bliżej polskiej skrajnej prawicy – zarówno tej neonazistowskiej, jak i pansłowiańskiej czy prokremlowskiej. Przykładów nie brakuje: od kabaretowych pseudourodzin Hitlera, przez scenę muzyki neonazistowskiej, hajlowanie brunatnych grup, używanie symboliki nazistowskiej i rasistowskiej przez część środowisk radykalnej prawicy i pseudokibiców, po tzw. Rodaków – Kamratów.

To ostatnie ugrupowanie „wsławiło” się zorganizowaniem 11 listopada 2021 roku wiecu w Kaliszu, podczas którego dokonano spalania kopii Statutu kaliskiego (gwarantującego Żydom w XIII-wiecznej Wielkopolsce w ograniczonym zakresie własne sądownictwo wyznaniowe oraz określającego m.in. sankcje grożące za fałszywe oskarżenia Żydów). Grupa uczestników skandowała również: „Śmierć Żydom!”. Nie było reakcji ani miejscowej policji, ani przedstawiciela prezydenta miasta – wiec trwał kilka godzin. Prokuratura okręgowa w Sieradzu nie dopatrzyła się w tym niedopełnienia obowiązków przez funkcyjona-

riów wysłane w styczniu 2022 roku m.in. do Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Z odpowiedzi, jaką otrzymaliśmy z Ministerstwa Edukacji i Nauki, wynika, że w dziedzinie oświaty podejmowany jest cały szereg skutecznych działań, które prowadzą do eliminacji zjawiska antysemityzmu, a uczniowie polskich szkół uzyskują gruntowną wiedzę nt. historii polskich Żydów. Wszyscy czekamy zapewne na rezultaty tak prowadzonego nauczania. Co ciekawe, na Węgrzech tamtejsze władze właśnie finalizują prace na swoją strategię, równoległe zaś toczy się proces konsultacji ze społecznością żydowską.

Jesienią 2021 r. polski rząd potwierdził „uznanie przez Polskę roboczej prawnie niewiążącej definicji antysemityzmu IHRA za ważny i oczywisty punkt odniesienia w przeciwdziałaniu temu zjawisku”. To bardzo ważna deklaracja. Jednak z drugiej strony, wciąż brakuje jej przełożenia na konkretne działania kompetentnych organów państwa. A przynajmniej taka informacja nie pojawiła się w obiegu publicznym. Również na poziomie samorządowym definicja słabo się przyjmuje. Tu chlubnym wyjątkiem jest miasto Płock, którego prezydent ogłosił deklarację ws. przeciwdziałania antysemityzmowi, której częścią jest właśnie wspomniana definicja.

nariuszy policji, prokuratorów i sędziów. Co jednak najważniejsze – i co warunkuje wdrażanie wymienionych wyżej elementów – absolutnie niezbędne jest komunikowane w sposób jednoznaczny stanowisko władz państwowych co do braku tolerowania postaw antysemickich. Za tym winny iść nie tylko pociąganie do odpowiedzialności tych, którzy swój antysemityzm upubliczniają, ale i nieuchronność kary.

Odpowiedzialnością rządów, społeczeństwa obywatelskiego oraz każdego z nas jest sprzeciwianie się wszelkim przejawom antysemityzmu. Cytując bowiem Marka Edelmana: „Jak się przyglądasz złu i odwracasz głowę albo nie pomagasz, kiedy możesz pomóc, to stajesz się współodpowiedzialny. Bo twoje odwrócenie głowy pomaga tym, którzy dopuszczają się zła”. Jeśli odwracamy głowy, gdy na murach naszych miast gwiazdy Dawida wiszą na szubienicach; gdy towarzyszy im napis „Jude raus”; gdy słowo „Żyd” jest wyzwiskiem; gdy w mediach usiłuje się oczerniać osoby publiczne, przypisując im rzekome działania w interesie międzynarodowych organizacji żydowskich; gdy wyszukiwanie żydowskich przodków ma dyskredytować sąsiada czy adwersarza w sporze politycznym – pomagamy złu. Nasze działanie, na poziomie ministerstwa, urzędu miasta, klubu sportowego, uczelni,

MA SIĘ DOBRZE

społecznym – wynikającym nie z biologii, ale z kultury. Niestety, w polskiej kulturze nadal funkcjonują kody, stereotypy, które cechuje podejrzliwość, niechęć, a czasem nawet nienawiść do Żydów. Sprawę komplikuje to, że przez wieki wrogość i pogarda wobec Żydów była elementem nauczania chrześcijańskiego. Sobór Watykański II przyniósł w tej dziedzinie przewrót, ale niekoniecznie przełożyło się to na zmiany w społecznej percepcji Żydów w Polsce.

W tym kontekście warto wspomnieć o kampanii „Nie mów jak antysemita” zainicjowanej w 2022 roku przez American Jewish Committee Central Europe oraz platformę Meta. Posty tej kampanii, wyświetlone na Facebooku i Instagramie ponad pięćdziesiąt milionów razy, zwracały uwagę polskich użytkowników na fakt, iż niedopuszczalne jest używanie słowa „Żyd” jako obelgi. Niedopuszczalne – ponieważ rani każdego, kto jest Żydem lub kto odczuwa solidarność z narodem żydowskim. „Ale z ciebie Żyd”, „ty Żydzie” czy „żydzić” to niestety w potocznej polszczyźnie słowa nacechowane negatywnie, rzucane najczęściej w sytuacji, w której w grę wchodzi pieniądze. Przy czym język polski nie zna „zamienników” w postaci sformułowań „ty Szkocie”, „ty Bośniaku” czy „ale z ciebie Wietnamczyk”. Żadne inne określenie narodowości czy wyznania nie niesie ze sobą tak intensywnie negatywnych emocji. To ogrom-

ne wyzwanie dla polszczyzny i dla nas wszystkich współtworzących polskie społeczeństwo.

Nie mniejszym problemem jest postrzeganie ludzi przez pryzmat ich, nawet odległych, przodków. Osobiście znamy osoby, które w dzieciństwie słyszały w szkole: „przechrzta”, „Żydowica”. Powód? Jeden z przodków, trzy pokolenia wcześniej, jeszcze przed II wojną światową, przeszedł z judaizmu na katolicyzm. Dlaczego do dziś w przekonaniu części sąsiadów posiadanie żydowskiego przodka, który osiemdziesiąt lat temu zmienił wyznanie, jest „skazą” na polskość? To także przykład myślenia według kategorii rasowych. Oczywiście wydaje się skojarzenie z ideologią, która w latach 30. minionego wieku zaowocowała ustawami normoberskimi. Warto dodać, że w roku 1964 komunistyczne MSW opracowywało tzw. listę żydowską obejmującą osoby, które zmieniły nazwiska, dokonały konwersji z judaizmu oraz pozostawały w mieszanych, żydowsko-chrześcijańskich małżeństwach. Marzec '68 był postawieniem kropki nad „i” w tym procesie wypychania Żydów z Polski. Czy nie jest przerażające, że część polskiego społeczeństwa podziela (zapewne nieświadomie) przekonania ówczesnego szefa MSW Mieczysława Moczarza w kwestii uznawania pochodzenia żydowskiego za obciążenie w życiu?

riusz publicznych. Podobny wiec powtórzono w roku 2022, tym razem w Krakowie. Znowu – żadnej reakcji władz. Zarówno samo organizowanie tego typu wydarzeń w przestrzeni publicznej, jak i brak działania ze strony właściwych instytucji państwa wysyłają czytelny sygnał do społeczeństwa: wyznawanie i propagowanie poglądów antysemickich jest tolerowane. Głoszenie nienawiści do konkretnej grupy społecznej, włącznie z nawoływaniem do zabijania jej członków, jest akceptowalne. Taki przekaz rozzuchwala środowiska radykalne, a większość społeczeństwa czyni nieczułą na nienawiść wobec mniejszości.

SKUTECZNA EDUKACJA?

Polskie społeczeństwo (ale też wiele społeczeństw Europy Środkowej i Wschodniej) wciąż nie uporało się również z historią Holocaustu, a właściwie z kwestią różnych postaw wobec masowej zagłady Żydów, a stosunek instytucji państwa (w tym reakcji prawnych) wobec tego problemu i szerzej – przejawów antysemityzmu, wymaga radykalnej zmiany.

Nie wiemy, czy polski rząd pracuje nad krajową strategią zwalczania antysemityzmu, do czego jest zobowiązany m.in. przez Komisję Europejską. Nie doczekaliśmy się reakcji na rekomendacje

Niechęć wobec Żydów przenosi się na kolejne grupy mniejszościowe, a niechęć wobec innych grup wcześniej czy później dotyka także Żydów

Czy polskie sądy mają świadomość istnienia definicji i sięgają po nią w sprawach dot. nienawiści wobec Żydów? Czy wiedzą o poparciu przez polskie władze stosowania definicji prokuratorzy i funkcjonariusze policji? Czy wiedzą o tym kuratorzy i dyrektorzy szkół, nauczyciele historii, historii i teraźniejszości oraz wiedzy o społeczeństwie? Nie zadajemy tych pytań jako retorycznych.

WALKA MA SENS

Przeciwdziałanie jakiegokolwiek formie uprzedzeń, nienawiści czy dyskryminacji jest długotrwałym, złożonym i niezwykle wymagającym procesem. Można jednak wskazać na pewne polityki czy działania, bez których zwalczanie antysemityzmu będzie nieskuteczne, nieudolne i nieszczerne. Konieczne są programy edukacyjne dla młodzieży, w których antysemityzm nie występuje jako teoretyczne zjawisko, ale pokazywany jest na rodzimych przykładach, a młodzież dowiaduje się o jego konsekwencjach, o tym, jak nienawiść do Żydów dotyka prawdziwych ludzi. Nieodzowne jest korzystanie przez młodzież z podręczników, które same wolne są od stereotypowego przedstawiania Żydów. Potrzebne są szkolenia w zakresie rozpoznawania przestępstw na tle antysemickim – obowiązkowe dla funkcyjona-

riów, przystanku autobusowego – lub zaniechanie tego działania – będzie miało konsekwencje. ●

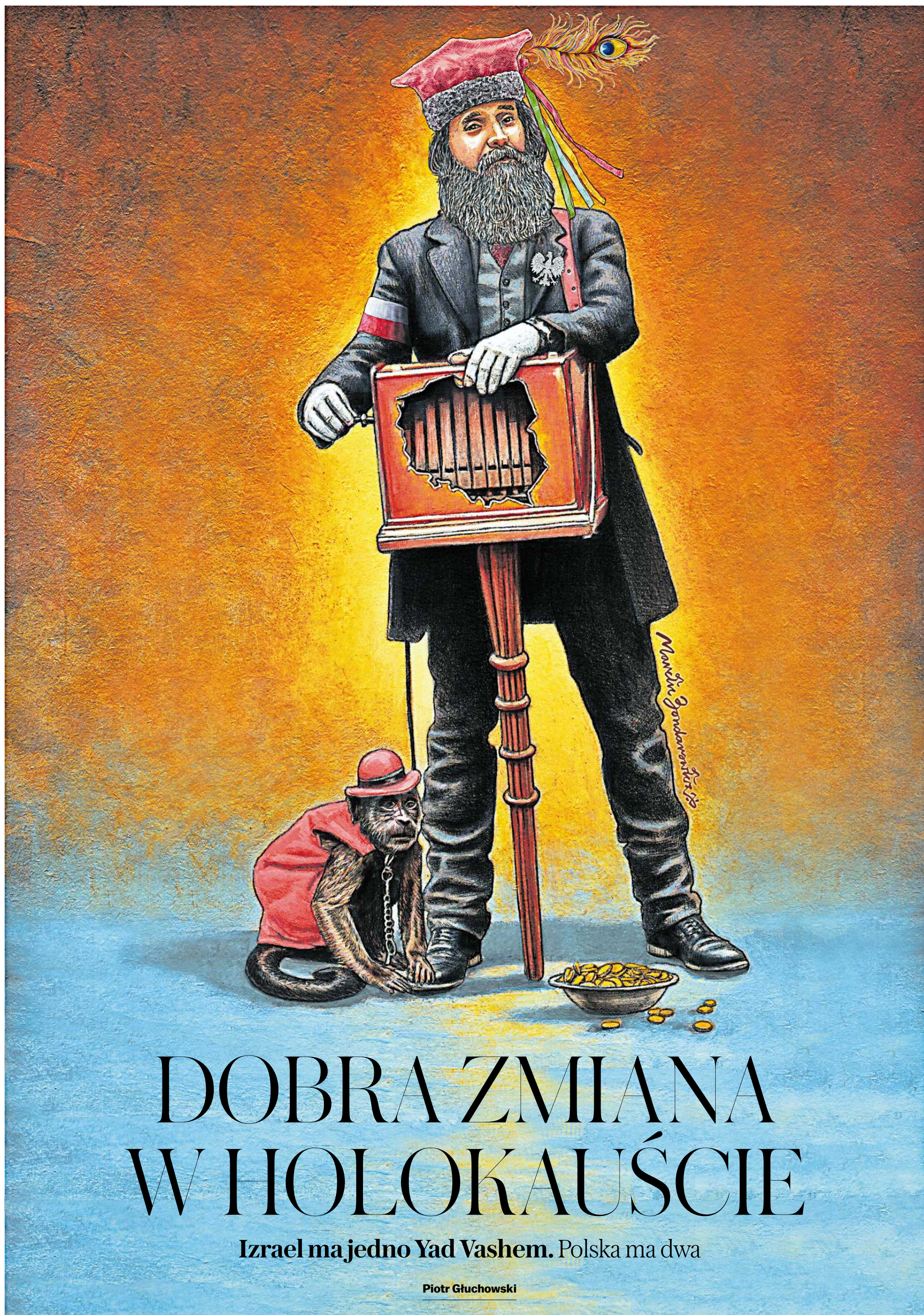


***Dr Sebastian Rejak** – dyrektor biura American Jewish Committee na Europę Środkową



****Dr Aleksandra Gliszczyńska-Grabias** – adiunkt w Instytucie Nauk Prawnych PAN, członkini rady zarządzającej International Association of Jewish Lawyers and Jurists

Tytuł, śródtytuły i skróty – od redakcji



nstytut Pileckiego chce zaliczyć Holokaust do zbrodni przeciwko narodowi polskiemu – uważa prof. Dieter Pohl, specjalista od II wojny światowej z Uniwersytetu w Klagenfurcie.

– To zdumiewająca i niedorzeczna opinia – odpowiada Barbara Konarska, kierowniczka Centrum Informacyjnego IP. – Gdyby profesor Pohl zadał sobie trud zapoznania się z działaniami Instytutu, zobaczyłby, że to, co mówi, nie jest prawdą: nie zajmujemy się fałszowaniem historii ani jej koloryzowaniem. Zatrudnieni u nas historycy i archiwiści zbierają świadectwa i fakty, gromadzą dane, wykonują żmudną pracę naukowo-popularyzatorską. Programy, które realizujemy w ramach badań nad Holokaustem, nie mają na celu polonizacji ofiar. Czy Dieter Pohl chciałby jednak przemilczeć fakt, iż ponad trzy miliony Żydów, których zamordowali niemieccy okupanci, miało obywatelstwo polskie?

MINISTER GLIŃSKI: POTRZEBA POWAŻNEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

Pierwszy był Instytut Solidarności i Odwagi powołany – z inicjatywy posłów Zjednoczonej Prawicy – w listopadzie 2017 r. Wnioskodawcy chcieli placówki, której celem będą „badanie, popularyzacja, dokumentowanie i poszerzanie wiedzy na temat zbrodni naziistowskich i komunistycznych” oraz polskiego oporu wobec tychże.

Dziesięć miesięcy później nowy twór wchłonął mniejszy od siebie Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami, który stworzyła jeszcze w roku 2016 wiceminister kultury Magdalena Gawin, profesorka historii i publicystka „Rzeczpospolitej”, „Teologii Politycznej”, „Wiedzy i Życia”. Połączona instytucja (od dwóch lat pod jej dyktando) zyskała drugą nazwę: Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego.

Rotmistrz Pilecki – przedwojenny kawalerzysta, żołnierz AK i organizator ruchu oporu w KL Auschwitz – został sądowo zamordowany przez komunistów w roku 1948. Wyrok unieważniono w 1990, dziesięć lat temu bohatera pośmiertnie awansowano do stopnia pułkownika.

Celem Instytutu jego imienia jest nie tylko pielegnowanie wiedzy o totalitaryzmach, ale też (i to będzie istotne) „upamiętnianie i honorowanie osób zasłużonych dla Narodu Polskiego w dziele (...) niesienia pomocy (...) obywatelom polskim innych narodowości będącym ofiarami zbrodni (...) w latach 1917-1990”.

Określenie jest szerokie, lecz w istocie chodzi głównie o niesienie pomocy obywatelom polskim narodowości żydowskiej w latach 1939-45.

– Polska potrzebuje poważnej polityki historycznej – mówił w Sejmie przy okazji powoływania IP zwierzchnik Magdaleny Gawin, minister kultury Piotr Gliński. Opozycyjni posłowie komentowali złośliwie, że dotychczasowe inicjatywy w tym względzie – choćby powołana przez państwowe spółki Polska Fundacja Narodowa, Reduta Dobrego Imienia późniejszego szefa KRRiT Macieja Świrskiego czy krajowa odnoga Ordo Iuris mecenasa Jerzego Kwaśniewskiego – nawet sam wicepremier uważa za niepoważne.

Do nowego Instytutu szybko przylgnęła nazwa polskiego Yad Vashem. To określenie widnieje nawet w wikipedycznym „biogramie” IP. Co do placówki izraelskiej – gromadzi ona dane ofiar Holokaustu i tych, którzy pomagali niektórym Żydom przeżyć. Janusz Korczak ma na Wzgórzu Herzla pomnik, Irena Sendler – drzewo, a wszystkich Polaków, których imiona wyrto na ścianie, jest ponad siedem tysięcy. Instytut Pileckiego honoruje osoby ratujące Żydów (i nie tylko) w inny sposób. Składa w Kancelarii Prezydenta RP wnioski o nadanie im medalu Virtus et Fraternitas (Męstwo i Braterstwo). Odnaczenie zostało ustanowione w 2017 r.

tą samą ustawą sejmową co IP. Jak dotąd udekorowano kilkadziesiąt osób – głównie to Polki i Polacy, ale są też Czesi, Słowacy, Węgrzy, Żydzi...

Osobnym projektem IP jest obejmujący już tylko obywateli polskich program o nazwie „Zawołani po imieniu”. Motto pochodzi z wiersza Zbigniewa Herberta „Pan Cogito o potrzebie ścisłości”. Fragment: „...jak trudno ustalić imiona wszystkich tych, co zginęli w walce z władzą nieludzką (...) a przecież w tych sprawach konieczna jest akuratność. Nie wolno się pomylić nawet o jednego (...) musimy zatem wiedzieć, policzyć dokładnie, zawołać po imieniu...”.

Na internetowej stronie IP tłumaczy, na czym to „zawołanie” w praktyce polega: „Wydobywamy z niepamięci historie Polaków, którzy za ratowanie Żydów od Zagłady zapłacili życiem własnym i swoich najbliższych. Naszym poszukiwaniom archiwalnym towarzyszą wizyty w miejscach zbrodni – najczęściej małych miejscowościach i wsiach. W każdym przypadku punktem kulminacyjnym jest odsłonięcie kamienia z inskrypcją, która po polsku i po angielsku upamiętnia zamordowanych Polaków oraz ratowanych Żydów. Staje się trwałym znakiem pamięci o bohaterach tam, gdzie tragiczne wydarzenia miały miejsce”.

Wśród ponad 70 Zawołanych do tej pory najszerzej opisano w mediach dwie osoby – kolejarza Jana Maletkę, o którym dalej, oraz cioteczną babkę Magdaleny Gawin – Jadwigę Długoborską, której pomnik Instytut uroczyście odsłonił w 2019 r. w Ostrowi Mazowieckiej.

MIKHAŁ DEKEL: DOWODY BOHATERSTWA SĄ SŁABE

Strona Instytutpileckiego.pl ma wyszukiwarkę, dzięki której łatwo odnajduję – wśród innych Zawołanych – biogram bohaterki: „Jadwiga Długoborska udzieliła [w prowadzonym przez siebie pensjonacie] schronienia 10 osobom z żydowskich rodzin Renkant, Ryczke, Lewartowicz i Szumowicz. Dzięki jej pomocy mogli [w latach 1939-1941] przedostać się za przebiegającą dwa kilometry dalej granicę z ZSRR i uniknąć losu [pozostałych] ostrowskich Żydów”. W roku 1944 Długoborska została aresztowana, po czym „była przesłuchiwana i torturowana w [ostrowieckiej] siedzibie gestapo. Została zamordowana strzałem w tył głowy. Jeden z lokatorów Długoborskiej służący się tzw. aryjskimi dokumentami zdołał uciec Niemcom, a po wojnie jego syn złożył wniosek o pośmiertne odznaczenie Jadwigi medalem Sprawiedliwych, pozostał do dzisiaj nierozpatrzone”.

Dlaczego? Światło na problem rzuca list, jaki na wieść o postawieniu w Ostrowi kamienia-pomnika przysłała do redakcji „Wyborczej” profesorka literatury z City University of New York – Mikhał Dekel:

„Moja żydowska rodzina mieszkała od ośmiu pokoleń w polskim miasteczku Ostrów Mazowiecka. Podobnie jak rodzina Magdaleny Gawin, polskiej wiceminister kultury. Jej zamordowanej przez Niemców krewnej powołana przez nią instytucja postawiła pomnik. Po moich przodkach nie ma śladu. W dawnej synagodze działa teraz warsztat samochodowy, a w jeszowie – przedszkole. Wszystkie domy i przedsiębiorstwa należące do Żydów – w tym nasz rodzinny browar i pięć domów wokół – zostały zburzone lub zyskały nowe przeznaczenie. Przy wejściu do mieszczącej się tam teraz szkoły widnieje tablica pamiątkowa z napisem: Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków walczących o wolność z hitlerowskim okupantem, 1939-1944”.

Teraz clou listu Dekel: „Magdalena Gawin jest przekonana, że jej cioteczna babcia dała schronienie żydowskiemu rezydentowi, którzy mieszkali w hoteliku przed wojną (...) dowody: przedwojenna księga hotelowa z żydowsko brzmiącymi nazwiskami i świadectwo siostry Jadwigi, Cecylii Pacheckiej, która widziała, jak Długoborska myje dwóch obcych chłopców w hotelowej kuchni”.

Dekel opisała też spotkanie z Gawin w Polsce w 2014 r. Dzisiejsza szefowa IP miała wówczas ubolewać, że dowody na ratowanie Żydów przez jej cioteczną babkę nie są na tyle mocne, by Yad Vashem przyznało jej tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. „Spytała, czy mogę jej pomóc zlokalizować kogoś, kogo Jadwiga mogła uratować” – opisywała Dekel. Amerykańska badaczka zaznaczyła jednak, że „w swoich poszukiwaniach” nigdy nie natknęła się na Jadwigę Długoborską jako osobę, która miałaby ukrywać żydowskich sąsiadów lub im pomagać.

MAGDALENA GAWIN: ROBIMY TO, O CZYM ZAPOMNIELIŚCIE

„Upraszczając: skoro Żydzi nie chcą przyznać pani ciotecznej babce medalu, zrobiliście w Polsce własne Yad Vashem i nadajecie własny medal – piszę do profesorki-dyrektorki. – Czy honorowanie krewnej nie było niezręcznością?”.

„Pana pytanie zakłada konkurencyjność czy konfrontacyjność inicjatyw upamiętniających – odpisuje Magdalena Gawin. – Podkreślam, że takiego konkurencyjnego nastawienia nie ma. Są różne biografie osób zasługujących na pamięć i są różne programy, różne instytucje upamiętniające oraz różne procedury i kryteria. Przypomnijmy, jak wygląda sytuacja całej grupy Polaków zamordowanych przez niemiecką policję za pomaganie Żydom. Zdecydowana większość nie ma i nie otrzyma nigdy żadnego wyróżnienia z Instytutu w Jerozolimie. Najczęstszą przyczyną jest brak wniosku ocalonego lub żydowskiego świadka, bo zginęli razem

– Stacja kolejowa Treblinka była przedsionkiem piekła, a dziś pomniki stawiane przez Instytut Pileckiego mają przekonywać, że Holokaust to historia polsko-żydowskiej przyjaźni, polskiego poświęcenia

z opiekunami lub krótko po wojnie. Yad Vashem nie uznaje polskich zeznań przed prokuratorem pod przysięgą, nawet jeśli zeznania zostały złożone przez naocznych świadków”.

Mikhał Dekel jednak pisze, że to nieprawda: „Yad Vashem dopuszcza inną dokumentację niebędącą świadectwem ocalałych, a program »Zawołani po imieniu« służy de facto obchodzeniu kryteriów uznania za Sprawiedliwego i zbudowania wizerunku Polski jako dobrego i szlachetnego, ukrzyżowanego narodu, a Polaków jako odważnych i dzielnych obrońców, takich jak Jadwiga. Ta obsesja wyprzedziła o lata wyborcze zwycięstwo PiS”.

Magdalena Gawin o „niezręczności honorowania krewnej”: „Mordechaj Paldiel, który przez dziesiątki lat prowadził program w Yad Vashem, opowiadał o swoich początkach pracy – zaczął od własnej historii i upamiętnienia osób ratujących jego rodzinę. Takich przykładów w polu badań nad historią najnowszą, w tym w badaniach nad Holokaustem, jest dużo. Paldiel mówił, że często badania i duże projekty rodzą się z przemyślenia doświadczeń rodzinnych historii.

Cała sytuacja dodatkowo zmusza do refleksji: dlaczego osoby »zawołane« dotąd nie były pamiętane? To pytanie do polskich elit, do których zaliczam »Wyborczą«. Przez dziesięciolecia upamiętnienia tego typu, z różnych powodów, nie odbywały się. A zgodzimy się chyba, że wyjątkowe i chwalebne postawy należy upamiętniać niezależnie od naszych zapatrywań ideowych?”.

Porozumiewam się z panią profesor mailem (i czekam tydzień na odpowiedź), ponieważ pierwotne zaproszenie na rozmowę przy Foksal zostało mi cofnięte w związku z aferą „willa plus”. Z początkiem lutego redakcja „Stolecznej” umieściła IP na grafice ilustrującej rozkład nowych siedzib „fundacji i instytutów powołanych przez PiS” – co mocno rozsierdziło Magdalenę Gawin. Dlaczego?

„Ponieważ nie zostaliśmy powołani przez żadną partię, a ustawa powołująca do życia nasz Instytut została poparta przez wszystkie ugrupowania w parlamencie”.

Sprawdziłem – zgadza się. 20 lipca 2018 r. za Instytutem Pileckiego głosowali posłowie Zjednoczonej Prawicy, Kukiza, Platformy i PSL, a Senat nie wniósł poprawek. Parlamentarzyści uznali zgodnie, że przyda się placówka, która zmieni zły stereotyp Polaka „pogromczyka” i beneficjenta Zagłady na obraz bohaterskiego ratownika ofiar Holokaustu.

– Obydwie figury są odległą od prawdy historycznej karykaturą – mówi Barbara Konarska. – A nasz cel jest inny: popularyzujemy sylwetki ludzi, którzy zostali zamordowani za pomoc społeczności żydowskiej podczas okupacji. W tej historii jest również miejsce na opowieść o zdrajcach, bo za śmiercią bohaterów częstokroć krył się donos. I nie trzeba do tego dorabiać żadnej ideologii. Zawołani po prostu zasłużyli na upamiętnienie i nazwanie bohaterstwa – bohaterstwem. Przez 80 lat o tych ludziach milczano, dziś przerywamy milczenie. Warto, by pamięć o nich zaczęły pielegnować również niemieckie instytucje. Zna pan jakieś publikacje w Niemczech na ten temat? Bo ja nie.

ANDRZEJ PACZKOWSKI: PO CO TWORZYĆ KOLEJNĄ INSTYTUCJĘ?

IP zatrudnia na etatach około 150 pracowników. Do tego dochodzą umowy o dzieło, współpracownicy i wolontariusze – w sumie kilkaset osób. Z tego, co amatorsko podliczyłem, wynika, że instytucja kosztowała podatników minimum pół miliarda złotych. Górnej granicy kosztów nie znam. Cyfry – choć to placówka publiczna – pozostają, prawem kaduka, tajne.

Na moje proste pytanie: „Ile kosztowała cała dotychczasowa działalność IP od roku 2018?”, prof. Gawin odpowiada: „Dota-

cja podmiotowa i środki inwestycyjne są liczone oddzielnie. Cała dotychczasowa działalność sugeruje, że chodzi Panu o dotację podmiotową. (...) W budżecie Instytutu są działania takie jak liczne wystawy czy digitalizacja milionów stron dokumentów archiwalnych – to kosztuje, ale zgodzi się Pan, że programy (podobne zresztą do tych, jakie robi np. Holocaust Memorial w Waszyngtonie) są potrzebne i będą wykorzystywane przez kolejne pokolenia naukowców i dziennikarzy”.

Żadnej liczby w odpowiedzi nie ma. Pozostało mi zatem liczyć rządowe dotacje dla IP „na piechotę”. Pierwsza z dużych – 76 milionów złotych – sfinansowała wynajęcie siedziby w Kamienicy Lewenfisza przy Foksal (ściśle centrum stolicy), a także pierwsze etaty, komputery itd. Dla porównania – budżet Instytutu Pamięci Narodowej z tego samego roku 2018 to 400 mln zł. A pola działań obu instytucji mocno się pokrywają.

To IPN jako pierwszy zaczął się zajmować (cytuje ze statutu) „zbrodniami popełnionymi na osobach narodowości polskiej lub obywatelach polskich innych narodowości od 1917 do 1990 roku”. I to IPN ma również (cytuje z witryny Instytutu) „przeciwdziałać rozpowszechnianiu w kraju i za granicą nieprawdziwych treści historycznych krzywdzących lub zniesławiających Rzeczpospolitą Polską lub Naród Polski”. Identyczne zadanie ma (jak już wiemy) Instytut z ulicy Foksal.

Profesor Andrzej Paczkowski, historyk i były członek Kolegium IPN, uznaje tę sytuację za absurdalną: – Mamy już Urząd ds.

obraz, wskazując, że przykładów heroicznych postaw Polaków wobec Narodu Żydowskiego jest o wiele więcej”.

Ile? Według Centrum z Torunia – przeszło 40 tysięcy. Z tej grupy 16 tysięcy nazwisk uwieczniono w trzewiach setki trzymetrowych postumentów ustawionych w wyłożonej granitem alei tworzącej na zachodnim przedmieściu zabytkowego miasta podświetlony nocami, widoczny ze stratosfery konturny Polski. Aby odczytać dane „toruńskich Sprawiedliwych”, wystarczy zaimportować przy wejściu do Parku Pamięci stosowną aplikację i przyłożyć komórkę do któregoś z cokółów. Byłem w tym miejscu trzy razy i zawsze byłem tam sam. Ale nie żałuję, bo mogę teraz porównać biogramy zgromadzone w latach 2010-18 przez redemptorystów z Zawołanymi przez Instytut Pileckiego.

* Katarzyna i Sebastian Kazakowie z Brzozy Królewskiej pod Leżajskiem w zasobach toruńskiego Centrum: „23 marca [1942] przed dom zajęła furmanka. Niezapowiedziani goście doskonale wiedzieli, dokąd mają iść i kogo szukać (...) zeskoczyli z wozu i pognali do obory. Po chwili prowadzili przed sobą przerażoną Chanę. Kaci rozprawili się [jeszcze] z trojgiem innych Żydów, jeden z nich pobiegł do pobliskiej leśniczówki skorzystać z telefonu. Potrzebował wskazówek, co zrobić z Katarzyną i Sebastianem. Zabić! – usłyszał. Na pierwszy ogień poszedł Sebastian. Gdy Katarzyna ujrzała nieżyjącego męża, osunęła się na ziemię. Zaraz potem padł strzał. Kula utkwiała w głowie...”.

** Katarzyna Kazak na stronie IP: „Chana Stiller (...) chodziła do domu Kazaków, gdzie dostawała posiłek i nocowała. Żydówkę czę-

Powtarzających się na obu witrynach biogramów jest oczywiście więcej.

„Jak się pani odniesie do zarzutu, że IP robi nie tylko to samo co IPN, ale i toruńskie Centrum Pamięć i Tożsamość?” – pytam profesor Gawin.

Odpowiedź: „Instytut Pileckiego prowadzi działalność naukową, badawczą, wystawienniczą, organizuje międzynarodowe konferencje, digitalizuje zagraniczne archiwa, nagrywa notacje ze świadkami epoki, prowadzi intensywną współpracę międzynarodową. Czym się różni od zakonu redemptorystów – naprawdę trudno powiedzieć”.

Na marginesie: „Po co jest Instytut Historyczny UW, skoro istnieje Instytut Historii PAN albo Instytut Studiów Politycznych PAN? Po co jest Muzeum Polin, skoro jest już Żydowski Instytut Historyczny i buduje się Muzeum Getta? Jest miejsce na wielość i pluralizm instytucji. Pytanie jest absurdalne. Przyjmę krytykę, byle uczciwą i opartą na wiedzy...”.

WNUCZKA ROTMISTRZA: BERLIN ROBI DOBRĄ ROBOTĘ

O kolejnych – po wspomnianej pierwszej dotacji dla IP – „Wyborcza” pisała nieraz, więc odnotuję krótko:

● W 2021 r. rząd przyznał Instytutowi ponad 150 milionów, w tym 30 na przebudowę i rozbudowę przyszłej warszawskiej siedziby IP w biurowcu przy ulicy Siennej oraz pięć milionów na Dom Tur-

Wnuczka rotmistrza Pileckiego, Beata Pilecka-Różycka, mówi mi, że „pani Hanna robi doskonałą robotę”.

– O warszawskiej części instytutu działka mało panu powiem. Znam jego polityczną afiliację, lecz nie chcę na ten temat mówić. Natomiast berlińską filię mogę tylko chwalić. Bywam w stolicy Niemiec głównie na wystawach i te instytucje są naprawdę świetne. Na przykład o Białorusi... Zaraz, gdy się zaczęły tam protesty przeciw Łukaszence, udało się pani Hannie ściągnąć do Berlina opozycjonistów z Mińska, nawet im załatwili w Berlinie mieszkania. Ci ludzie pokazywali wstrząsające rysunki robione w więzieniach. Wcześniej była też bardzo merytoryczna ekspozycja poświęcona dziadkowi, z której Niemcy mogli się wreszcie dowiedzieć, jak wyglądała historia.

Hannie Radziejowskiej udało się przy okazji przemówić do szerszego – niż amatorzy wystaw – grona niemieckich odbiorców. Po wystawie udzieliła wywiadu tygodnikowi „Der Spiegel”.

Dziennikarz Jan Puhl: – Pani Instytut uważany jest za organ wykonawczy nacjonalistycznej polityki historycznej prawicowo-populistycznego rządu w Warszawie.

Radziejowska: – W Niemczech często udaje się, że polityka historyczna jest w jakiś sposób obrzydliwa. Ale Niemcy też ją prowadzą. Za czasów kanclerza Helmuta Kohla utworzono na przykład niemieckie instytuty historyczne w Stanach Zjednoczonych i Warszawie. To nie jest wymysł PiS. Niemieckie powiązania w Europie są dziś bardzo silne, kształtują potoczny język kultury europejskiej. Niemcy zeuropeizowali swoją perspektywę. Po co nam więc perspektywa polska? Bo niemiecką już mamy.

JAN GRABOWSKI: PYCHA I BEZWSTYD

Kolejne pieniądze przyznane IP jeszcze w ramach zeszłorocznego budżetu to pół miliona na wynajem dwóch lokali (blisko 700 metrów) dla trzeciej stołecznej lokalizacji Instytutu – na parterze Domu bez Kantów przy Trakcie Królewskim. Znów trudno o lepszy punkt: z jednej strony Bristol, z drugiej – plac Piłsudskiego z pomnikiem smoleńskim.

– Po co Instytutowi tyle nieruchomości? Żeby było co wynajmować, gdy PiS straci władzę?

Barbara Konarska: – Budynek przy Siennej umożliwi pracę wszystkich działów Instytutu nareszcie w jednym miejscu i da szansę odbiorcom, również czytelnikom „Wyborczej”, na dostęp do tematycznej biblioteki i archiwum, na które czeka środowisko naukowo-studenckie. Proszę pamiętać, że poza tym, o czym mówiliśmy, Instytut realizuje także program dokumentacji zbrodni wojennych w Ukrainie. Inicjujemy międzynarodowe debaty dotyczące możliwości ukarania rosyjskiego agresora. Bez własnej siedziby rozwój tej działalności nie będzie możliwy.

Jak pan widzi, utrwalamy nie tylko martyrologię polską. W związku z zadaniem przyjeśliśmy do pracy licznych Ukraińców... są chwile, że na Foksal nie ma gdzie usiąść. Co do reszty lokali: Dom Turka będzie Muzeum Obławy Augustowskiej, miejscem upamiętnienia największej powojennej zbrodni na Polakach. A Dom bez Kantów to przestrzeń wystawiennicza, gdzie prezentujemy wystawę poświęconą Zawołanym. Z kolei w naszej siedzibie na Unter den Linden trwa zbiórka i dystrybucja darów dla Ukrainy. Rosjanie próbują temu wszystkiemu przeszkadzać na różne sposoby. Ostatnio zhakowano stronę Instytutu. Nie chce się pan chyba swoim artykułem wpisać w te działania?

Tego oczywiście nie chcę, ale muszę wrócić do Jana Maletki. 25 listopada 2021 r. – w Dniu Kolejjarza – Instytut Pileckiego zawałował po imieniu młodego człowieka z Mińska Mazowieckiego.

Jego biogram na stronie IP: „...decyzją władz okupacyjnych Jan Maletka został

Mamy już Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, a IPN ma własne pionory historyczne. Po co tworzyć kolejną instytucję? Chyba tylko po to, aby była ona całkowicie podporządkowana władzy

Kombatantów i Osób Represjonowanych, a IPN ma własne pionory historyczne: między innymi Biuro Badań Naukowych i Biuro Edukacji Publicznej, które zatrudniają sto kilkadziesiąt osób i nieźle dają sobie radę – mówi w portalu Natemat.pl. – Po co tworzyć kolejną instytucję? Chyba tylko po to, aby była ona całkowicie podporządkowana władzy. Bo jeżeli się coś przekształca, jak IPN, to całego personelu od razu wymienić nie można, zawsze zostają jakieś złoży z poprzedniego etapu. A jak się coś tworzy od nowa, istnieje pełna swoboda doboru pracowników i od razu można wziąć takich, którzy będą sprawnie realizowali wytyczone cele.

PROFESOR GAWIN: PYTANIE JEST ABSURDALNE

Profesor Paczkowski nie wspomniał o jeszcze jednej instytucji – upamiętnianiem polskich bohaterów lat Zagłady zajmuje się również Międzynarodowe Centrum Informacyjne Instytutu im. św. Jana Pawła II „Pamięć i Tożsamość” prowadzone w Toruniu przez należącą do o. Tadeusza Rydzika fundację Lux Veritatis.

Na stronie głównej Centrum czytam, że „najwyższym odznaczeniem państwowym nadawanym za pomoc Żydom w czasie II wojny światowej jest medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Spośród ponad 26 tysięcy uhonorowanych 25 procent stanowią Polacy. Badania prowadzone przez Instytut Pamięć i Tożsamość dopełniają ten

sto odwiedzało dwóch znajomych mężczyzn. Oni także otrzymywali pożywienie i korzystali z noclegów na strychu. 27 marca 1943 roku na podwórzu pojawili się niemieccy żandarmi. Akurat tego dnia w domu Kazaków przebywali wszyscy otrzymujący pomoc Żydzi. Najpierw zastrzelono mężczyzn, którzy spali na strychu. Potem przeszukano oborę. Chana Stiller została wyprowadzona i rozstrzelana. Kazakowie (...) również otrzymali wyrok śmierci”.

* Karolina Juszczykowska z Tomaszowa Mazowieckiego według danych toruńskich: „23 lipca 1944 r. funkcjonariusze policji i niemieckiej żandarmerii wtargnęli do jej mieszkania w poszukiwaniu elementu żydowskiego. Polka bowiem od 6 tygodni ukrywała w piwnicy dwóch Żydów. Nie miała innego wyjścia – bez grosza przy duszy zgodziła się, by mężczyźni schronili się u niej w zamian za 300 zł tygodniowo. – Błagam o litość, ja naprawdę nie miałam za co kupić chleba... – tłumaczyła się na przesłuchaniu. Niemcy byli jednak nieprzejednani. (...) Wyrok [śmierci] wykonano 9 stycznia 1945”.

** Karolina Juszczykowska na stronie IP: „W czasie okupacji nie wiodło się jej zbyt dobrze. W czerwcu 1944 r. postanowiła jednak pomóc proszącym ją o schronienie Żydom, za co miała regularnie otrzymywać niewielką opłatę. Od tamtej pory ukrywała i żywiła w swym jednopokojowym mieszkaniu dwóch Żydów. Po sześciu tygodniach Niemcy odnaleźli ich kryjówkę. Żydów rozstrzelano, a Karolinę aresztowano [i] skazano na karę śmierci”.

ka przy głównej ulicy 3 Maja w Augustowie. Ten ostatni nie należał – wbrew nazwie – do nikogo z Turcji, ale do spolonizowanej żydowskiej rodziny Rechtmanów. Po sowieckiej napaści w 1939 r. budynek był siedzibą NKWD, później – niemieckiej żandarmerii, po wojnie – Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, milicji i Wojsk Ochrony Pogranicza. Dalej niszczał w prywatnych rękach – Instytut kupił więc rudę, której remont – już rozpoczęty – pochłonie co najmniej drugie pięć milionów.

● W roku 2022 placówka profesor Gawin otrzymała 120 milionów na zakup zabytkowego kompleksu Schwanen przy nadjeźdźniej promenadzie w szwajcarskim Rapperswilu. Eklektyczny pałacyk, gdzie do 2016 r. mieścił się hotel Łabędzie, ma w przyszłości pomieścić pracowników IP oraz zbiory własnie likwidowanego na raperswillskim zamku Muzeum Polskiego, które założył 150 lat temu hrabia Władysław Plater. Moja rozmówczyni z IP zaznacza, że mieszczącą się w Schwanen elegancka restauracja może być ponownie otwarta i razem z częścią hotelową będzie przynosić Instytutowi dodatkowy dochód.

● W roku 2020 rząd przyznał Instytutowi Pileckiego 30 milionów złotych, z tego prawie osiem na filię w Niemczech – w prestiżowej lokalizacji u zbiegu placu Paryskiego i Unter den Linden, z widokiem na Bramę Brandenburską. Kierowniczką filii jest Hanna Radziejowska, scenarzystka i kuratorka projektów kulturalno-muzealnych.

skierowany do Malkini i zatrudniony tam jako robotnik kolejowy. Mieszkał w wagonie pracowniczym przy zwirowni w Treblince [gdzie zajmował się] m.in. obsługą składów wywożących kruszywo. Gdy jednak na stację wjeżdżały wagony transportujące Żydów do obozu śmierci Treblinka II, udzielał im pomocy – podawał wodę. Tak właśnie było przed południem 20 sierpnia 1942 roku...”.

Od wiosny trwała już niemiecka operacja „Reinhardt”, której celem było wymordowanie wszystkich Żydów zamieszkających w Generalnym Gubernatorstwie. 22 lipca ruszyła Grossaktion Warschau – w jej ramach wywieziono do komór gazowych ćwierć miliona mieszkańców stołecznego getta. O tym jednak na stronie IP nie przeczytam, dowiadując się za to, że Maletka niósł Żydom wodę wraz z bratem Stanisławem i kolegą Remigiuszem Pawłowiczem:

.....odstąpili od nakazanej im pracy i ruszyli w stronę pociągu, trzymając w rękach naczynia z wodą, aby [użyć] uwięzionym w wagonach i proszącym o pomoc. Starali się być ostrożni, mimo to jeden z wartowników dostrzegł ich i zaczął strzelać z broni automatycznej. Stanisław i Remigiusz padli na ziemię, następnie ukryli się w pobliskim rowie i dzięki temu udało im się przeżyć. Jan Maletka zginął na miejscu, miał 21 lat. Pozostawił rodzinę, przyjaciół i narzeczoną, z którą miał już wyznaczoną datę ślubu”.

Uroczyste odsłonięcie na boczniczy stacji kolejowej Treblinka potężnego kamienia z inskrypcją poświęconą Maletce zostało poprzedzone celebrowaną przez biskupa ordynariusza drohiczyńskiego Piotra Sawczuka mszą świętą w pobliskim sanktuarium Trójcy Przenajświętszej. Władze oświatowe z Ostrowi i Malkini wysłały z tej okazji uczniowskie poczty sztandarowe, wartość honorową przy głazie zaciągnęli żołnierze wojsk lądowych i harcerze. Profesor Gawin wygłosiła mowę zakończoną słowami:

– ...to miejsce jest tak szczególne i naznaczone takim cierpieniem tysięcy niewinnych ludzi, że musimy wszyscy pracować nad tym, żeby z tego nieszczęścia, z poświęcenia się młodego chłopaka, powstało dobro. Bo dobro musi zwyciężyć.

Po dyrektorce IP wyszła przed szereg dziewczyna, zdaje się – uczennica, która odczytała z kartki drugie przemówienie: – Mimo ogłoszonej przez niemieckiego okupanta kary śmierci za pomoc Żydom kolejarze na stacji udzielali, jak mogli, wsparcia...

- Takie słowa w Treblince zakrawają na szyderstwo z pamięci pomordowanych
- komentuje profesor Jan Grabowski, badacz Holokaustu z Uniwersytetu w Ottawie.
- Erygowanie tego pomnika w miejscu

uświęconym krwią setek tysięcy ofiar Holokaustu jest nie tylko znakiem złego smaku, ale przede wszystkim pychy i bezwstydu. Żeby zrozumieć dlaczego, należy przeczytać relacje świadków – Żydów.

Relacje, które profesor chętnie przytoczy. Jankiel Wiernik. „Wieśniacy przynosili wodę i żądali za butelkę 100 zł. Nie miałem pieniędzy, musiałem więc z wody zrezygnować. Inni kupowali. Za 1 kg chleba razowego płacono 500 złotych”.

Miesięczna pensja kancelisty wynosiła
wówczas mniej niż 300 zł.

Edward Weinstein: „Polacy, którzy pracowali na stacji, akceptowali tylko twardą walutę i kosztowności. Bez tego nie można było dostać wody. Ci litościwi na pewno dzielili się zyskiem z żołnierzami. Ktoś z naszego wagonu dał kilka złotych monet, za co otrzymaliśmy prawdziwy skarb: niewielkie wiaderko z wodą”.

Jakub Krzepicki: „W wagonie było coraz gorzej. Wody! Błagaliśmy przez okienko kolejarzy. Chcieliśmy im dać za to dużo pieniędzy. Płacono 500 i 1000 złotych za trochę wody. Pieniądże brali kolejarze i szaulisi [Litwini współpracujący z Niemcami]. Zapłaciłem 500 złotych (więcej niż połowę tego, co posiadalem) i dostałem garnuszek (około pół litra) wody. Kiedy zacząłem pić, dopadła mnie kobieta z krzykiem, że jej dziecko zmęzłalo. Piłem i nie mogłem oderwać garnuszka od ust [a wtedy ta] kobieta z całej siły wbiła się zębami w moją rękę”.

Grabowski: – Stacja kolejowa Treblinka była przedsiönkiem piekła, a dziś pomniki stawiane przez Instytut Pileckiego mają przekonywać miejscowych i turystów, że Holocaust to historia polsko-żydowskiej przyjaźni, polskiego poświęcenia.

MICHAŁ BILEWICZ: JESTEŚCIE GODNYMI KONTYNUATORAMI PRL

Po odsłonięciu kamienia przy torach w Treblince Magdałęną Gawin zaczął na Twitterze profesor UW, socjolog i publicysta serwisu Krytykapolityczna.pl Michał Bilewicz. „Stawianie tego pomnika [w tym miejscu] to hucpa i wyrafinowany trolling. Mogliście ufundować pomnik Jana Maletki w Mińsku czy choćby Malkini”.

Odpowiedź dyrektorki IP: „Chłopak zginął we wsi Treblinka. Wiesz to nie obóz śmierci. Do czego doszło, że obraża Pan pamięć o człowieku, który nie opuścił Żydów w najczarniejszych dniach i zapłacił za to życiem”.

Bilewicz: „Jeśli nie rozumie Pani nie-
stosowności takich działań, to nie ma sen-

su rozmawiać. Jesteście godnymi kontynuatorami PRL, który na siłę próbował w tym miejscu uprawiać martyrologię narodu polskiego – wtedy zrównywano obóz pracy Polaków [Treblinka I] z obozem zagłady Żydów [Treblinka II]”.

Profesor Gawin: „Dziękuję. Zrozumiałam, że chłopak zginął w niestosownym miejscu. Proszę przekazać sprawcom”.

PAWEŁ MACHCEWICZ: TO INSTYTUCJA CZYSTO PROPAGANDOWA

W maju zeszłego roku w Krytyce Politycznej ukazał się tekst pt. „Jeśli sami się nie upamiętnimy, nikt nas nie upamiętni”. Autorka, Katarzyna Markusz, pisze:

„Wyobraźmy sobie, że w każdym mieście i wsi stanie teraz pomnik. To może się udać, bo zapal Instytutu Pileckiego jest ogromny, a i środki na to znajdują się bez problemu. Sami siebie klejąc po ramieniu, będziemy mogli powtarzać, jak masowo rzuciliśmy się do czynienia dobra w czasie wojny. Co gorsza – nikt tej narracji nie zakwestionuje, bo która partia odważy się takie pomniki likwidować? Ukazywanie wyjątków [w rodzaju kolejarza Maletki] jako reguły to strategia, która zasłania stan faktyczny, czyli nagminność polskiej, chrześcijańskiej przemocy wobec Żydów. A każda opowieść, która zasłania przemoc, sama jest formą przemocy. Pięknie się to rymuje z kultem sprawiedliwego rotnistrza poległego z ręki drugiego totalitaryzmu zaprowadzonego w Polsce przez niewdzięcznych Żydów”.

Podobnie wypowiada się o IP także profesor Paweł Machcewicz, historyk, były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i członek Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej.

– To jest instytucja stworzona przez PiS po pierwsze po to, aby marginalizować akademickie środowisko historyków. Uczelnie są niedofinansowane, tymczasem pieniądze dla Instytutu Pileckiego płyną wartkim strumieniem, przez co ta instytucja zyskuje faktyczną przewagę. Śledzę jej działania na gruncie badań historycznych i dla mnie to czysta propaganda. Nie ma niczego wspólnego ze standardami naukowymi, a za to wiele z polityką PiS. Nieprzypadkowo na czele stoi była wiceminister z rządu tej partii. Drugim widocznym celem Instytutu Pileckiego jest przykrycie tematu zabijania Żydów przez Polaków, o czym się sporo dowiedzieliśmy w ostatnich 20 latach... Przykrycie tego szlachetnymi przykładami pomocy. Cel trzeci – nawzę go strategicznym – to pokazanie nas

jako tych, którzy w trakcie wojny wycierpieli najwięcej.

Profesor Dieter Pohl, historyk z Uniwersytetu w Klagenfurcie i specjalista od II wojny światowej oraz Polski i Ukrainy, ujmując rzecz – w rozmowie z serwisem Krytykapolityczna.pl – jeszcze krócej: – Instytut Pileckiego najwyraźniej chce zaliczyć Holokaust do zbrodni przeciwko narodowi polskiemu. Jeśli Polacy nie zejdą z tej drogi, to wrócą do polityki historycznej w stylu lat 80. XX wieku; takiej, jaką się obecnie uprawia na Węgrzech i w Rosji.

**ANDRZEJ NOWAK:
INSTYTUT DRAŻNI ROSJAN
– BRAWO!**

Związany wiele lat z IPN profesor Antoni Dudek, publicysta „Rzeczpospolitej” i felietonista dodatku historycznego tygodnika „Sieci”, na prośbę o ocenę IP odpisuje mi krótko: „To nie jest temat, na który chciałbym się wypowiadać”.

Profesor Andrzej Nowak, autor monumentalnych „Dziejów Polski” i zarazem ulubiony historyk prezesa PiS, mówi chętnie: – Działalność Instytutu oceniam bardzo pozytywnie. Wydaje wspaniałe książki. Szczególnie wrażenie zrobiła na mnie praca amerykańskiego autora poświęcona niemieckiej polityce historycznej, zapomniałem w tej chwili tytułu, ale ją pan znajdzie.

Znalazłem. W „Lęku przed Holocaustem” Jacob S. Eder (cytuje za witryną IP) „...jako pierwszy badacz dokonał analizy obszernego zbioru dokumentów dotyczących polityki historycznej rządu Helmuta Kohla, ujawnił obawy niemieckich urzędników – w tym byłych nazistów lub weteranów II wojny światowej – związane z wpływem pamięci o Zagładzie Żydów na reputację Republiki Federalnej”.

Profesora Nowaka cieszy, że Instytut za-
jął miejsce właśnie przy Unter den Linden.

– Zdobyć takiego przyczółku to wspaniała sprawa. Tym bardziej że miejsca pod Bramą Brandenburską nie zdołali sobie wywalczyć Rosjanie. I teraz można tam robić wystawy o ich ukraińskich zbrodniach, co stoi im ością w gardle. Brawo!

Aktualnie Instytut Pileckiego tworzy trzecią (po berlińskiej i szwajcarskiej) filię. W Nowym Jorku. ●

The image shows the front cover of a book titled "PRZESŁANIE Z UKRAINY" by WOŁODYMYR ZELENSKI. The cover has a white background with a blue border. At the bottom right corner of the cover is a small logo consisting of a stylized letter 'A'. The book is shown at a slight angle, revealing its thickness. In the background, there is a blurred image of the Ukrainian flag (blue and yellow) and a dark, textured surface.

Rok temu. 5 marca, sobota. Na facebookowej grupie ludzi pomagających napływającym uchodźcom z Ukrainy treść wypłuta przez translator Google’a brzmi: „Kobieta, jej wredna matka i kot. Miesiąc. Warszawa lub Gdańsk”.

Wieczorem piszę mail do Pisarza:

„Zabieram matkę, córkę (dorosłą) i kota. Gotuję rosół i czekam na nie. To wszystko jest jakoś niemożliwe”.

Odpisuje:

„Wiozęm dzisiaj do Polski starsze kobiety i dzieci. Nie widziały właściwie, gdzie są. Nikt na nie nie czekał. Też wszystko musiało być dla nich nierealne. Zawiozłem je do punktu recepcyjnego i się nimi dobrze zajęli. Szefowa bardzo matczyzna. Od 6 rano dziś jeździłem. W nierealnym. Szary wąż ludzi wśród szarych pól. Dym z ogniska i woń gotowanej kielbasy. Nasze samochody pełne dobra wszelakiego, które przecież od razu zatonięło w oceanie nierealności. I taka niby cisza, niby pomruk nad nogą za nogą tłumem...

Z Pani Ukrainkami będzie OK. To empatyczni ludzie. I kota przez wojnę niosły”.

Krystyna przynosi w prezencie kuwetę swojego Barnaby, zwirek, puszkę, suchą karmę i „Super Express” z Putinem na okładce, by kot z Ukrainy zaszczał go doku mentnie, co zresztą się stanie.

Jana wniesie go do mieszkania w plastikowym, nieporęcznym koszyku na zakupy tuż przed godziną 23. Za nią wejdą Walentyna i Bartek, który wioził je od granicy w Dorohusku. Pod blokiem, w samochodzie, czeka na niego kobieta w ciąży, z pięciorgiem dzieci. Wiezie je do siebie do Niemiec, na razie bez planu, co z nimi będzie. Prosi tylko, bym zrobiła mu pamiątkowe zdjęcie z dziewczynkami z Charkowa. Koniecznie z kotem.

Na przykrytym obrusem stole rozkładam porcelanę. Wojna, porcelana i Miłosz: „Różowe moje spodeczki./ Kwiciste filiżanki./ Leżące na brzegu rzeczki/ Tam kędy przeszły tanki (...)/ Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana/ Bryzgami kruchej piany./ Niczego mi proszę pana/ Tak nie żal jak porcelany (...)”.

Chcę, by poczuły, że skoro jest porcelana, to będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyny nie są głodne. Wyjmują z reklamówki tackę salami w plasterkach, czekoladę, garść cukierków i dwie garści suchego chleba pokrojonego w prostokątne wagoniki i opieczzonego na patelni. Nie rozmawiamy długo. I bardzo po wierzchu. Przestrzegam, że w nocy usłyszą karetki na sygnale. W sąsiedztwie jest stacja krwiodawstwa.

...

Notatki z kolejnych dni. Pośpieszne, chaotyczne. Rok później trochę je redaguję.

NIEDZIELA

Walentyna wchodzi do kuchni zapłakana. W ręce biały różanec i smartfon. Na ekranie pokazuje mi spowity dymem Charków i pobliską wioskę, w której jeszcze przed kilkoma dniami stało 40 zamieszkałych domów. Wszystko płonie.

Przysiada przy stole na minutę, może na trzy. Ja przepraszaju, wychodzi.

Walentyna ma 80 lat i jest piękna. Ogromne, niebieskie oczy, siwe włosy i subtelne rysy.

Jej syn mieszka w Odessie. Nie może się ewakuować, ma niepełnosprawnych teściów. (Pół roku później wyjedzie z żoną do Bułgarii, teściowie umierają w odstepie kilkunastu dni po sobie).

Wnuczka uciekła do Chorwacji.

Brat Anatol został w Charkowie. Jest za gruby, by gdziekolwiek uciekać. Ledwo chodzi.

Jana jest drobna. Nosi warkocz do połowy pleców. W mojej ogromnej piżamie wygląda jak dziewczynka. Sądzę, że mogłaby być moją córką, ale chyba jednak nie. Ma 42 lata.

Mówi:

– Niby wiedziałam, co się stanie, bo czytałam „Guardiana”. Jesienią wyrobiłam Tosikowi europejski paszport i męczyłam mamę, by wymienić swój na biometryczny. Zdążyła. O 4 rano usłyszałam głuchy huk. Wysłałam esemesa do koleżanki, która mieszka bliżej granicy z Rosją. Zapytałam: Eta użę? Użę – odpisała.

Wyszliśmy z domu, ale nie wiedziałyśmy, dokąd iść. Domy obok były rozwalone, na ulicy leżały ciała. Sąsiedzi wyjeżdżali. Chcieli nas zabrać swoim samochodem, ale mama nie chciała nigdzie jechać. Zostaliśmy w piwnicy, w naszym bloku przy ul. Herojów Praci. Po dwóch dobach przekonaliśmy ją, że musimy uciekać. Bałam się, że zginiemy zasypane. Poprosiłam esemesem znajomych, by poinformowali swoich znajomych wolontariuszy, że nie możemy się wydostać z naszej dzielnicy. Przyjechali po nas świtem, około 5 rano, bo wtedy Rosjanie nie walili rakiet. Zawieźli nas na dworzec w Charkowie.

Mama urodziła się w 1942 roku. Kiedy patrzyła na ulice, mówiła, że za drugiej wojny było tak samo jak teraz.

Mamy ze sobą tylko plecak i kota. Spakowałyśmy walizkę, ale została w domu. Wiem, że to głupie, ale najbardziej żał mi pamiątek. Kilkadziesiąt zeszytów. Zawsze wyobrażałam sobie, że „w razie co” na pewno je ze sobą zabiorę.

Na peronach ludzie zostawiali wózki dziecięce i torby, byle wejść do pociągu. W wagonie sypialnym, w którym jest sześć miejsc do spania, jechało nas 16 osób, kot i dwa psy. Skuleni, łokcie przy boku, dłonie przy twarzy. Każdy mógł się chwilę przespacerować. Mama była najstarsza, pasażerowie zdecydowali, że może leżeć kilka godzin. Psy sikały w przejściach między wagonami, ale Tosik sikać nie chciał. Do Lwowa jechaliśmy dołą, a stamtąd kolejną do granicy.

Wieczorem zaprowadzam ją do kościoła. Chce „podziękować za ocalenie”. Jest rzymską katoliczką. Na studiach weszła do katedry Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Charkowie, bo chciała przygotować na zaliczenie makietę neogotyckiego kościoła. Poprosiła tamtejszego księdza, by opowiedział jej o religijnym znaczeniu poszczególnych elementów architektonicznych. Oprował ją po kościele, a kiedy powiedziała mu, że dobrze się w nim czuje, zasugerował, że to pewnie dlatego, że w poprzednim wcieleniu była rzymską katoliczką. Pogadali sobie o reinkarnacji, a potem się okazało, że jej przewodnikiem był biskup.

– Moja wiara jest zlepią z różnych systemów religijnych – wyjaśnia mi i dodała, że w Ukrainie to typowe.

Wieczorem płacze. Bo tyle dobroci, i to od nieznanych ludzi.

PONIEDZIAŁEK

Wala ogląda albumy z malarstwem. Kartkuje Leonarda i „Polskie Madonny”. Wiem, że studiowała, ale nie wiem jeszcze co (potem się dowiem, że bankowość). Do emerytury pracowała w banku, ale „banka użę niet”. Nigdy nie wyjeżdżała za granicę.

W przeciwieństwie do matki Jana podróżowała. Wielbi Caravaggia, ale nie rozumiem właściwie dlaczego. Kilka lat temu dostała blejtram i farby olejne. Nie wiedziała, że potrafi malować. Jest introwertyczna, stroni od ludzi, a nad płótnem czuje się spokojna. Pokazuje mi na ekranie telefonu swoje prace. Bardzo realistyczne, jak fotografie. Gadamy piękno duchowsko, że tylko piękno ratuje przed rozpaczą. Obie w to wierzymy.

Edyta, chuda jak wiór, przywiozła dla Jany i Wali ciuchy, ale są za duże. Obie ważą po 50 kilogramów. Sznurek parciany znaleziony w szufladzie ze szpargałami służy za pasek do spodni.

Iwona przelała tysiąc złotych na najpotrzebniejsze ubrania. Kiedy idziemy do bankomatu, nad ul. Zwycięzców przelatuje helikopter. Wala kuca na chodniku z głową schowaną w dłoniach.



• Walentyna i Jana w Warszawie, marzec 2022 r.

FOT. TOMEK SIKORA

JANA, JEJ MATKA, KOT I SZKATUŁKA

Nie czuję się winna, że wojna zmieniła moje życie na lepsze

Dorota Wodecka



Jana: – Mama, spakojna, eta nie myśliwce, myśliwce robią szszszsz.
Kilkadziesiąt metrów dalej pyta mnie:
– Dorota, co ci wszyscy ludzie o nas myślał, co widzą, jak na nas patrzą?
– No widzą was tak jak i mnie, czyli nas nie widzą.
– Ale jak my wyglądamy?
– Normalnie.

PONIEDZIAŁEK

Zakupy. Ogromne. Po co nam trzy rodzaje żółtego sera?! I tyle wędlin?! Kto to zje? Wózek wyładowany do imentu, a Wala chotiet jeszcze czekoladu biez cukra. Krew mnie zalewa. Czy nie ma ważniejszych rzeczy niż czekolada bez cukru?
Wstydę się swoich emocji, bo Wala przecież kompensuje swoją traumę. Jana mówi, że mama kocha sklepy spożywcze i potrafi w nich spędzić nawet trzy godziny.
Tosik wylazł z pokoju. Miauczy wniebogłosy. Jana zgarnęła go kilka lat temu z ulicy. Miał głębokie nacięcia przy łapkach i złamaną jedną z nóg, jakby ktoś chciał go obedrzeć ze skóry. Długo nie chciał podejść, ale po kilku tygodniach wynoszenia miseczki z jedzeniem przed dom, a potem na korytarz wszedł w końcu do mieszkania.
Szukamy pracy dla Jany. Nie w Irlandii i nie w Wielkiej Brytanii, bo stamtąd w razie co nie ma jak uciekać. Jeszcze wczoraj również nie w Polsce, bo Jana twierdzi, że Putin zatrzyma się w Berlinie wschodnim. Ale dziś może być i Wrocław.
I Warszawa, i Wrocław są Janie znane. Pracowała dla firmy, która robiła mapy dla Google’a. Dostawała wideo ulic i nanosiła na nie pinezki z lokalizacją sklepów, kin i czego tam nie ma, a właściwie co tam jest. W samochodzie rozpoznawała topografię stolicy. O, zaraz powinna być Żabka – myślała. Wrocław zwiedziły z Walentyną wirtualnie. Walentyna jest zachwycona, więc tak, Wrocław może być. Ale naj-

lepiej Niemcy. W Irlandii jest za wilgotno, a w Hiszpanii za gorąco.
– Mamo, ja nie znajduję niemieckiego – zauważa Jana.
– To się nauczysz – kwituje Wala.
Jana jest architektką. Zna angielski, hiszpański i włoski. Włoskiego nauczyła się sama, bo marzyła o studiach w Mediolanie. Przeszła etap rekrutacji, gdy splajtował Lehman Brothers, wartość hrywny do euro poszła w górę i oszczędności Jany przestały wystarczać na czesne. Chciała popracować jeszcze rok i doskładać brakującą resztę, tym bardziej że znajomy obiecał jej zatrudnienie w Irlandii. Ale i to marzenie trafił szlag. Po klótni ze swoją żoną do rodzinnego mieszkania wrócił brat Jany. Nie pracował. Musiała zapomnieć o jakimkolwiek wyjeździe, bo emerytura Wali nie starcza na utrzymanie mamy i brata. Wtedy też diabli wzięli oszczędności Jany.
Rozmawiamy trochę po polsku, trochę po angielsku. Jeszcze tydzień temu Jana była rosyjskojęzyczna. Odkąd trwa wojna, używa wyłącznie ukraińskiego. Tak jak jej znajomi. Wszyscy. Bez namawiania się. Jana uważa, że to robota podświadomości.
Wala jest trochę uwięziona w języku. Jędrzek przychodzi do nas pogadać o swojej książce „Szuga. Krajobraz po imperium”. U jego siostry w mieszkaniu też Ukraińcy. Rozmawia z Walą ponad godzinę po rosyjsku. Wala mówi, że w Polsce czuje się bezpiecznie, „bo wierzymy w tego samego Boga i muzułmanie tu nie przyjdą”.
Swoją drogą, po sąsiedzku w kawalerce Pisarsza mieszka rodzina afkańska lub irańska.
Mój Belfer z ogólniaka pisze do mnie: „Rozmawiałem z ludźmi z Przemyśla. Staram się szukać dobrych stron całej tej sytuacji, bo całość jest dość czarna. I teraz podziwiam Polaków (których en masse podziwiam mało albo wcale), a zwłaszcza ludzi stamtąd – bo w Przemyśle pamięta-

ją, no, może nie Wołyń, ale i tak mało przyjemne fakty z lat 40. I podziwiam, że tak wielu wzniosło się ponad złe wspomnienia swoich bliskich.
Oczywiście jesteśmy napędzani słomianą energią. Odruchem serca. Słyszałem o starszej pani, która wzięła do siebie matkę z czwórką dzieci. Cudownie. Ale jest samotna od wielu lat i odwykła od świata pieluch, płaczu i innych niewygód (o których w ogóle nie pomyślała, przyjmując uchodźców). Może chciałaby się wycofać, ale »jesteś odpowiedzialny za to, coś oswoił« (chyba »Mały Książę«). To nie będzie łatwe. I to nie jest sprint. To będzie maraton. Bo agenci nie ustępują – są w tym zakresie szkoleni. Dlaczego ten miałby być inny?”
WTOREK
Wala ma gorączkę. Powyżej 38 stopni. Choruje na idiopatyczne zwłóknienie płuc, co oznacza, że każde przeziębienie może okazać się dla niej zabójcze. Tomek z Małgosią ogarniają znajomego lekarza. W przychodni na Arabskiej wypełniamy milion druczków, rejestratorki są bardzo życzliwe. Jesteśmy ostatnie w kolejce. Lekarz rozmawia z Janą i Walą 40 minut. Po angielsku.
Wizyta jest darmowa, ale recepta nierefundowana. Antybiotyk. Kilka stów, ale Leszek przelewa kasę.
ŚRODA
Jana ma gorączkę. Boli ją ucho. I jeszcze migrena. Laryngolożka z sąsiedztwa sugeruje przez telefon, jaki antybiotyk powinniśmy kupić na zapalenie ucha.

Dużo Ukraińców zmieniło i miejsce do życia, i profesję, na co wcześniej nie miało odwagi. Moi sąsiedzi się rozwiedli, ona wyjechała do Estonii z dziećmi i nowym partnerem

CZWARTEK
Mam i ja! Nie wstaję z łóżka. Wala robi dla mnie placki z jabłkami. Na maślanec. Przepyszne. Śpimy cały dzień. I noc.
PIĄTEK
Okazuje się, że Walentyna od kilkudziesięciu godzin płacze. Że są zdane na kogoś, że tam był dom, urządzony, krasiwyj, a nie ma już nic.
Twierdzi, że antybiotyk jej nie pomaga, prosi, by wezwać lekarza. Ma niewiele ponad 37 stopni gorączki. Lekarz, ten sam co we wtorek, Filip, przyjdzie po esemesie ode mnie. W płucach Wali wszystko okej.
Jana ma zawroty głowy. Jest rozpalona. Ma wrażenie, że traci słuch. Lekarka, ta z sąsiedztwa, twierdzi, że nie ma powodów do niepokoju, antybiotyk zadziała. Jutro wyjeżdża na urlop, będzie za tydzień.
SOBOTA
Przychodzi Ewa. Zna biegle rosyjski, więc Wala może się wygadać. Opowiada o swojej młodości. O tym, że była piękna. Jest podwójną wdową – pierwszy i drugi mąż zmarli.

●●●
A potem przestają pisać regularnie. Trzymam w ryzach tylko rytm dnia. Śniadanie o 9.30. Dla Wali owsianka, ale tylko ugotowana przez Janę, bo jaglanka, którą ja gotuję, jej nie smakuje. Obiad ok. 14. Wala uwielbia zupy. O 16.30 herbata (Jana) lub kawa (Wala) i ciasto. Białe porcelanowe filiżanki i talerzyki z granatową obwódką. O 20 kolacja. Padam z nóg po 21.
W KOLEJNE DNI
● Jana z Walą siedzą do późna w smartfonach. I każdego poranka wieszczą, że Litwa i Polska będą następną.
● Wala umiera codziennie albo co trzeci dzień. Zabieram jej z pokoju termometr, bo prawie się z nim nie rozstaje.

● Prosi, by kupić jej słodkie bułeczki, a kiedy przynoszę, mówi, że nie takie chciała. A jak już są „takie”, to nie je, bo ma cukrzycę, mimo zapewnień Jany, że nie, mamo, na pewno nie masz cukrzycy.
● Po spaniu na podłodze w zimnej piwnicy w Charkowie Jana traci w ponad połowie słuch w jednym uchu, co stwierdza audiolożka w Lux Medzie. Laryngolożka wdraża kompleksowe leczenie, ale dopiero za miesiąc okaże się, czy zmiany w uchu Jany się cofną. Czekają na audiometrię Jany, mimo że minęły już jej godziny pracy. Tak jak dr Filip mówi perfekcyjnie po angielsku, a ja dzięki ich kompetencji i życzliwości (kolejność dowolna) czuję, że naprawdę jesteśmy w Europie.
● Wala chce iść na spacer. Ale tylko z Janą. Mówię, że Jana ma zapalenie ucha, jest chora. Ja też jestem chora, podkreśla.
● Małgosia i Tomek zapraszają Dziewczyny do kawiarni. 20 marca chcą je ugościć u siebie. Wala woli zostać w domu. Po czterech godzinach wzywam Janę z powrotem. Walentyna nie chce zjeść obiadu ani wyjść z pokoju. Muszę wyjść z domu, ale boję się zostawić ją samą.
● Walentyna chce pójść do fryzjera podciąć włosy. Hanka przyjmuje nas bez kolejki i za bezcen. Wala uważa, że teraz jej włosy są za krótkie (Janie i mnie się podoba). Zmieni zdanie nazajutrz.
● Brat Wali nie odbiera przez kilka godzin telefonu. Wala jest zapuchnięta od płaczu. Na pewno umarł.
● Do Jany wydzwania jej przyrodni brat i krzyczy, że ma natychmiast zarejestrować w Polsce status uchodźcy. Bo przynajmniej

dostanie zasiłek, a na Zachodzie to nie ma nawet co szukać, bo jest za głupia.
● Firma, do której Jana aplikuje z Ukrainy, jeszcze przed wojną, może ją zatrudnić we Wrocławiu. Dostanie służbowy laptop i może pracować zdalnie, ale oferuje jej wynagrodzenie takie, jakby wciąż żyła w Charkowie. Po przeliczeniu na złotówki to dwa tysiące złotych z kawalkiem.
● Przyjmuję do wiadomości, że dziewczyny nie chcą dłużej, byśmy z kilkoma przyjaciółmi finansowali ich pobyt w Polsce. Czują się upokorzone. Chcą mieć swoje pieniądze przywiezione z Ukrainy. Wymieniam ich życiowe oszczędności z hrywien na euro. Wychodzi niecałe osiemset.
●●●
Włazę w ich życie z buciarą i mówię Janie, że matka weszła jej na głowę. Jana niby to wszystko wie, ale już się na nią nie denerwuje. Myśli o niej jak o małej, zwracającej na siebie uwagę dziewczynce. Możliwe, że trochę rozkapryszoną.
– W Charkowie też prosiła o bułeczki. Kupowałam i nie chciała jeść, bo szkodzi na coś tam. Kiedy powiedziałam: okej, nie chcesz, nie jedz, usłyszałam, że życzę jej śmierci, i dwa dni się do mnie nie odzywała. Ale właściwie odkąd zachorowała, jest lepiej. Tylko nie pozwala, bym gdzieś wychodziła, więc wstaję rano, jem śniadanie, a potem 12 godzin pracuję, jem kolację i idę spać. Tosik jest cały czas ze mną, na poduszce przy łóżku. Nigdzie nie wychodzę, nie chcę, by się bała. Raz jeden wyszłam, to zemdlą. Mama się boi śmierci, po prostu. Non stop o niej myśli.
Przez kilkanaście lat męczyła mnie, że muszę wyjść za mąż, mieć męża, dziecko, bo tylko wtedy będę kimś. Moje studia nie były dla niej powodem do dumy. Nie pomała mi. Nie stać mnie było na książki, ale uczyłam się w bibliotekach.
Po studiach wróciłam do domu i zaczęłam pracować. Ciągłe słyszałam, że gdy-

bym miała męża i dziecko, to byłoby normalnie, a tak, to kim ja jestem. A ja nie chcę męża, chcę być sama. Chcę pisać wiersze, malować, czytać książki. Byłam w relacjach z mężczyznami, ale każdy z nich po jakimś czasie próbował mnie zdominować. Mama tego nie rozumie. Dla niej mężczyzna to poczucie bezpieczeństwa.

Dwa lata temu wmówiła sobie, że ma raka. To było zaraz po tym, jak znajomi z Irlandii zaprosili mnie na tydzień do Hiszpanii. Wróciłam, a mama już chora. Jeden lekarz, drugi, trzeci, każdy chciał lapówkę, a ja nie miałam pieniędzy. Zaprzyjaźniony fizjoterapeuta załatwił nam dojsć do lekarzy za darmo. Żadna diagnoza nie potwierdziła raka, ale ona codziennie mówiła, że to rak.

W tym czasie umarł mi kot (Jana płacze). Wykopałam mu grób pod oknem. Miał 19 lat. Mama była wtedy w szpitalu. Pomyślałam sobie, że moja rodzina nagle przestanie istnieć. Mama mówi, że umiera, kot umarł. Dopadł mnie straszny strach przed śmiercią. Dzwoniłam do psychologów, pytał, co mi jest, a kiedy mówiłam, że boję się śmierci, żaden z nich nie chciał mnie przyjąć.

Mama wychodziła ze szpitala i wracała na kolejny tydzień, dwa. Jeden z lekarzy powiedział, że ją zoperuje za cztery tysiące dolarów. Chciałam wiedzieć, na co będzie ta operacja. Nie odpowiedział. Wreszcie w styczniu, przed miesiącem, dowiedziałymy się, że to żaden rak, tylko fibromialgia. Ale mama nie wierzy, że nie ma raka, mimo że miała tomograf. Jest pewna, że ma przerzuty. Myślę o tym, że ona może tu umrzeć. Nie wiem, co wtedy będzie.

•••

Wtedy też nie wiem, co będzie, bo Wala albo ma cukrzycę, albo raka żołądka, albo zapalenie płuc.

Ale po trzech tygodniach okazuje się, że będzie dobrze (porcelana!!!).

Jana dostaje pracę w Holandii. Pomaga jej Rob, Holender, którego poznała w Charkowie w strefie kibica w czasie mistrzostw Europy w piłce nożnej. Wymienili wtedy kontakty, kilka razy pogadali na Facebooku i tyle. Napisała do niego. Tak, spróbuje pomóc. Rob dzwoni do Marka, a Mark opowiada w swojej firmie o Janie. Rekruterka dopytuje ją z niedowierzaniem: Bombardowanie? Trupy? Naprawdę? Przez godzinę nie zdążą porozmawiać o CV Jany. Po weekendzie kolejna rozmowa (w międzyczasie inna propozycja, również z Holandii, ale zakwaterowanie w jakimś hotelu ze wspólną kuchnią, na co Wala kategorycznie się nie zgadza). Ostatecznie polecona przez Marka Jana przechodzi pozytywnie rekrutację w organizacji rządowej zajmującej się ochroną środowiska. Zaczyna z początkiem kwietnia. Na grupie facebookowej szukamy transportu. Prywatni przewoźnicy oferujący pomocowe przewozy Ukraińcom okazują się drożsi niż transport sieciowym, dwupoziomowym busiem. Ewa kupuje im bilety autokarowe do Utrechtu, skąd kolejką dojadą do Arnheim. Zamieszkają za darmo w niewielkim domku, który wynajmuje dla siebie Michiel, kumpel Marka, kibica. Do końca czerwca przeniesie się do mieszkania swojej dziewczyny, a one mają się niczym nie martwić. Do przystanku autobusowego 20 minut piechotą. Drugie tyle autobusem do pracy. Jana jednak się martwi, że nie umie jeździć rowerem (nauczy się w czerwcu, na bicyklu подарowanym jej przez lokalnego właściciela sklepu rowerowego).

•••

19 marca mail od Pisarza:

„Mnie się od wczoraj śni, że przemycam narkotyki do USA – strach. I że jestem w getcie i moi koledzy idą na umszlag, a ja zostaję w upiornie szarym mieszkaniu i strach, jak się wytłumaczę, że nie jestem Żydem. Nigdy takie rzeczy mi się nie śniły...”.

•••

Weekend jest po raz pierwszy wspaniały. Raz, że wiosna. Dwa, że przychodzi Krystyna (ta od Barnaby i kuwety), i wreszcie pi-

jemy wino (Wala odmawia). Jana wyjaśnia Krystynie, czym się różni dźwięk myśliwców od ostrzału artylerii, i opowiada, jak na dworze, na jednym kablu dopiętym do prądu, kilkanaście osób ładowało smartfony i powerbanki. A kiedy zawyły syreny alarmowe, nikt nie uciekał na powrót do piwnicy. Bo będzie, co ma być.

O czym jeszcze rozmawiamy, nie pamiętam.

W poniedziałek Jana kupuje dużą walizkę i wiosenne kurtki dla mamy i dla siebie. We wtorek przychodzą Małgosia z Tomkiem, z drobnymi upominkami na drogę dla dziewczyn. Jak spędziliśmy wieczór, też nie pamiętam. W środę rano ostatnia wizyta w Lux Medzie, lekarka przepisuje Janie kolejne leki. Wczesnym popołudniem Krzysiek zawozi nas na Dworzec Zachodni. Zanim wsiądziemy do jego samochodu, kategorycznie napomina mnie, bym czasem nie ryczała.

Dalsza pomoc rządu Holandii zależy od przebiegu wojny. Mój największy strach budzi pytanie, co zrobię, jeśli nie będę mogła tu zostać

•••

Jana wciąż mieszka z mamą i kotem w domku, który zajęła przed rokiem. Walentyna chce wracać do Charkowa. Ich blok wciąż stoi. Jana zapowiedziała matce, że może wracać bez niej, bo ona nigdy tam nie wróci.

– Bo ja od lat marzyłam o takim prostym życiu. W naturze, w ciszy, pośród spokojnych ludzi. Pamiętasz? Opowiadałam ci, że w Charkowie posadziłam ogródek kwiatny pod oknem, a na wewnętrznym dziedzińcu zasadziłam drzewo i krzewy. Nie mogłam sobie pozwolić na przeprowadzkę na wieś, bo nie miałam na to pieniędzy.

Nie czuję się winna, że wojna zmieniła moje życie na lepsze. Dużo Ukraińców zmieniło i miejsce do życia, i profesję, na co wcześniej nie mieli odwagi. Moi sąsiedzi się rozwiedli, sąsiadka wyjechała do Estonii z dziećmi i nowym partnerem. Wydawało mi się, że zmiana życia wymaga pieniędzy, ale kiedy nadchodzi czas, że każdego dnia naprawdę możesz umrzeć, to myślisz: dlaczego robić rzeczy, których nie znosisz?

Mieszkam na farmie w Harskamp. Jennie i Frits, od których wynajmuję dom, są jak rodzina. Jennie wozi mnie z mamą do lekarzy, do szpitala, czasami odbiera mnie wieczorem z przystanku, a czasami odwozi rano. Rower teraz odpada, bo kiedy wychodzę i kiedy wracam, wciąż jest ciemno. I w każdą sobotę jedziemy z Jennie i z mamą na tygodniowe zakupy do marketu. Kiedy przyjechałam, pomagałam im trochę przy karmieniu krów i kur. Uwielbiałam to. Zimą zrezygnowali z hodowli kurczaków,

zostały krowy i darmowe mleko, które nalewam sobie prosto z cysterny. Płacę za wynajem połowę swojej pensji, ale wystarcza mi na jedzenie, na wizyty u weterynarza z Tosikiem i na kupienie ubrań, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie mam innych potrzeb.

Michiel wyprowadził się definitywnie do swojej dziewczyny. Kiedy zabrał swoje meble, musiałam kupić sofę, łóżko dla mamy, biurko, komodę, krzesła i lampy. Jeszcze rok temu nie wydawałabym pieniędzy, by meblować się w tymczasowości. Przecież nie wiem, jak długo tu zostanę. Ale kiedy się meblowałam, czułam jakiś spokój, bo kiedy kupujesz meble, to znaczy, że żyjesz i będziesz żyła. Możliwe, że zapuszczam korzenie. Jestem jak drzewo wyrwane z korzeniami i przesadzone w inne miejsce. Na początku cierpiałam i byłam osłabiona jak każda roślina po przesadzeniu, ale skończy się jesienno-zimowa wegetacja i wypuści pąki. Mam nadzieję.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Cierpienie było straszne. Najpierw każdego dnia myślałam o tym, że moi koledzy mnie nie lubią, uważają mnie za głupią i złą pracowniczkę. Mama chorowała, nawet dwa razy w tygodniu musiałam z nią jeździć do lekarzy i swoje zaległości w pracy nadrabiałam w weekendy. Każdego dnia wieczorem płakałam, że jutro to już na pewno mnie wywalą.

Czułam się strasznie zmęczona. Obiecałam sobie, że na urlopie pojadę do Amsterdamu i Haarlemu, ale każdego dnia znajdowałam pretekst, by tego nie robić. Wreszcie obiecałam sobie, że jutro to już na pewno pojadę. Rano ubrałam się, wyszłam z domu, ale zamiast do pociągu poszłam w przeciwną stronę. Cały dzień spędziłam w lesie.

Aż we wrześniu noc w noc zaczęłam śnić, że wracamy do Ukrainy z mamą i Tosikiem. Jesteśmy w Charkowie, wyję i błagam, byśmy wracali do Europy, bo to nieprawda, że wojna się skończyła. I nagle nadlatują samoloty, spadają bomby, Tosik gdzieś ucieka. Łapię go, ale teraz mama nie chce wracać, więc biorę ją na plecy. I tak przez kilka nocy budziłam się bez oddechu, ze ścisiskiem klatki piersiowej i ściśniętymi szczękami. Głupio mi było iść do psychiatry, bo przecież inni Ukraińcy przeżyli gorsze rzeczy niż ja. Powiedział, że mam depresję i jestem w traumie. Zaproponował psychoterapię.

Kiedys uwielbiałam uczyć się języków obcych, ale teraz nic mi nie wychodzi do głowy. Po roku w Holandii rozumieć może dziesięć procent języka. Kupiłam słowniki, książki do nauki, zapamiętuję wieczorem kilka słów, a rano nic nie pamiętam. W wakacje, kiedy Walentyna była w szpitalu, kupiłam blejtram i farby olejne. I nie mogłam zacząć malować. Nie piszę pamiętników ani wierszy. Nie słucham muzyki. Pojechałam do Amsterdamu na koncert kapeli Poets of the Fall, którą chciałam od trzech lat zobaczyć. Ale najpierw nie udało mi się wyjechać na koncert do Finlandii, a potem z powodu pandemii odwołali koncert w Ukrainie. I nic w tym Amsterdamie nie czułam. Jakbym była za szybko. Psychiatra namówił mnie, bym czytała po holendersku bajki dla dzieci, może odblokuje moją kreatywność. Kupiłam kilka.

Kupiłam też dwie pluszowe myszki. Może zbuduję im drewniany domek, w końcu jestem architektką. Powinnałbym czymś zająć ręce, żeby nie myśleć, ale zamiast budowania domku trzymam je w dłoniach i uśmiecham się autoironicznie, bo przecież sama słyszysz, jak to wszystko brzmi. Bajki dla dzieci, pluszowe myszki... Ale te drobne lekarstwa działają. Plus tabletki. Wiem, powinienam pójść na terapię, ale nie mam czasu. Wstaję o 6, jem śniadanie, karmię Tosika i o 7 wychodzę do pracy. O 18 jestem z powrotem. Gotuję dla mamy, prysznic, herbata, 20 minut zabawy z Tosikiem i kładę się spać.

W sobotę zakupy i porządki. W niedzielę żadnych planów.

Pracuję w ochronie przyrody, pomagam naturze i ludziom. Digitalizuję mapy, wprowadzam dane o stanowiskach ptaków, miejscach ochrony drzew czy ujęć wodnych. Lubię chodzić do biura, pierwszy raz w życiu.

Pytałaś, czym się różni Europa Wschodnia od Zachodniej. Ludźmi. Nie są samolubni, pozamykani, nie oszukują cię i rozmawiają szczerze o emocjach. Kiedy ktoś w pracy płacze, nie wstydy się powiedzieć dlaczego. W Ukrainie nikt by się nie przyznał, że rzuciła go dziewczyna, mimo że takie rozstania to część życia. Skłamałby, że nie płacze, tylko oczy mu łzawią, bo właśnie wymiotował w toalecie.

Nie rozmawiamy o pieniądzach ani o tym, kto ile ich ma. Jestem introwertyczna, niewiele o sobie opowiadałam, ale dobrze się czuję w przyjaznej atmosferze.

Ale nie czuję się spokojna. Wydaje mi się, jakby ktoś zabrał mi tamto życie i pozyczył to. I mam coś, czego nigdy nie mogłam mieć, dlatego boję się, że w każdej chwili mogę to stracić.

Jako uchodźcy mamy ochronę prawną do października. Dalsza pomoc rządu Holandii zależy od przebiegu wojny. Mój największy strach budzi pytanie, co zrobię, jeśli nie będę mogła tu zostać.

Mama chce wracać do Charkowa. Nie może pobierać swojej ukraińskiej emerytury, bo nie wydała dyspozycji jej przelewu na konto w banku. Miesiąc w miesiąc listonosz przynosił jej emeryturę do domu, a potem uciekliśmy i straciła świadczenie. I jeśli chce dostawać emeryturę, musi w urzędzie w Charkowie osobiście podpisać dyspozycję przelewu. To jakieś 130 euro w przeliczeniu z hrywien. Ja z nią nie pojadę, choćby na dwa tygodnie.

Ponad 20 lat temu zaczęła mnie Cyganka. Jej wróżba brzmiała mniej więcej tak: kiedy będziesz miała 42 lata, stanie się coś złego i wszystko stracisz. A jeśli przeżyjesz kolejny rok, to wszystko już będzie dobrze. Przypominałam sobie tę wróżbę, kiedy wybuchła wojna. Uciekłam śmierci, ale ona wciąż tam na mnie czeka. Jak w bajce o królowej, która opuszcza swoje królestwo i zamieszkuje w miejscu, w którym spełnia się każde jej życzenie. I tak będzie żyć, pod warunkiem że nigdy nie wróci do domu rodzinnego. Z każdym rokiem tęsknota królowej była coraz większa, aż w końcu wyprawiała się za wzgórze i dotarła do swego rodzinnego królestwa. Było zniszczone i splądrowane, jej rodzice nie żyli. W rozgrabionym zamku znalazła jedynie piękną szkatułkę. Otworzyła ją. W środku siedziała śmierć. Czekalam na ciebie 20 lat. Gdybyś jeszcze przez chwilę nie przyszła, zniknęłabym na zawsze, powiedziała.

Czuję, że w Ukrainie czeka na mnie moja śmierć. Tak, wiem, że moja mama może umrzeć. Tu ją pochowam.

W sierpniu Andrij, mój przyjaciel, pojechał do mnie do domu. Jest żołnierzem i może poruszać się po Charkowie samochodem. Chciałam, by zabrał stamtąd moje pamiętniki. Klucz jest u znajomych. Kiedy wszedł do środka, włączył transmisję online. Zobaczyłam uschnięte kwiaty na parapetach i bałagan, jaki zostawiłyśmy, uciekając w pośpiechu. I pościel na łóżku, białą w różowe róże, na którą Andrij odłożył na chwilę swój automatyczny karabin. Kiedy się rozłączył, zaczęłam płakać. Głośno. I długo. ●

PO PRAWDZIE

Spełnione marzenie roninów

Skoro naród nie skręca, to trzeba chociaż sprawiać wrażenie, że skręca.

Agnieszka Kublik

•
Zyjemy w czasach, w których władza ucisza wolne media, by reżimowe były bardziej słyszalne. Ma w tym interes, i nie jest on malutki.

Nasza zaściankowa narodowa prawica chrześcijańska doskonale wiedziała, że społeczeństwo nie skręca na prawo, tam gdzie od lat stoi Jarosław Kaczyński i się do tej prawej ściany przyciska, żeby nie mieć nikogo jeszcze bardziej po prawej. A skoro naród nie skręca, to trzeba chociaż sprawiać wrażenie, że staje się narodowo-konserwatywny i daje PiS legitymację do likwidacji demokracji liberalnej.

W Klubie Ronina – wpływowym, istniejącym od 2007 r. prawicowym, politycznym klubie dyskusyjnym – publicyści na rządy PiS czekali od dawna. Otwarcie dywagowali, że muszą się postarać, by się u władzy utrzymał tak długo, jak się da (czyli na zawsze).

•
27 października 2015 r., w powyborczy poniedziałek, w Klubie Ronina są satyryk Marcin Wolski, który niebawem dostanie program w TVP Info, i Maciej Świrski, prezes Reduty Dobrego Imienia, który niedłu-

go zostanie doradcą wicepremiera Głińskiego, a dziś jest szefem KRRiT.

Wolski zapowiada: „Runą media, przeżyją szok samorządu, wyjaśnimy Smoleńsk, a Moskwie odeślemy agentów wpływu, wielka fala Polskę oplucze”. Z mediami publicznymi problemu nie będzie, gorzej z prywatnymi, które nie lubią PiS. Świrski pyta: „Jak poradzić sobie z Gwiazdą Śmierci i Mordorem [„Wyborcza” i TVN]?”. Wolski: „Procesami ich! Codziennie tam tyle potwarzy, obelg”.

Innym razem wymyślają, że sposobem na unieszkodliwienie „Wyborczej” będzie odciecie jej od ogłoszeń instytucji publicznych.

Co zrobić z TVN? Świrski radzi, by pisać listy do amerykańskiego właściciela, „setki tysięcy, o tym, że TVN obraża jedną trzecią społeczeństwa”. Sala prostuje: „Półwę społeczeństwa!”.

•
Dziś władza wydaje ogromną kasę na SLAPP. Strategic lawsuits against public participation to strategiczne działania prawne mające na celu zamknięcie komuś ust. Dziś prowadzą je instytucje rządowe. To sprostowania, pozwy przeciwko dziennikarzom wolnych mediów. Mają czuć presję, mają unikać grzebania w dokumentach. Mają odpuścić. Po 2015 r. tylko na „Wyborczą” spadło kilkadziesiąt pozwów SLAPP.

Towarzystwo Dziennikarskie monitorowało sprawy przeciwko mediom. Dwa lata temu najczęściej uderzały w wolne media instytucje publiczne (m.in. prokuratura, policja, NBP, Ministerstwo Kultury), spółki skarbu państwa (m.in. TVP, PWPW, PGZ, KGHM, PKP PLK, Polska Fundacja Narodowa finansowana przez spółki skarbu państwa), politycy obozu władzy (m.in. Ziobro i Kaczyński), sędziowie (mianowani przez obecną władzę), prokuratorzy (w tym prokurator generalny), PiS. Na liście do nękania są prócz „Wyborczej” media Ringier

Axel Springer (Onet, „Newsweek”, „Fakt”), OKO.press, „Polityka”, TVN.

Czyli za uporczywe nękanie mediów krytykujących władzę płaci polski podatnik. I to ogromne pieniądze.

•
Nie powiodła się próba kupienia TVN latem 2021 r. przez biznes kontrolowany przez PiS. Duda zawetował ustawę „lex TVN”, która miała zmusić Amerykanów do sprzedaży stacji. Ale władza dostała do ręki nowy sposób gnębień wolnych mediów. A dokładnie dostał Świrski. Ten z Klubu Ronina. Ten, który nigdy nie ukrywał głębokiej nienawiści do TVN.

W 2021 r. ćwierkał na Twitterze: „Dzisiaj TVN zadzwonił do Reduty, bo robią program o sprawie F. Leszczyńska vs. B. Engelking i J. Grabowski. Chyba »Fakty po faktach« czy coś podobnego. Odmówiłem wypowiedzi dla TVN, ponieważ stacja ta wielokrotnie obrażała Polskę i Polaków w swoich programach i podawała fake newsy”.

Świrski od września 2022 r. jest szefem KRRiT. Na celowniku ma już TVN, TOK FM i Radio ZET, nie okazując zainteresowania łamaniem ustawy medialnej przez media reżimowe. Widać, że wciela w życie tamte roninowe gadki.

Zaczęło się od TVN i skargi Macierewicza na reportaż „Siła kłamstwa” Piotra Świerczka, który obnażył manipulacje podkomisji smoleńskiej Macierewicza. Świrski uparł się, by zająć się skargą Macierewicza, choć tę sprawę rozstrzyga nie ustawa o radiofonii i telewizji, ale prawo prasowe. Po prostu nie leży to w kompetencjach Rady. Mimo to wszczął postępowanie z urzędu i koniecznie chce sam rozstrzygać, czy „Siła kłamstwa” to prawda, czy nie. Do jakich wniosków może dojść, skoro sam przed laty przyznał, że ufa Macierewiczowi i nie ufa TVN?

Kara Świrskiego – jeśli ją wymierzy – może mieć wpływ na decyzję o prze-

dłużeniu koncesji dla TVN, wygasającej 14 kwietnia. Stacja już złożyła wniosek o przedłużenie na 10 lat. Maksymalna kara to 50 proc. rocznej opłaty za prawo do dysponowania częstotliwością przeznaczoną do rozpowszechniania programu drogą naziemną. Za zeszły rok TVN zapłacił 1 mln 972 tys. zł. Maksymalna kara to zatem aż blisko 1 mln zł.

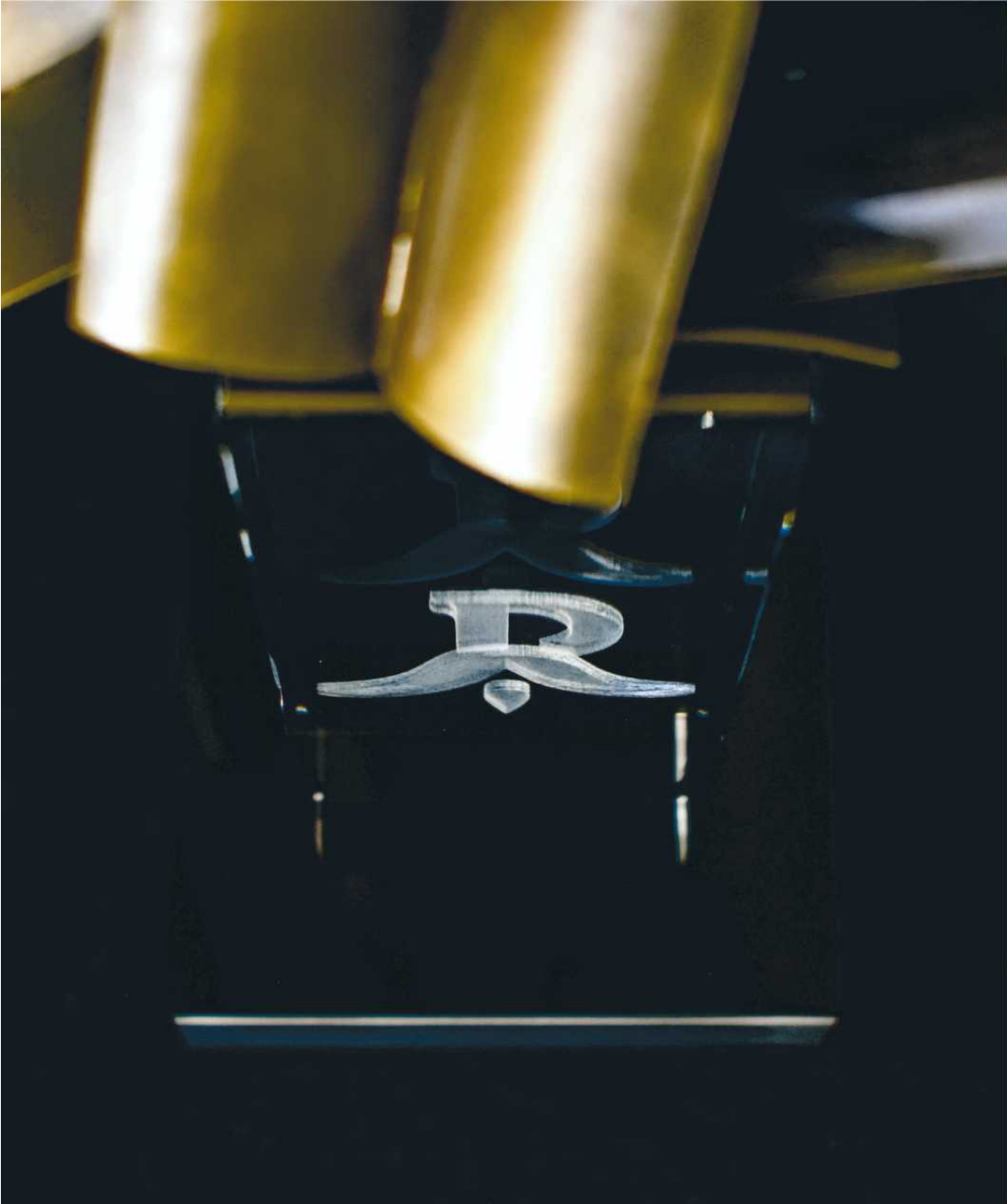
Świrski chce też kary dla Radia ZET (udziały ma tu Agora, wydawca „Wyborczej”) za informację Mariusza Gierszewskiego, że prezydent Zielenka przejechał przez Polskę bez porozumienia z polską policją i służbami oraz że to efekt spadku zaufania sojuszników do polskich służb i policji po aferze z wystrzałem granatnika w gabinecie komendanta głównego policji.

Świrski ściga też Radio TOK FM (Agora) za wypowiedź Piotra Maślaka, który oceniając podręcznik do HiT, komentował, że „czyta się to jak podręcznik – przepraszam za to porównanie – dla Hitlerjugend. Chwilami, nie wszędzie”.

Świrski postępowania prowadzi z art. 18 ust. 1 ustawy medialnej („audycje lub inne przekazy nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym, w szczególności nie mogą zawierać treści nawołujących do nienawiści lub przemocy lub dyskryminujących ze względu na płeć, rasę, kolor skóry, pochodzenie etniczne lub społeczne, cechy genetyczne, język, religię lub przekonania, poglądy polityczne lub wszelkie inne poglądy (...)”).

Rażące naruszanie tego artykułu może skończyć się karą, a potem odebraniem koncesji lub brakiem zgody na jej przedłużenie.

Czyż nie o tym marzyli podczas roninowych spotkań? ●



JULIUSZ

VIII EDYCJA GÓRNOŚLĄSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ

Nagroda dla najlepszej biografii wydanej po polsku w 2022 roku. Autor zwycięskiego tytułu otrzyma 50.000 złotych.

Zgłoszenia można składać do
15 / 03 / 2023

nagrodajuliusz.pl



Rybnik

Z **EKKEM OVERBEEKIEM***, AUTOREM KSIĄŻKI „MAXIMA CULPA. JAN PAWEŁ II WIEDZIAŁ”, ROZMAWIA **MAŁGORZATA SKOWROŃSKA**

To był 2002 rok. Relacjonowałam dla „Wyborczej” ostatnią pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski. Na krakowskich Błoniach było 2,5 mln ludzi. Wiedzieliśmy, że już nie będzie więcej wizyt, że ten ostateczny czas nadchodzi. Gdy na lotnisku mówił „Żal odjeżdżać”, płakałam.

– Gdy w 2005 roku papież zmarł, byłem na Błoniach, widziałem te tłumy w żałobie. Dla was Jan Paweł II był kimś wielkim, nie tylko przywódcą religijnym, ale też osobą ważną społecznie i politycznie. To rozumiałe, że przeżywaliscie żałobę. Patrząc na to z boku, bo wychowałem się w kraju o odmiennej historii i do tego mocno prześlągniętym protestantyzmem.

Miałem 7 lat, gdy moi rodzice wystąpili z Kościoła ewangelicko-reformowanego. Ale kulturowo człowiek zostaje kalwinem. Gdy chodzi o relację z Bogiem, nadal mnie dziwi to, że katolicy potrzebują do tego pośredników, przewodników. Pastor w protestantyzmie nie ma takiego nadzwyczajnego statusu jak ksiądz w katolicyzmie. Ale

też dość instytucji, która ma dla nas restrykcyjne moralne nakazy, a sama tkwi w zgniliznie. Jest jeszcze pokolenie moich dzieci – oni masowo wypisują się z religii, a Kościół i Jan Paweł II interesują ich o tyle, o ile kiedyś będą z tej wiedzy musieli napisać sprawdzian w szkole.

– Procesy laicyzacji w Polsce przyspieszają, a Kościół, nie tylko zresztą nad Wisłą, jest w kryzysie najgłębszym od reformacji. Do reformacji był siłą napędzającą cywilizację, od XVI wieku stał się siłą reakcyjną, antynowoczesną. W katolicyzmie można coś z Bogiem załatwić poprzez pośrednika – księdza. W protestantyzmie tego nie ma: jesteś sam na sam ze Stwórcą i musisz sobie radzić. Odpowiedzialność spoczywa tylko na tobie. Ciężko się z tym żyje. Katolicyzm jest pod tym względem bardziej ludzki, macie spowiedź, Eucharystię, wystawne rytuały, szafarzy sakramentów, kapłanów z bezpośrednim dostępem do najwyższego, ale też – nie gniewaj się – nie uczy odpowiedzialności.

Ten układ infantyлізуje wyznawców, co przesiąga do innych dziedzin życia, sfery politycznej i społecznej. I potem mamy Kościół, który nie bierze odpowiedzialności za czyny swoich przedstawicieli, polity-

**Chichotem historii
jest to, że dowody
współodpowiedzialności
Jana Pawła II
za przestępstwa pedofilii
pochodzą z archiwum SB.**

**Jeżeli to komuś się nie podoba,
to niech przekona biskupów,
aby otworzyli swoje archiwa**

jące o nagrodzie za głowę JP II. Papież dowcipnie skomentował, że 15 tys. guldenów to mało. Jeden z naszych dwóch kardynałów – bo tylu mamy – komentował później, że ta podróż była porażką. Byłem wtedy nastolatkiem. Będąc już dorosłym człowiekiem, wyjechałem do Polski. Mieszkam tu z przerwami już prawie trzydzieści lat. Przeżyłem coś, co można nazwać szokiem kulturowym, gdy zobaczyłem te tłumy wiatujące u was na cześć papieża.

WIEDZIAŁ, NIE POWIEDZIAŁ

„Biorąc pod uwagę szczerą poprawę, uważam za celowe, by Ksiądz stopniowo wracał do pracy kapłańskiej” – napisał abp Wojtyła do skazanego za gwałt oralny na nieletnich

może za daleko idę, bo za chwilę pojawi się zarzut, że moja książka to jakiś protestancki atak na Kościół.

Może właśnie ten dystans pozwolił ci inaczej spojrzeć na papieża, którego ogłosiliśmy santo subito.

– Dla dużej części Polaków, nie tylko katolików, krytyczne spojrzenie na Jana Pawła II to sytuacja graniczna. Jego pontyfikat trwał ponad ćwierć wieku. Dla waszego kraju to czas ogromnych zmian, najpierw walki z komunizmem, a potem wychodzenia z tego opresyjnego systemu. Papież wam w tym towarzyszył. Wyobrażam sobie, że dla wielu ludzi Wojtyła jest częścią ich tożsamości. Gdy robiłem reportaż przy okazji śmierci papieża, Polacy często powtarzali, że przeżywają ją tak, jakby członek ich rodziny umarł. Postawiliście go jednak na tak wysokim piedestale, że jakkolwiek racjonalna krytyka jest, jeśli nie bezpardonowo odpierana, to przynajmniej podważana.

Spróbuję ci to wytłumaczyć, bo odnosisz się do obrony papieża w niedawnym wywiadzie Adama Michnika. Upraszczam metodologicznie, ale podziały przebiegają mniej więcej tak: pokolenie „Solidarności” organicznie nie jest w stanie dopuścić, że papież mógł mieć także twarz kościelnego aparacza, który za wszelką cenę bronił instytucji. Moje pokolenie – pokolenie dzieci „Solidarności”, wychowane w oazach lub przynajmniej po obowiązkowej katechizacji – chce rozliczenia z pedofilii, bo dręczy nas krzywdą ofiar księży, mamy

ków, którzy nie biorą odpowiedzialności za swoje decyzje, i sporą część społeczeństwa, która ten stan rzeczy po prostu akceptuje. Naprawdę niekomfortowo się czuję, gdy to mówię, ale to moja obserwacja po tylu latach życia w tym kraju.

Dotykasz czegoś, z czym właśnie to pokolenie wychowane już w wolnej Polsce i uczące się życia od m.in. zaangażowanych społecznie duchownych teraz się boryka. Kościół wydawał się przestrzenią wolności, a okazał się opresyjnym systemem, w którym nas nieźle sformowano. Przez moment ludziliśmy się, że może da się żyć w zgodzie z religią, jeśli będzie to rzeczywistość tzw. Kościoła otwartego, ale ten okazał się nieistotną bańką. Do tego musimy mierzyć się z ujawnianymi faktami tuszowania pedofilii także przez „naszego” Jana Pawła II. To bolesny proces.

– Może warto zmienić perspektywę. Mój kraj znajduje się na drugim końcu, gdy chodzi o ocenę Jana Pawła II. W 1985 r. papież odwiedził Niemcy, gdzie wśród katolików trwał bunt przeciw jego konserwatyzmowi. I do tego oczywiście niechęć lewicowych, liberalnych i protestanckich mieszkańców. Ta pielgrzymka była katastrofą. Wy macie obraz ustrojonych ulic, którymi przejeżdżał papamobile, u nas tłumów nie było. W telewizji leciała prześmiewcza piosenka „Popie Jopie”. Ludzie przychodzili na spotkanie z papieżem, ale często nie po to, żeby się modlić – oni protestowali. W Amsterdamie zrobiono niesmaczny żart, rozwieszając niby listy gończe w poetyce „żywy lub martwy” informu-

Właśnie ze względu na ten dysonans zaczęłeś sprawdzać Jana Pawła II i Kościół w Polsce pod kątem wykorzystywania seksualnego i tuszowania pedofilii? Aż chce się zapytać, jak to się stało, że człowiek z dalekiego kraju sięga po takie historie.

– Nawiązujesz do słynnych słów Wojtyły o dalekim kraju tuż po tym, jak ogłoszono go papieżem. Ale Niemcy nie są tak dalekie od Polski. W 2010 roku zaczęły się pojawiać informacje o pedofilii w Kościele w Niemczech czy w Polsce. Redakcje pytały, jak to wygląda u mnie, w Polsce. Napisałem wtedy artykuł m.in. o Tylawie, gdzie ksiądz wykorzystywał dziewczynki, i o skandalu z molestowaniem kleryków przez abp. Paetzla. Czyli o tym, co było znane. Ale znalazłem więcej informacji i kolejne ofiary. I już nie mogłem tego tak zostawić. Każdy, kto wysłucha tych głosów, powie to samo: głęboko wchodzi pod skórę. Nad tego rodzaju krzywdą, szczególnie gdy chodzi o dzieci, nie da się przejść do porządku dziennego. Dlatego powstała książka „Lękajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią”. Ktoś musiał dać im się publicznie wypowiedzieć.

Wtedy pisanie o tym było odbierane jako atak na Kościół. Teraz polskie media ruszyły, ale sprawa nadal nie jest wyjaśniona do końca tak jak w innych krajach, bo politycy wciąż chronią kler. Przypomnę tylko, że już w 2004 roku w USA ukazał się raport Johna Jaya, w którym ponad 4 tys. duchownych oskarżono o nadużycia seksualne w latach 1950-2002. Statystyki pokazały wtedy, że około 4 proc. księży ma na su-

mieniu tego rodzaju przestępstwa. W Polsce poszkodowani nadal są traktowani, jakby to oni byli winni. Bez zdecydowanych kroków władz państwowych Kościół nie ujawni skali problemów.

Książkę „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział” dedykowałeś ofiarom milczenia Jana Pawła II.

– Bo jest przede wszystkim dla nich. Ofiary – nie tylko w Polsce – mają prawo wiedzieć, że odpowiedzialność za ich krzywdę sięga samego szczytu Kościoła. Od połowy lat 80., kiedy kryzys pedofilii w Kościele się zaczął, zadawano pytanie: co wiedział papież? Teraz znamy odpowiedź.

Wróciłeś do tematu tuszowania pedofilii po dziesięciu latach.

– Wcale nie miałem ochoty. Myślałem: swoje już zrobiłem, nie jestem katolikiem, nie jestem Polakiem; jak to Polacy pięknie mówią: nie mój cyrk, nie moje malpy. Ale nie mogłem pojąć, dlaczego tak nieśmiało zadajecie pytania o odpowiedzialność Jana Pawła II za tuszowanie skandali seksualnych. Tu ciągle obowiązuje wykładnia, że car był dobry, ale bojarzy zli.

To najczęstsze tłumaczenie. Jest jeszcze wersja ze schorowanym papieżem, który z racji wieku i zaawansowanej choroby nie mógł już reagować. Rzeczywiście największe skandale z udziałem Groëra, Degollada czy McCarricka wybuchły pod koniec pontyfikatu.

– Tylko dlaczego przez tyle lat nikt nie zapytał, czy Karol Wojtyła wiedział o molestowaniu w Kościele, zanim został papieżem?





• Lipiec 1966, abp Karol Wojtyła (z kwiatami) podczas obchodów tysiąclecia chrztu Polski w Starym Sączu FOT. NAC

żem? To w sumie proste pytanie. Ktoś musiał powiedzieć: sprawdzam.

Po książce, w której mówiły ofiary, zacząłem sprawdzać, co dzieje się ze sprawcami tych przestępstw, i znalazłem ich rozsianych po całej Polsce; wciąż w stanie czynnym duchownym albo żyjących spokojnie na księżowskich emeryturach. Gdzie jest instytucjonalna odpowiedzialność za ten stan rzeczy? Zacząłem szukać odpowiedzi, stawiając sobie cezurę czasową, gdy Wojtyła był prominentnym hierarchą. Ostatecznie sięgnąłem czasów jeszcze wcześniejszych, czyli okresu od końca II wojny światowej.

Wojtyła wiedział?

– Pierwsza sprawa sądenia duchownego oskarżonego o molestowanie chłopców, którą znalazłem, pochodzi z 1948 roku [chodzi o ks. Klenkowskiego]. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych to rok 1984. Czyli prawie 40 lat później. To kontekst historyczny. Klenkowski przez jakiś czas był rezydentem w archidiecezji krakowskiej. To jeden z tych przypadków, które opisuję krótko i które pokazują, że arcybiskup Wojtyła musiał być skonfrontowany z księżmi, którzy popełniali tego typu przestępstwa.

Bez cienia wątpliwości?

– Twarde dowody pojawiają się pod koniec lat 60. i na początku 70. W czterech przypadkach – Lenart, Loranc, Surgent i Saduś – które szerzej opisuję, mamy do czynienia z bezpośrednim działaniem Wojtyły, który odpowiadał za podległych mu księży. Pierwszy był sześć razy przenoszony przez abp. Wojtyłę z parafii na parafię, choć ku-

ria wiedziała, że przekraczał granice w kontaktach z dziewczynkami. Drugi to duchowny skazany prawomocnie za oralny gwałt na nieletnich. Zanim został skazany, osobiście wyznaje Wojtyłę swoje czyny. Po odbyciu kary więzienia w 1971 roku Wojtyła przywraca go do stanu kapłańskiego. W liście do niego pisze: „Biorąc nadto pod uwagę całe zachowanie się Księdza, świadczące o chęci naprawienia zła, oraz szczerą poprawę, uważam za celowe, by Ksiądz stopniowo wracał do pracy kapłańskiej”.

Z kolei o tym, że trzeci ksiądz, Eugeniusz Surgent, molestuje chłopców, wierzuszka kurii wiedziała od co najmniej 1969 roku. Mimo to Wojtyła dał mu wioskę Kiczorę pod opiekę, gdzie znowu zaczął molestować, za co został skazany. Wojtyła pozwolił na to, że mógł dalej pracować jako duszpasterz i nauczyciel religii. Znalazł swoje miejsce w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, gdzie znów molestował. No i do tego jeszcze zaskakująca historia księdza Sadusia, bliskiego współpracownika Wojtyły.

Gdzie szukałeś dokumentów potwierdzających działania Wojtyły wobec księży pedofilów? W archiwach kościelnych?

– Pewnie wtedy tych przypadków byłoby jeszcze więcej. Prosiłem o dostęp do kościelnych dokumentów, ale oczywiście mi odmawiano. Kiedyś trzeba będzie otworzyć te archiwa. Łatwo nie będzie, biorąc po uwagę nie tak dawno wydaną instrukcję papieża Franciszka, by zakazać przekazywania władzom świeckim, w tym sądom, kościelnych akt dotyczących przestępstw seksualnych. Jeśli polski wymiar sprawie-

Nie stawiam tezy, że Wojtyła był molestowany przez Sapiehę. Ale kardynał może okazać się kluczowy do zrozumienia, dlaczego Jan Paweł II milczał i odwracał wzrok, gdy docierały do niego informacje o księżach pedofilach

dliwości chce mieć do nich dostęp, musi najpierw zwrócić się do Watykanu.

Pozostaje IPN i archiwa, które budzą wątpliwości. Część to fałszywki, kolejne pozyskiwane były od TW, tzw. tajnych współpracowników, poprzez szantaż i korupcję. Grząski grunt.

– Chichotem historii jest to, że dowody współodpowiedzialności Jana Pawła II za przestępstwa pedofilii pochodzą z archiwum dawnej SB. Jeżeli to komuś się nie podoba, to niech przekona biskupów, aby otworzyli swoje archiwa.

Początkowo nie miałem pojęcia, gdzie szukać. W 2019 roku chciałem się już podać, ale trafiłem na pierwszy w miarę dobrze opisany przypadek. No to szukałem dalej. Co do wiarygodności esbeckich dokumentów – to, że jakaś organizacja odegrała złowrogą rolę, nie wyklucza jej roli jako historycznego źródła. Ja nie lustruję nikogo, więc unikam kontrowersji, czy

ktoś był albo nie był świadomym tajnym współpracownikiem. Zresztą każdy przypadek był inny. Bardzo różne były powody, dla których księża donosili. Nie oceniam tego. Mnie interesują informacje, które podawali. Nieprawdziwe jest przekonanie, że te donosy zawierają same kłamstwa. Przecież pierwszym zadaniem każdej służby specjalnej, niezależnie od systemu, jest zbieranie jak najpewniejszych informacji. Widać zresztą, że SB starała się weryfikować informacje. Poza tym konfrontowałem dokumenty i zeznania ze świadkami. Wiele z tego, co wyczytałem, udało się potwierdzić.

W książce podaję przykłady, kiedy SB spreparowała fałszywki i pułapki, ale – żeby były skuteczne – i one musiały, przynajmniej częściowo, opierać się na sprawdzonych informacjach.

Jak to możliwe, że historycy, ale też dziennikarze, przez wiele lat badający archiwa SB na te przełomowe dokumenty wcześniej nie trafili?

– To nie jest pytanie do mnie. Teczki Surgent i Loranca były prawie nietknięte, gdy dotarłem do nich, ale inne teczki – na przykład Sadusia i Lenarta – już były wypożyczane do różnych kwerend. Na przykład dokumenty dotyczące tych księży zna ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który napisał książkę „Księża wobec bezpieczeństwa”. Dlaczego nie precyzował, o jakie skandale obyczajowe chodzi w przypadku tych duchownych? Dlaczego nie zadał pytania o odpowiedzialność Wojtyły? W jedynym z wywiadów mówił, że blokował go kard. Dziwisz.

Opierasz się jednak także na zeznaniach TW. W przypadku kard. Sapiehy, mentora Jana Pawła II, opierasz się na teście ks. Boczka. Z tego dokumentu wynika, że Księżę Niezłomny, jak nazywano hierarchę z racji jego postawy wobec hitlerowskiego okupanta, a potem reżimu sowieckiego, molestował w konwencji sado-maso kleryków i księży. Historyk Marek Lasota, autor „Donosu na Wojtyłę”, oraz ks. Isakowicz-Zaleski uznają „rewelacje” Boczka za niewiarygodne. – Dosłownie w ostatniej chwili zdecydowałem się dodać to świadectwo do książki. W „Maxima Culpa” nie szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jan Paweł II tak uparcie ignorował problem pedofilii wśród księży, tylko starałem się uporządkować fakty. Jednak w końcu stwierdziłem, że świadectwo ks. Boczka może okazać się tak ważnym tropem, żeby zrozumieć postawę Wojtyły, że muszę je dodać. Nie zdecydowałbym się na to, gdybym nie wiedział, że historie o molestowaniu księży przez Sapiehę krążą po dziś dzień po Krakowie. I tu znowu pytanie, jak to jest, że tylu badaczy czytało jego teczkę, a wszyscy omijali to świadectwo?

Oczywiście, że podejście do tak drastycznych materiałów wymaga ostrożności. Ale nie ma powodów, aby odrzucić świadectwa ks. Boczka a priori jako nieautentyczne; dobrowolnie współpracował z SB, nic nie wskazuje, że jego wyznania były wymuszone. Wątek molestowania przez Sapiehę pojawia się spontanicznie, kiedy opisuje niedawną wizytę u Sapiehy. Dopiero później wraca do tematu i podaje obszernie wyjaśnienia. Mógł się mylić w datach, w liczbie uderzeń, ale wymyślić coś takiego? Poza tym wymienia w zupełnie innym kontekście kolegę księdza, który również skarży się na „nienormalność” Sapiehy. W teczkach obu tych księży pojawiają się informacje, że sami mieli molestować dziewczynki. To wygląda na podręcznikowy przypadek molestowania przez molestowanego. Do tego ks. Boczek nadmier nie pił, co nie przekreśla jego wiarygodności; pasuje do obrazu ofiary, która ucieka w alkohol.

Gdy opublikowaliśmy w „Wyborczej” fragment twojej książki dotyczący kard. Sapiehy, rozpetęła się burza.

– Doniesienia o tym, że kard. Sapięha mógł być drapieżcą seksualnym, to nie jest historia jednej teczki.

Na ten sam trop wpadł Marcin Gutowski z TVN 24, który też szukał odpowiedzi, czy Wojtyła wiedział. Jego reportaż wkrótce będzie można obejrzeć w programie „Czarno na białym”. Potwierdza, że doniesienia o szczególnych upodobaniach kard. Sapięhy złożył też ks. Andrzej Mistat, który przez dwa lata był kapłanem starzejącego się hierarchy. Z kolei Tomasz Terlikowski stwierdził, że wiedza o niegodnych zachowaniach hierarchy była w archidiecezji znana.

– Konieczne są dalsze badania, nie tylko w IPN. Postać Sapięhy może okazać się kluczowa dla zrozumienia, dlaczego Jan Paweł II milczał i odwracał wzrok, gdy docierały do niego informacje o przestępstwach seksualnych księży. Dla jasności: nie stawiam tezy, że Wojtyła był molestowany przez Sapięhę, bo na to nie ma dowodu. Ale jeżeli prawdą jest, że ksiądz arcybiskup Sapięha molestował kleryków i młodych księży, może to być kluczowe, aby rozumieć, dlaczego papież tak uporczywie nie chciał słuchać o molestowaniu. Nawet jeżeli sam nie doznał takiej krzywdy z rąk Sapięhy, to i tak historie o tym, że człowiek, który był dla niego tak ważny, miał dopuszczać się takich czynów, musiały mieć na niego wpływ.

A może uprawiamy prezentyzm, czyli oceniamy Wojtyłę bez uwzględnienia tamtej perspektywy oraz mentalności? Dziś wiedza na temat traumatycznych skutków molestowania jest niemal powszechna, ale wtedy to był temat tabu. A Wojtyła mógł szczerze wierzyć, że ukarał tych księży, a oni okazali skrucę i się poprawia.

– Czyli mamy wierzyć, że arcybiskup Wojtyła nie wiedział, że seks z dzieckiem jest złem? Przecież sam w 1971 roku w liście do księdza, który został skazany za pedofilię, nazywa rzecz po imieniu, używając słowa „przestępstwo”.

Uważał, że seks poza- i przedmałżeński jest ciężkim grzechem, używanie prezerwatyw, nawet gdy dookoła rozprzestrzeniała się epidemia AIDS, było grzechem, ba, już samo pożądliwe spojrzenie na inną kobietę niż żona uważał za cudzołóstwo. Ten sam człowiek miał nie rozumieć, że przestępstwo seksualne wobec nieletnich jest złem? Rzecz w tym, że stosował różne miary do różnych ludzi. Narzucał bardzo surową moralność seksualną wiernym, a chronił przestępców seksualnych wśród księży.

Zresztą w książce chyba dość łagodnie oceniam Wojtyłę jako arcybiskupa. Nie tylko dlatego, że wtedy nie wiadano, jakie spustoszenie molestowanie seksualne sieje w młodym człowieku, ale też dlatego, że jako biskup w komunistycznym kraju miał ograniczone pole manewru. Ale to okoliczność łagodząca nie usprawiedliwia tego, że opiekował się sprawcami, a nie ofiarami i ich rodzinami.

Na ocenę tego, jak reagował jako krajowy hierarcha, rzutuje też to, co robił, gdy już był papieżem. Najpóźniej w marcu 1985 roku został obszernie poinformowany, co się dzieje w USA. Wiedział, że molestują księży nie tylko w Polsce, z bliska znał problem, przekazano mu wiedzę o niszczyielskiej sile pedofilskich czynów dla psychiki ofiary. Ale nic z tym nie robił, choć docierały do niego informacje o kolejnych krajach, gdzie duchowni molestowali. Jedynym ustępstwem było to, że w 1994 pozwałał amerykańskim biskupom stosować amerykańskie prawo na amerykańskiej ziemi. Ale w 2004 roku publicznie błogosławił Marciała Degollada, o którym już było wiadomo, że jest seksualnym drapieżcą.

Na pewno zaraz usłyszysz, jeśli już ich nie słyszysz, pytania, dlaczego niszczysz sacrum i kto ci dał takie prawo.

– Nie wojuję z religią. Ludzie będą szukać Boga, bo cierpią i umierają. Problem w Pol-

sce polega na tym, że przypną cię albo do katolickiej prawicy, albo do skrajnej lewicy i antyklerykalów. Ci pierwsi są jak te symboliczne trzy małpki: jedna nie widzi, druga nie słyszy, trzecia nie mówi. Ci drudzy to często ludzie zranieni przez kler.

A propos sacrum. W 2020 roku byłem w ekipie relacjonującej wybory prezydenckie. W tym czasie znowu białem się z myślami, czy kontynuować pracę w sprawie Wojtyły. Zrozumiałem, że trzeba, gdy zobaczyłem na żywo wystąpienie prezydenta Dudy. Perorował, że LGBT to nie ludzie, tylko ideologia. Prezydent europejskiego kraju w XXI wieku odmawia człowieczeństwa ludziom ze względu na orientację seksualną?! Zgromadzeni ludzie dookoła mnie zareagowali falą entuzjazmu. A ci sami ludzie domagają się bezwzględnego szacunku dla ich religijnego sacrum. Trudno, może czas, aby pokazać, że Jan Paweł II w niektórych sprawach stał po złej stronie historii.

Połączenie religii z polityką w Polsce to mieszanina, która owocuje przemocowym systemem społecznym. Na przykład wobec kobiet, których płodność Kościół chce kontrolować, i wobec osób LGBT.

– Gdy chodzi o kobiety, to Kościół wytwarza w społeczeństwie opresyjny system. Jest Bóg Ojciec, Syn Boży, Ojciec Święty, potem kapłani – sami mężczyźni – a na dole lud boży, tam jest miejsce kobiety, stworzonej z żebra Adama. Starsi panowie uczą, że Bóg jest starszym panem, który każe słuchać starszych panów. Oczywiście, ten patriarchalny model widać również w innych wyznaniach i społeczeństwach. W tym sensie moja książka dotyczy czegoś większego, nie tylko Kościoła katolickiego. Postać Jana Pawła II reprezentuje świat, który na naszych oczach przemija.

Ale „Maxima Culpa” ocieka przemocą w wielu formach. Polskie społeczeństwo tamtych lat było bardzo przemocowe. Kłaniają się wieki pańszczyzny. Ostatnio Peter Pomerantsev w wywiadzie w waszej gazecie mówił o Rosjanach, że „mają obsesję na punkcie upokarzania innych, projektując swoje traumy”. Brzmi znajomo? ●



*Ekke Overbeek

• dziennikarz, reporter, z wykształcenia filozof. W 1991 r. przyjechał do Polski, uczył się polskiego na KUL-u. W 1999 r. wrócił do Polski wraz z rodziną. Korespondent holenderskich mediów w Europie Środkowej. Zajmuje się również pedofilią w Kościele, wydał książkę „Łekajcie się. Ofiary pedofilii w polskim Kościele mówią”. Właśnie ukazuje się jego nowa książka, „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział”

„Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział”, Ekke Overbeek, książka już dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



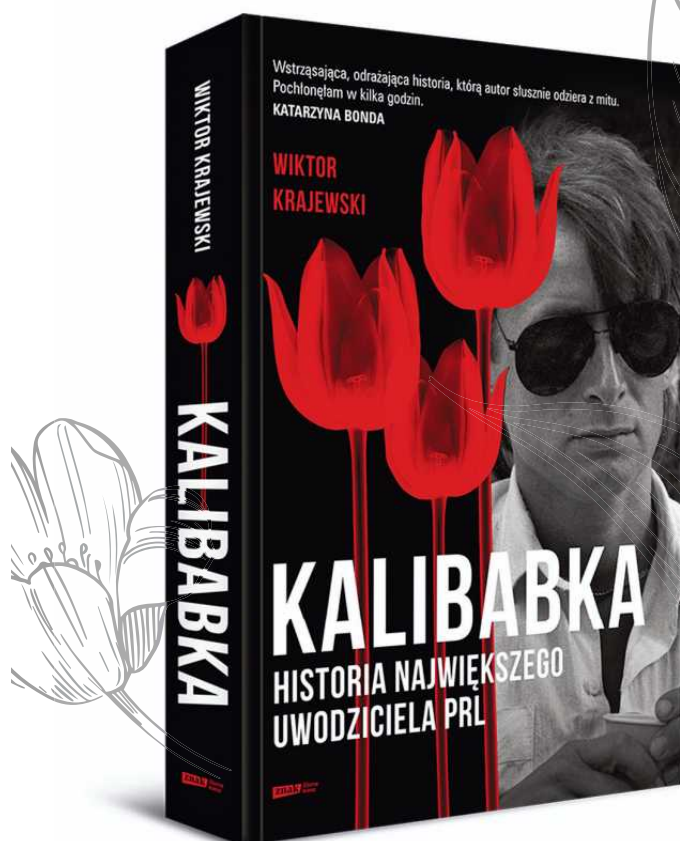
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę***

2.

**Fragmentu książki
Wiktora Krajewskiego
„Kalibabka. Historia
największego uwodziciela PRL”**



Zanim ktokolwiek usłyszał o oszuście z Tindera, po Polsce grasował „Tulipan”, a serial o nim oglądało 19 milionów widzów. Uwodził młode turystki z Zachodu, pił drinki i spał w hotelach, na które nigdy nie byłoby go stać. Mimo to kobiety go uwielbiały, mężczyźni chcieli być tacy jak on, a gazety rozpisywały się o jego podbojach.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Wiktora Krajewskiego „Kalibabka. Historia największego uwodziciela PRL” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

WKH23U

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 4.03.2023 r. do 5.03.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Z **AGNIESZKĄ BRYC***, **JANEM KRZYSZTOFEM BIELECKIM****, **ANDRIJEM DESZCZYCĄ***** I **PAWŁEM KOWALEM******
ROZMAWIA **AGNIESZKA LICHNEROWICZ**, TOK FM

Spotkałam się z prognozą, że w ciągu dziesięciu lat Ukraina będzie członkiem Unii Europejskiej. Pan, panie premierze, jest w grupie ekspertów wspomagających Ukrainę. To realne?

JAN KRZYSZTOF BIELECKI: Wszystko, co było niemożliwe przed wojną, stało się możliwe jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Za chwilę Ukraina pobije wszelkie rekordy, bo uważam, że otworzą negocjacje w tym roku. W zeszłym roku byłem na spotkaniu z ludźmi od dostosowania prawa ukraińskiego do europejskiego. Scenografia wojenna – worki z piaskiem w drzwiach, w oknach, stroje paramilitarne – ale rozmowy standardowo techniczne, o ścieżce integracyjnej. I oni oznajmili, że teraz pracuje im się szybciej, łatwiej osiągać porozumienie z różnymi stronami, bo nie ma walki frakcyjnej. Wszyscy mają wspólny cel.

Jeśli nie uda się od razu członkostwo, to można myśleć o przyspieszonym paracłonkostwie, w którym np. Ukraina uczestniczy w posiedzeniu, ale nie ma prawa głosu. Ważne, że w sprawie Ukrainy Europejczycy zaczęli myśleć niestandardowo, wykraczając poza utarte harmonogramy.

Pan i Paweł Kowal jesteście współautorami manifestu o przyszłości relacji polsko-ukraińskich.

PAWEŁ KOWAL: Polskie społeczeństwo na dobrą sprawę weszło w unię z ukraińskim, więc trzeba temu tylko nadać ramy prawne. Może pomyśleć o tym jak o traktacie elizejskim de Gaulle’a i Adenauera? Można wymienić wiceministrów w niektórych resortach, takie rzeczy już się zdarzały w historii. Można zrobić regularne wspólne posiedzenie parlamentów. Trzeba powołać wspólny uniwersytet. To się da zrobić – taki jak Viadrina. Trzeba koniecznie zsynchronizować systemy obronne. Polska i Ukraina za trzy, cztery lata będą jednym z najsilniejszych ośrodków w całym NATO. Będą dwie wielkie armie, dobrze dobrojone i przećwiczone.

Mam taki problem: Czy Amerykanie wtrącają się w sprawy UE? Jeśli tak, to znaczy, że szybko będzie rozszerzenie. Każde duże poszerzenie i skok w integracji europejskiej były po cichu inspirowane przez Amerykanów. A sekretarz stanu Antony Blinken właśnie mówił o rozszerzeniu Unii. To znaczy, że sprawy poszły już daleko i teraz bym obstawiał nie dziesięć, ale nawet pięć lat.

A w NATO Ukraina będzie nawet wcześniej niż w Unii. Wróci stara idea dyplomaty i stratega Rona Asmusa – NATO aż po Kaukaz. Sojusz jest zintegrowany, jak nie było od zimnej wojny. Niemcy naprawdę się dużo nauczyły i tempo będą dyktowali, jak kiedyś, duży gracz, czyli Niemcy, Włochy, Wielka Brytania. Francja, jak to Francja, dostosuje się – i Ukraina będzie w NATO.

Najtrudniej przewidzieć, co się stanie z Rosją, a budowanie no-

FEDERACJA ROSYJSKA SIĘ ROZLECI

A Ukraina będzie w Unii nie za dziesięć, ale za pięć lat

wego systemu bezpieczeństwa będzie zależało od jej stanu.

AGNIESZKA BRYC: Każde imperium prędzej czy później upada. Pytanie, jakie muszą się uruchomić procesy, żeby nastąpiła decentralizacja Rosji. Niektórzy mówią o starej metodzie prometejskiej, wspieraniu mniejszych narodów, które są częścią tego wielkiego więzienia. Ale nie jestem pewna, czy – jak to nazywał Zbigniew Brzezinski – ciecie Rosji po szwach jest możliwe. Ja bym nie przesadzała z tym, że wszystkie narody nierosyjskie chcą wybijać się na niepodległość. Mamy obraz Rosji jako więzienia narodów, ale proces rusyfikacji i sowietyzacji – w istocie kolonizacji – poszedł bardzo głęboko. Przecież Szojgu czy Ławrow mówią o sobie, że są Rosjanami.

Najłatwiej, paradoksalnie, może być z Czeczenią, bo Kadyrow wie, co się stanie, jeśli w Rosji dojdzie do wielkiego wstrząsu, czyli katastrofy militarnej, która uruchomi proces usuwania Putina. Jeżeli zastąpi go Nikołaj Patruszew, szef rady bezpieczeństwa narodowego i byłby szef FSB, czyli szara eminencja służb... To jastrząb wśród jastrzębi. A Kadyrow nie jest ulubieńcem służb i wie o tym. Ale nawet jeśli Putin przetrwa, lecz skończą się pieniądze, którymi kupuje lojalność, to Kadyrow też poszuka sponsora na zewnątrz.

Ale oprócz szwów narodowych są jeszcze personalne, ambiciozne, biznesowe, regionalne. Putin trzy lata temu zamknął Siergieja Furgala, gubernatora Kraju Chabarowskiego, nie dlatego, że przejął się zabójstwami, ale dlatego, że przestraszył się dryfowania regionów dalekowschodnich i dał sygnał, że nie zawaha się je pacyfikować. Czyli już wiedział, że pewne procesy, których na zewnątrz nie widać, są uruchomione. Gdy zabraknie Putina, iluś ludzi może dojść do wniosku, że czas brać sprawy w swoje ręce.

P.K.: Polemika w mediach społecznościowych Kadyrowa z Morawieckim uprawdopodobnia ten scenariusz czeczeński, bo kiedy Kadyrow odpala Morawieckiemu, że nie ma możliwości, żeby Czeczenia porzuciła Rosję i była niepodległa, przecież mówi to nie do premiera Polski, tylko do Putina.

Tak, żeby każdy polityk wiedział, że on, Kadyrow, ma plan B, czyli oderwanie Czeczenii.

Pewnie będzie miks. W Jakucji czy Buriacji będzie rządziła jakaś lokalna klika pod egidą Rosji, bo te narody są zbyt nieliczne i słabe, żeby u boku takiego sąsiada stworzyć swoje państwo. Będzie trochę dzikiej decentralizacji, niby-federalizacji, półprywatnych regionów jak za początków Jelcyna. A na obrzeżach, szczególnie na Kaukazie, duże wpływy zewnętrznych graczy, chińskie, a może i japońskie.

nym przesuwamy wajchę ku zwycięstwu militarnemu Ukrainy. Wtedy Putin wyciąga dwie karty. Albo daje nam na pokaz dobrego cara, takiego drugiego Miedwiediewa, w którym mamy zobaczyć liberała i reformatora – najprawdopodobniej premiera Miszustina albo mera Moskwy Sobianina. Albo ulega presji szefa wagnerowców Prigożyna, Kadyrowa i innych ultrapatriotów i przekazuje rządy w sposób kontrolowany. Wtedy dostajemy jawnego siłownika Patruszewa.

No i nie zapominajmy o samych Rosjanach. Lew Gudkow, ceniony socjolog, zwraca uwagę, że poparcie dla Putina jest autentyczne. To nie tak, że te

75 procent za wojną i Putinem to sfalszowane badania i propaganda. Co brzmi niewesoło, ale ma drugą stronę medalu – jeśli społeczeństwo poprze każdą decyzję władzy, to jeżeli jutro Putin powie: „Koniec, wycofujemy się z Ukrainy, oddajemy, przepraszamy, płacimy reparacje”, społeczeństwo przykłada się na podobnym poziomie poparcia.

P.K.: A ja, gdy mowa o małych narodach i udanej rusyfikacji, proponuję ćwiczenie z wyobraźni. Gdyby np. Czeczenia wywalczyła sobie, tak jak inni, status odrębnej republiki w latach 20., gdy ZSRR wciąż się formował, to podczas rozpadu ZSRR dostalaby niepodległość na talerzu, tak jak dostała Kirgizja. To samo dotyczy innych małych narodów Federacji. To przypadek, że niektóre kraje znalazły się w latach 90. wewnątrz Federacji Rosyjskiej. Albo weźmy Białoruś – powtarzamy, że Mińskowi blisko do Moskwy, nawet skojarzenia ludzi wspierających białoruskie aspiracje demokratyczne są związane z rosyjskim sąsiedztwem. Ale to siedzi w głowie Łukaszenki, to nie jest żadna prawda dziejowa.

Musimy – mam na myśli całą Zachód – zmienić własne myślenie. Jeśli już wyobrażamy sobie Ukrainę w NATO czy UE, dlaczego nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie rozpadu Federacji Rosyjskiej?

Niedawno w USA w bardzo poważnym gronie rozmawialiśmy o pomocy Ukrainie, poruszyłem temat „co z Rosją” i pewien powszechnie znany w Polsce

człowiek powiedział mi na ucho: „Przestań mówić o tym rozpadzie Rosji, to zniechęca do pomocy Ukrainie”. Bo ludzie Zachodu mają w głowie mapę z tą plamą na pół świata opisaną „Russia”, myślą, że tam wszędzie są Rosjanie, i wyobrażają sobie apokalipsę. A na tych wielkich przestrzeniach albo mieszka ktoś inny, albo nikt nie mieszka. I jeśli Federacja się rozleci, to Rosjanie stworzą sobie normalne, zmodernizowane państwo jak każdy inny. Wielkie Księstwo Moskiewskie, nim „zabrało ziemie ruskie”, nie było wcale małe, a przecież jeszcze i Syberii im trochę zostanie.

To po pierwsze, a po drugie – dlaczego nie umiemy wyobrazić sobie rozpadu Rosji, skoro wiemy, że każde imperium wcześniej czy później się rozpada?

Panie ambasadorze, a jak wy, Ukraińcy, myślicie o przyszłości Rosji?

ANDRIJ DESZCZYCA: Przede wszystkim myślimy o przyszłości Ukrainy. Ta wojna musi się zakończyć zwycięstwem rozumianym jako „żadnych wojsk rosyjskich na terytorium Ukrainy w granicach przed 2014 rokiem”. Potem Rosja musi być pociągnięta do odpowiedzialności za zbrodnie, które popełniła, i podpisać jakiś traktat, który zagwarantuje, że nie będzie zagrożeniem dla sąsiadów i świata. Plus gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy – tutaj nie ma alternatywy dla członkostwa w Unii i NATO.

A co do losów Rosji... Wydaje mi się, że pierwszym etapem rozpadu imperium będzie odpłynięcie tych republik formalnie niepodległych, ale pod wpływem Rosji – Białorusi, Mołdawii, Gruzji, potem Kazachstanu, Kirgistanu, Tadżykistanu. Wtedy Rosja osłabnie i nastąpi reakcja łańcuchowa. ●

***Dr Agnieszka Bryc** – politolożka, pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz w Akademii Obrony Narodowej, znawczyni Rosji

****Jan Krzysztof Bielecki** – drugi premier wolnej Polski (1991), jego rząd pierwszy na świecie uznał niepodległość Ukrainy

*****Andrij Deszczyca** – ambasador Ukrainy w Polsce w latach 2014–22, były minister spraw zagranicznych

******Paweł Kowal** – poseł KO, wiceprzewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, profesor PAN, wiceminister spraw zagranicznych w latach 2006–07. Znawca polityki wschodniej

„Spokojnie już nie będzie. Koniec naszej belle époque”, Agnieszka Lichnerowicz i Paweł Kowal, książka już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



NASZAEUROPA

Margaret Atwood

ANULOWANIE DYSKUSJI,
TO DYKTATURA

Homo sapiens planuje na krótki dystans. To był zresztą dotychczas jeden z sekretów naszego przetrwania i sukcesu. Teraz może nas zgubić

Iker Seisdedos

EL PAÍS

Ponieważ spotkaliśmy się w Dzień Świętego Walentego, mogę się pochwalić, że byłem na randce z Margaret Atwood – zjedliśmy kolację w restauracji szykowego hotelu w pobliżu jej domu w Toronto. Widziałem, że przy stolikach obok ludzie szepczą sobie: „Tak, to ona”. Nic dziwnego, 83-letnia Atwood to najslawniejsza pisarka Kanady, autorka wielu powieści uznawanych dziś za wręcz profetyczne – jak „Opowieść podręcznej” z 1985 r., dystopia z silnym przekazem feministycznym. Ale też poetka, autorka książek dla dzieci, opowiadań i esejów. Ale na wywiad Atwood przyszła nie jako ikona, tylko jako wnikliwa, dowcipna i przekonująca analityczka naszej rzeczywistości, której wpisy na Twitterze śledzą dwa miliony ludzi.

Na świecie ukazują się właśnie kolejne przekłady jej wydanego przed kilkoma miesiącami zbioru „Burning Questions: Essays and Occasional Pieces”. Zebrała w nim teksty z lat 2004-21 o feminizmie, zmianach klimatycznych, literaturze fantastycznej i przyszłości.

Na naszą rozmowę przyszła piechotą, sama, ukryta pod czarnym kapeluszem z szerokim rondem. Zgodziła się na datę 14 lutego, mimo że to był dzień, który od lat 70. zwykła celebrować ze swoim partnerem, zmarłym w 2019 r. pisarzem Grame'em Gibsonem. Słynie z wyrażania opinii pod prąd. Jest ironiczna. Zamierzałem zadać jej kilka „palących pytań”, na których sama skupiła się w swojej książce, a okazało się, że potrafi zręcznie unikać drażliwych kwestii...

● ● ●

Co dziś panią zajmuje lub martwi? Biorąc pod uwagę pani powieściowy talent do przewidywania problemów, które mają nadejść, w interesie nas, czytelników, jest wiedzieć, czym będą się martwić za, powiedzmy, 10 lat.

– Problem w tym, że ja już nie martwię się zbytnio o przyszłość. Zostawiam to młodym ludziom. Kiedy masz 20 lat, myślisz, że z ledwością dożyjesz 30, a potem nagle znajdujesz się w tej restauracji, mając 83 lata.

To już nie jest w mocy mojego pokolenia, aby zmieniać świat.

Czy to właśnie pokolenie jest odpowiedzialne za bałagan, w którym się znajdujemy?

– Ten rachunek powinien być wystawiony pokoleniu boomersów. My byliśmy jeszcze dość oszczędni. Nie używaliśmy plastiku, nie mieliśmy tylu samochodów. Dorastaliśmy w czasie II wojny światowej. Zналиśmy takie zjawisko jak reglamentacja.

Czy jako ktoś, kto przeżył pierwszą zimną wojnę od początku do końca, powiedziałaby pani, że już żyjemy w czasie drugiej zimnej wojny?

– Oczywiście, i to nie od wczoraj. Ta sytuacja od poprzedniej różni się tym, że nie wszyscy chcą sobie to uświadomić. Kolejna różnica polega na tym, że w przypadku ZSRR wszystko było dość jasne, kto jest kim i do czego dąży. Teraz nikt tak naprawdę nie wie, jakie są ambicje Chin.

Napisała pani, że część problemu polega na tym, że „po upadku muru berlińskiego świat poszedł na zakupy”.

– Mówiono, że nadszedł koniec historii – ale historia nigdy się nie kończy. Najwyżej jakiś jej etap. Przypomina mi to grę w bierki, w której rzuca się na stół kilka patyków, a zadaniem jest podniesienie jednego bez poruszania pozostałych. Tylko że kiedy dotykasz tego jednego, inny zawsze też się rusza. No a jeśli poruszyś tak duży kij jak Związek Radziecki, oczekiwanie, że nic się nie stanie, jest bardzo naiwne. Teraz widzimy geopolityczne konsekwencje naiwności.

Czy Zachód postępuje właściwie, wysyłając broń do Ukrainy bez daty końcowej tego działania?

– Jeśli chcemy zapobiec powrotowi Ukrainy do bloku postsowieckiego oraz aby ten blok nie znalazł się ponownie u naszych drzwi, trzeba zbroić Kijów. W tej wojnie jedynym sposobem na obronienie wolności jest wysyłanie mu czołgów i rakiet.

Być może określeniem najczęściej stosowanym do pani twórczości jest słowo „prorocza”. Odczuwa pani w związku z tym jakąś presję, pisząc kolejne rzeczy?

– Nie jestem pisarką profetyczną. Przeciwnie, jestem interpretatorką historii. Pamięć została wymyślona nie po to, by utrwać, co nam się przydarzyło, ale by przewidywać to, co ma nadejść.

Pisze pani: „Przyszłość nie jest już spacerem po parku. Przypomina już bardziej brodzenie w błocie”.

– Twierdzę też, że mówić o przyszłości to zawsze mówić o teraźniejszości. I parafrazując Raymonda Carvera: o czym mówimy, kiedy mówimy o przeszłości? Otóż również o teraźniejszości. O tym, co tu i teraz, zawsze.

Kiedy w zeszłym roku amerykański Sąd Najwyższy uderzył w federalne gwarancje prawa do aborcji, w Waszyngtonie demonstrowały tysiące ludzi. Widziałem wśród nich pewną kobietę: była ubrana jak bohaterka sfilmowanej „Opowieści podręcznej”, niosła transparent z napisem: „To nie jest fikcja”.

– Ta kobieta należy do tych, którzy wiedzą, że pierwszym krokiem każdego reżimu totalitarnego jest zaatakowanie praw kobiet.

Naprawdę dostrzega pani symptomy przyszłego totalitaryzmu w Stanach Zjednoczonych?

– Jednym z jego symptomów jest sytuacja, gdy między władzą wykonawczą i sądowniczą zaciera się granice. Kiedy ci sami ludzie tworzą prawa, interpretują je i egzekwują. Wtedy już nie ma komu pociągać tyrana do odpowiedzialności. Teraz już wiemy, jest to dobrze udokumentowane: Donald Trump próbował właśnie to zrobić z Departamentem Sprawiedliwości. Podporządkować go.

Przekonują panią argumenty ludzi, którzy przestrzegają, że USA są w zasadzie na skraju wojny domowej?

– W tej chwili nie, ale nie wykluczam tego w przyszłości: przecież to już się kiedyś wydarzyło. Nie będzie to konflikt z tak wyraźnie podzielonymi stronami. To nie będzie Południe kontra Północ, tylko coś bardziej pogmatwanego, trudniejszego. Ale tak, amerykańska demokracja jest poważnie zagrożona już teraz.

To ciekawe, że kiedy pisze pani o polityce, w domyśle jest to zawsze o polityce amerykańskiej.

– Tacy już jesteśmy, my, Kanadyjczycy. Patrzymy nieustannie przez to weneckie lustro, które nas dzieli. My widzimy ich, ale oni nie widzą nas. Często zadają sobie to pytanie: oni są najpotężniejszym mocarstwem na świecie, mają władzę i wpływy, są bardzo bogaci – jak to możliwe, że się rozpadają?

I jaka jest odpowiedź?

– Jednym z problemów jest ich system dwupartyjny. To ostro polaryzuje i zarazem wyklucza niuanse. My mamy sześć partii – i już tylko to sprawia, że sprawy są mniej intensywne i jadowite.

Napisała pani „Opowieść podręcznej” w czasach Reagana. Już wtedy trwały zjawiska, które doprowadziły do ubiegłorocznej decyzji Sądu Najwyższego?

– W latach 80. upowszechniło się używanie religii jako broni politycznej. I to przy tej okazji Republikanie zdali sobie sprawę, że mogą zjednoczyć ludzi wokół silnie polaryzujących kwestii. Moja powieść opowiada tylko o tym, co by się stało, gdyby tak wychowani ludzie byli u władzy. Mój wkład kreatywny to były w zasadzie wyłącznie kostiumy. Opisuję bardzo stare pomysły i idee.

Ale czy mają przyszłość? Dane demograficzne wskazują, że Ameryka powoli, ale nieubłaganie przestaje być narodem białych chrześcijan.

– Stare idee będą przybierać różne formy. Np. formę obsesji na punkcie zmuszania ludzi do posiadania dzieci.

Wydaje mi się jednak, że obecnie skupia się pani głównie na zmianach klimatycznych.

– To też pewna obsesja, sięga u mnie daleko wstecz, do mojego ojca, który był biologiem.

Należy pani do tych, którzy ulegli „ekopesymizmowi”?

– Jest jeszcze czas na uratowanie ekosystemów tej planety. Problem polega na tym, że ludzie nie reagują, dopóki nie zobaczą, że to ich dom jest zmieciony przez powódź, strawiony przez pożar. *Homo sapiens* zajmuje się planowaniem w krótkich dystansach. To był zresztą dotychczas jeden z sekretów naszego przetrwania i sukcesu.

Jeden z esejów poświęca pani wewnętrznym tarciom w ruchu feministycznym, jego kolejnych fal.

– Wewnątrz feminizmu zawsze są walki, bo składa się z ludzi. Nie ma jednego wzorca feministki. Możemy się zgadzać w niektórych sprawach, ale niekoniecznie we wszystkich.

Prawa osób trans to jedna z takich kwestii...

– Ludzie powinni być bardziej wrażliwi, ale nie są. Cała biologia jest jak krzywa Gaussa: na każdej ekstremie jest mała część ludzi, ale olbrzymia większość to średnia pomiędzy nimi. Tylko że nie można lekceważyć tego, co dzieje się na krańcach, bo to tam zazwyczaj zachodzi ewolucja całości. Ponadto pomysł, że świat jest podzielony na dwa nieprzepuszczalne obozy, jest błędny i fałszywy.

Gdzie pani stoi w tej debacie?

– Osoby trans są istotami ludzkimi. Powinny korzystać z takich samych praw człowieka jak wszyscy inni.

Porozmawiajmy o formacie listu otwartego jako sposobie na wyrażenie opinii...

– A o jakim dokładnie liście otwartym chcielibyśmy porozmawiać? Ta część wywiadu mogłaby nosić tytuł: „Jak wpaść w kłopoty jednym prostym ruchem”.

● ● ●

Atwood jest weteranką wdeptywania w kłopoty za pomocą listów. W 2020 r. podpisała się pod opublikowanym przez magazyn „Harper’s” apelem dotyczącym kultury wymazywania, cancel culture, w którym potępiła „nietolerancję” progresywnego aktywizmu w amerykańskiej debacie publicznej. Trzy miesiące później dołączyła do innego, wspierającego osoby niebinarne i trans. To była odpowiedź na artykuł J.K. Rowling, w którym autorka sagi o Harrym Potterze zajęła stanowisko w sprawie debaty na temat tożsamości płciowej w sposób, które ściągnęło na nią gniew za „transfobię”. Podpisanie przez Atwood obu tych listów odbiło się echem na pierwszych stronach gazet, zresztą podobnie jak wtedy, gdy opublikowała artykuł zatytułowany „Why We Can’t Use the Word Woman Anymore”.

Jeden z najciekawszych esejów w „Palących pytaniach” nosi tytuł „Am I a bad feminist?”. To poniekąd odpowiedź na krytykę, jak spadła na Atwood za poparcie innego listu otwartego, w którym grupa pisarzy skrytykowała kanadyjski uniwersytet za to, że w 2016 r. zwolnił wykładowcę oskarżonego o „niewłaściwe zachowania seksualne” jeszcze przed procesem, w którym wykładowca został uniewinniony. „Ruch #MeToo jest symptomem niedoskonałości systemu

NASZA EUROPA

KTÓRA SIĘ NIE PODOBA,



FOT. ARTHUR MOLA/WAP

prawnego – napisała Atwood dwa lata później. – Zbyt często instytucje nie traktują poważnie kobiet, i ludzi w ogóle, zgłaszających nadużycia seksualne, więc skończyło się na tym, że pokrzywdzeni sięgają po nowe narzędzie obrony: internet. Ale jeśli system prawny zostanie ominięty, bo jest postrzegany jako nieskuteczny, co zajmie jego miejsce? Złe feministki, takie jak ja, na pewno nie. Nie jesteśmy do przyjęcia ani dla prawicy, ani dla lewicy. W czasach skrajności zawsze wygrywają ekstremiści”. Atwood wytrwale daje do zrozumienia, że nie jest purystką swojej ideologii i że bardziej niż partie interesują ją prawda i sprawiedliwość.



– Nie wierzę, iż istnieje coś takiego jak „lewica”. Jeśli już, to wiele lewic: nowi utopiści, starzy stalinowcy, postępowcy... „Postępowiec” to słowo, którego nie lubię.

Dlaczego?

– Zbyt wiele strasznych rzeczy zostało zrobionych w imię postępu. Jak eugenika czy sterylizacja kobiet wbrew ich woli. W ogóle nie wierzę w nieuchronny postęp. Nie wszystko ma początek i koniec i rozwija się po tej linii. Nie ma też czegoś takiego jak nieunikniona przyszłość. To po prostu nieprawda.

Skąd na lewicy skłonność do wyśmiewania jednych aspiracji progresywnych i apoteozowania innych?

– Ponieważ lewicowcy zaprzeczają swoim własnym narracjom historycznym. To przecież lewica walczyła o bezwarunkową wolność słowa – oni chyba o tym zapomnieli. Jeśli nie potrafisz z czymś dyskutować, kasowanie oponenta nie jest wyjściem. Odwołanie dyskusji o tym, co ci się nie podoba, to dyktatura.

Czy to właśnie robi zachodnia lewica?

– Pewna jej część. Podobnie jak część prawicy. W liście opublikowanym w „Har-

per’s” prosiliśmy jedynie o możliwość rozsądnej debaty. Wielu było zaszokowanych naszą reakcyjnością. To ci sami ludzie, którzy teraz domagają się rozsądku, gdy książkę są zakazywane. Ufam, że nadal wolą debatę od cenzury.

Jedną z najpowszechniej zakazywanych książek w niektórych zakątkach USA pozostaje „Opowieść podręcznej”. Podobno wydawca wypuścił na rynek nawet wersję ognioodporną?

– To edycja zrobiona w celach charytatywnych. Nie było to łatwe. To znaczy łatwo jest zrobić książkę, która się nie spali, ale już nie tak łatwo zrobić książkę, która wytrzyma atak miotacza ognia...

Chciałabym zwrócić uwagę, że prawdziwy zakaz posiadania książki pojawia się wtedy, gdy w żaden sposób nie można zdobyć jej egzemplarza. Natomiast indeksy książek w USA dotyczą jedynie tego, co uczniowie mogą czytać na zajęciach, co mogą znaleźć w bibliotekach. Zazwyczaj takie ograniczenia nie działają. Nie ma mowy, żebyś zabronił nastolatce przeczytać jakąś książkę, zwłaszcza jeśli powiesz mu, że to dlatego, że jest w niej za dużo seksu. Właściwie w „Opowieści podręcznej” nie ma dużo seksu. Myślę, że bywa zakazywana dlatego, że jest uważana za antychrześcijańską. Nie uważam, że taka jest, ale też nie podzielam interpretacji chrześcijaństwa wielu amerykańskich chrześcijan.

Zawsze mówiła pani, że to Księga Rodzaju zainspirowała tę powieść.

– W Biblii jest dla odmiany mnóstwo przemocy i seksu, pewnie dlatego jest to wciąż tak interesująca książka.

Wracając do chrześcijaństwa: dla mnie występuje tylko wtedy, gdy ci, którzy je wyznają, stawiają w centrum miłość bliźniego.

Czy cenzura książek i cancel culture to zjawiska pokrewne?

– Jeśli wymyślisz broń, prędzej czy później użyją jej przeciwko tobie. Wraz ze wzrostem kultury wykluczania lewica musi kosztować swojego własnego lekarstwa. Nie przeszkadzało jej anulowanie, wykluczanie, deplatformowanie, gdy dotyczyło to nieprawomyślnych z ich punktu widzenia. Teraz, gdy inni też to robią, np. zakazując książek, już nie podoba im się to tak bardzo.

W słowniku wojny kulturowej wszystko stało się nagle dwuwektorowe. Termin woke traci swoje pierwotne znaczenie, które miało określać osoby obudzone do potępienia niesprawiedliwości, i staje się modną obelgą w ustach konserwatystów.

– Jest to broń nadużywana w codziennej walce między prawicą a lewicą. Podobnie stało się z terminem faszysta, ludzie po prostu zaczęli nim rzucać dookoła.

Woke zaczyna znaczyć cokolwiek: komunista, chrześcijanin, feministka. Ale ludzie, którzy używają tego terminu jako obelgi, chcieliby anulować wszystko, co oznacza postęp w kwestii równości, o jakieś 80 lat. Nie sądzę, by to im się udało.

Czy uniwersytety w Ameryce są niszczone przez poprawność polityczną?

– Myślę, że prawdziwy kryzys polega na tym, że za dużo pieniędzy dostają ich zarządy, menedżerowie, a za mało wykładowcy. Ci pierwsi są zainteresowani jedynie tym, aby wizerunek uczelni nie został naruszony, i zawsze tylko o to się trzęsą. Uniwersytety nigdy nie zachowywały się jak strachliwe zwierzątka. Jaki jest sens dalszego ich utrzymywania, jeśli sprzenie-wierają się słynnemu zdaniu George’a Orwella? Powiedział on: „Jeśli wolność cokolwiek znaczy, to jest to prawo do mówienia ludziom tego, czego nie chcą usłyszeć”.

Nie jest to maksyma, która zdaje się ostatnio przyświecać debacie publicznej. Odbierając Nagrodę im. Christophe-

ra Hitchensa, powiedziała pani, że zgodzilibyście się przynajmniej w jednym: uczucia są nieistotne jako argumenty...

– Myślę, że tu w grę wchodzi strach. Jestem autonomiczna. Nie pracuję dla nikogo. Ale jeśli jesteś zatrudniony przez uniwersytet, bank, gazetę czy rząd, to zawsze ryzykujesz zwolnienie, kiedy decydujesz się sprzeciwić. Jesteś bezbronny wobec ataków, które mogą mieć realne i przykre konsekwencje.

Sieci społecznościowe mają na to wpływ?

– Z pewnością. W historii za każdym razem, gdy na scenie pojawiała się nowa forma komunikacji, była ogromnie destabilizująca. Prasa drukarska Gutenberga pozwoliła na rozpowszechnianie tanich kopii tekstów, w tym Biblii: to dało początek reformacji, luteranizmowi, kalwinizmowi, baptystom... A co wskórałby Hitler bez radia? Dzięki internetowi świat dokonał niebywałego skoku – no ale przyniósł też media społecznościowe...

Co sądzi pani o nowym właścicielu Twittera – jako jedna z jego najzagorzalszych użytkowników – Elonie Musk?

– Wszyscy byliśmy gotowi odejść z Twittera, czekając, co się stanie. Próbowałam innych mediów, ale uważam, że to wciąż najlepsza platforma do śledzenia wiadomości.

Uważa pani, że sztuczna inteligencja sprawi, że praca pisarza stanie się zbędną, zresztą tak jak praca dziennikarza?

– Jest to temat obecny w science fiction od czasu Karela Čapka i „Metropolis”. Nie wspominając już o HAL-u z „Odysei kosmicznej” Kubricka czy „1984”, gdzie Orwell opisuje produkcję powieści dla mas. Jasne, pewne rodzaje sztuki mogą być sztucznie produkowane, a pewne rodzaje „dziennikarstwa” mogą polegać na copy-paste. Ale czy sztuczna inteligencja może robić najwyższej klasy reportaże i wywiady? Jest to bardzo mało prawdopodobne. Można je podrobić, jak wszystko, co ludzkie, ale nie uzyskać. Na razie sztuczna inteligencja okazuje się niewyczerpanym źródłem dla ludzkich dziennikarzy.

W USA zaczęła się debata o zaawansowanym wieku dużej części amerykańskiej klasy politycznej. Pierwsza republikańska kandydatka do Białego Domu, 50-letnia Nikki Haley, zaproponowała, by zbadać ogólną sprawność kandydatów powyżej 75. roku życia, czyli Trumpa i Bidena.

– Och, Nikki Haley, co za świetny sposób na utratę republikańskich wyborców powyżej 75. roku życia. Poza tym kto przeprowadzi te testy, czy będzie to sama Haley? I czy poproszą ich o narysowanie zegara (to prosty test diagnozujący demencję)? Ale w takim razie dlaczego nie zastosować tego do wszystkich polityków i wszystkich wyborców? Z zainteresowaniem wysłucham pełnego planu plus aktualizacji na temat oszustw polegających na uznaniu osób starszych za niekompetentne jako sposobu na zdobycie ich majątku. Pouczający byłby również przegląd literatury na temat XIX- i XX-wiecznych zakładów dla obłąkanych, kto był w nich umieszczany i dlaczego! ●

Tłum. Łukasz Grzymistawski



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

FOT. TAYLOR IRBY/AP

Słyszalesz o nas? Jesteśmy lokalnym producentem, mamy wytwórnię tutaj, w Pensylwanii – zagaja młody sprzedawca, wskazując na wyłożony granatowym sukniem stół z karabinami półautomatycznymi.

Sprzedawcy starają się upchnąć ich jak najwięcej, na tym leży tylko sześć sztuk, każda z dokładnym opisem. Klient ma dostać czytelny sygnał: oto towar premium. Ceny od 1,7 tys. do 1,8 tys. dol.

– W naszych karabinach nie ma nic standardowego. Opracowujemy je na platformach AR-9, AR-15 albo AR-10, w różnych kalibrach. Te po prawej możesz mieć od ręki. Na tę dziecięcą trzeba poczekać dłużej, bo jest krótkolufowa – więcej roboty papierkowej, pozwoleń. O, a ten pośrodku to prototyp. Jeszcze nie na sprzedaż, wypuszczamy go na rynek w tym roku – zachwala mężczyzna.

Według różnych szacunków w Ameryce odbywa się rocznie od 2 tys. do 5 tys. takich targów. Największe, organizowane w halach wystawowych lub hangarach w Las Vegas czy w Tulsie w Oklahomie, przyciągają dziesiątki tysięcy ludzi. Na innych, lokalnych, jest „tylko” kilkadziesiąt stolików, a ludzie nierzadko się znają.

Na targi przyjeżdżają całe rodziny; nie należy do rzadkości widok chłopaka, który pod okiem ojca podnosi z przejęciem ze stolika karabinek szturmowy. To ogromny biznes – sprzedawcy jeżdżą z jednych targów na drugie co weekend – ale i popkulturowe święto, rytuał spotkania z podobnymi sobie, którzy nie poddają się „marksistowskiej obsesji” ograniczania dostępu do broni, jak powiedział mi jeden z uczestników.

A do tego okazja do kupienia broni przez ludzi, którzy czasem nie mogliby jej dostać w sklepie. Na targach sprzedają bowiem nie tylko licencjonowani dilerzy, ale i osoby prywatne. A sprzedaż prywatna rządzi się swoimi prawami. Tylko w 21 stanach i stołecznym Waszyngtonie sprzedający muszą zgłosić nabywcę do weryfikacji przez policję. Ale w takiej Pensylwanii – w przypadku sprzedaży pistoletów, ale już nie broni długiej. W pozostałych przypadkach mogą dokonać sprawdzenia, ale nie muszą.

Korzystają z tego przestępcy. Było wiele prób zamknięcia tej luki w prawie, ale spełniają na niczym. W 2016 r. referendum w tej sprawie upadło nawet w demokratycznym Maine.

DZIECI ZA DARMO

Imprezę w Trevoise we wschodniej Pensylwanii, na którą przyjechałem w półto-rej godziny autem z Nowego Jorku, zorganizowano w salach konferencyjnych hotelu Radisson.

W holu powitały mnie dwie starsze panie, jakby wyjęte z kółka różańcowego. Sprawnie kasują od każdego 10 dol. za wejście, przybijają pieczęć na nadgarstku. Dzieci poniżej 12. roku życia wchodzi za darmo.

Każdy, kto chociaż trochę zna Amerykę, od razu się połapie, po której stronie wojen kulturowo-politycznych jest zdecydowana większość gości: maszynowe pikapy na parkingu, czapeczki bejsbolowe, bluzy z kapturem, z logo policji albo miejscowej straży pożarnej czy bojówki nieodmiennie zdradzają, że raczej niewielu tu bywalców wielkomiejskich kawiarni.

Na mniej więcej 150 stoiskach piętrzą się stosy karabinów, strzelb, starannie ułożone w gablotach colty, amunicja, noże, kastety, celowniki, paralizatory (niektóre sprytnie udają iPhone’a), zestawy do czyszczenia broni.

Półautomatyczny pistolet glock z napisem „Let’s Go Brandon” (co w języku wtajemniczonych oznacza „Fuck Joe Biden”) można dostać za 759 dol. Nową strzelbę typu pump-action Mossberg 500 – za



RODZINNE TARGI BRONI

**Zawsze będzie na ulicach.
A źli ludzie zawsze znajdą sposoby, by ją zdobyć.
My pomagamy tym dobrym**

**Maciej Czarnecki
Trevoise w Pensylwanii**

445 dol. Efektowny karabin półautomatyczny Black Rain Fallout 15 – 1339 dolarów i 99 centów.

Pewien Rosjanin, który w skórzanym kurtce, z nabijanym ćwiekami, srebrnym paskiem i bandaną na głowie wygląda trochę jak Tom Savini w filmie „Od zmiernych do świtu”, oferuje nawet radziecki pistolet maszynowy PPS-43.

– Mówisz, że jesteś z Polski? Kiedyś prowadziłem ten biznes, ale wyjechałem w 1994 r., jak wybraliście na prezydenta tego komunistę – rzuca.

W szklanej gablocie ma na sprzedaż nazistowskie odznaki z drugiej wojny światowej, m.in. ze swastykami, piorunami SS i trupa czaszką.

ZDJĘCIE Z TOPOREM

Dużym powodzeniem cieszy się stoisko z nożami, przy którym muskularny młodzian o bliskowschodniej aparycji odstawia mały show.

– Widzisz, jak ktoś cię zaatakuję, kluczowe mieć broń jak najbliżej siebie. Chodzi o jak najkrótszy dystans między twoją dło-

nią a nożem. I tu wchodzi to cudzińko – zachwala jednemu ze zwiedzających pokrowiec na nóż. – Mocujesz go na cienkim pasku, poziomo albo pionowo. Zobacz, ja noszę tak. Jeden ruch, i ciach! – Sprawnym ruchem wyciąga nóż i dźga niewidzialnego wroga.

– Z kolei ten mały skubaniec powoduje duże krwawienia. Widzisz, jaki zakrzywiony? Wkładasz go między palce zaciśniętej pięści. W ten sposób możesz trzymać gardę, a w odpowiednim momencie zadać cios. Bez problemu przecina tkankę mięśniową. Nie chcesz się z nim zetknąć.

Prezentację przerywa pojawienie się rodziny z kilkuletnim chłopcem.

– Chcesz zrobić sobie zdjęcie z jakimś z tych toporów bojowych? – pyta malca sprzedawca (cokolwiek oznaczałby „topór bojowy” w obecnych czasach).

– Jak ci dziadek pozwoli, to chwyć tutaj – kontynuuje, uśmiechając się do starszego mężczyzny obok. Nie jestem pewien, czy to jednak nie ojciec – w każdym razie nie wydaje się zmieszany.

– O tak, teraz się ruszaj! Brawo – chwali chłopaka, który szczerzy się do zdjęcia z bronią rodem z filmów fantasy.

Mężczyzna płynnie wraca do zachwalania swoich zabawek. Nie milknie nawet na sekundę.

– Z tym przeszedłem przez najostrejszy punkt kontroli na świecie – na lotnisku w Izraelu. Czyli da się przejść wszędzie. – Chwyta czarną bransoletkę ze stalowym oczkiem w kształcie lwa, która po zaciśnięciu pięści staje się kastetem. – Potrafiła roztrzaskać bagażnik motocykla, jakby był ze szkła. Mam różne style: czaszki, barany, skorpiony – co chcesz?

KTO SIĘ MOŻE BRONIĆ?

Rick, który nie chce podać nazwiska, jeździ po targach całej Pensylwanii. Ma też swój sklep stacjonarny. Sprzedaje różne rodzaje broni palnej, od pistoletów po strzelby i karabinki.

– Robię to od 50 lat. W obecnych czasach jest zdecydowanie więcej takich imprez. Jak zaczynałem, było może 10 rocznie. Teraz 10 w ten sam weekend. Trzeba wybierać. Tak czy inaczej, broń zawsze była dobrym biznesem, nie narzekam – opowiada.

Tłumaczy, że aby kupić w Pensylwanii broń, trzeba tu mieszkać, a na dowód przedstawić np. lokalne prawo jazdy. Natomiast amerykańskie obywatelstwo nie jest wymagane, kupując od niego także ludzie z zieloną kartą. Jako licencjonowany sprzedawca Rick musi zgłaszać nabywców do sprawdzenia, ale w większości przypadków to prosty proces. Sprawadza się, czy dana osoba nie ma kartoteki kryminalnej i nie leczy się psychiatrycznie.

– Niektórzy goście przechodzą to z palca, w krócej niż kwadrans – mówi Rick.

Gdy pytam o postulowane przez Demokratów ograniczenia dostępu do broni, tylko macha ręką ze śmiechem.

– Ale co z tymi wszystkimi strzelaninami w USA? – dopytuję.

Co roku w kraju ginie po postrzale z broni palnej ok. 45 tys. osób. W ostatnich dwóch dekadach w USA zginęło od kul więcej dzieci w wieku szkolnym niż razem wziętych policjantów i żołnierzy w czasie pełnienia służby.

– To nie rodowici mieszkańcy Pensylwanii je urządzają, jeśli wiesz, co mam na myśli – odpowiada.

– Nie wiem – rżnę głupa.

– No, dużo tu obcokrajowców. W Kalifornii strzelali chińscy nacjonalisci. To nie są obywatele amerykańscy wychowani na tej ziemi. 50 lat temu mogłeś kupić broń

i zamówić ją sobie do domu właściwie bez niczego. Co się w tym kraju zmieniło, no...? – Rick mruga porozumiewawczo i znów wybucha śmiechem.

Do dyskusji włącza się jego córka Heather, która pomaga w biznesie: – Choćby nie wiem jakie prawa wprowadzać, broń zawsze będzie na ulicach. Żli ludzie zawsze znajdą sposoby, by ją zdobyć. Jeden gość z Baltimore opowiadał na targach w Wirginii, że niektórzy sprzedają tam broń na ulicy. Ograniczenia uderzyłyby tylko w praworządnych obywateli, którzy nie mogliby się bronić – twierdzi dziewczyna.

MENTALNOŚĆ STRZELBY

Gdy wspominam, że jestem z Polski, Rick prowadzi mnie do stoiska swojego znajomego. Chyba jednak nie znają się za dobrze, bo myślał, że to też Polak – a trafia mi się kolejny Rosjanin. Swoją drogą wśród klientów dostrzegam trzech jego rodaków, a przynajmniej mężczyzn mówiących po rosyjsku; wysocy, sprężysti, w sportowych swetrach.

Znajomy Ricka przedstawia się jako „doktor Freeman”. Doktor, bo – jak twierdzi – ma doktorat z filozofii, zaś studia kończył z ekonomii i socjologii. „Freeman” – wiadomo, w kapitalistycznej Ameryce jest wolnym człowiekiem, nie to, co w ojczyźnie, z której wyemigrował w 1989 r.

Doktor Freeman utrzymuje się ze sprzedaży amunicji, a przy okazji dalej prowadzi badania naukowe, ale amatorsko, poza ramami świata akademickiego, bo – jak zastrzega – nie może „odnaleźć się w tym lewackim towarzystwie”. Jego najnowsza praca dotyczy zagadnienia: dlaczego ludzie popełniają przestępstwa. Zdaniem doktora to kwestia psychologiczno-społeczna, pewnej niemożności dopasowania się do społeczeństwa, niemająca nic wspólnego z dostępem do broni palnej.

– Sprawcy większości strzelanin w USA to ludzie opętani zazdrością, nieszanujący prawa albo nienawidzący ludzkości. Reszta to psychicznie chorzy – wyrokuje tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Załóżmy, że nie ma broni – myślisz, że ludzie mniej by się zabijali? – pyta.

Akurat to wiadomo z innych krajów, np. w Australii po narodowym programie wykupu, a następnie ustanowieniu surowych kar za posiadanie zakazanej broni współczynnik morderstw znacznie się zmniejszył. Ale nie chce mi się wdawać w dyskusję, która i tak nikogo nie przekona, więc pozwalam doktorowi Freemanowi rozprawić dalej.

– 50 lat temu uczniowie szli ze strzelbą do szkoły, zamykali ją w szafce, a potem po szkole szli sobie postrzelać. Jakoś masakr było mniej niż teraz. To nie kwestia dostępu, tylko zmian w społeczeństwie i mentalności – mówi.

– Sprzedaż amunicji niczym nie różni się od sprzedaży cukierków. Kupujesz taniej, sprzedajesz drożej – ot, i tyle. Różnica jest tylko w naszych głowach, bo myślimy, że broń palna jest niebezpieczna sama w sobie. Otóż nie jest, nie bardziej niż nóż, miecz, trucizna – wypala w innym momencie.

GWARANCJA BEZPIECZEŃSTWA

Przechadzając się pomiędzy stolikami, myślę sobie, że doktor Freeman mógłby o niejednym aspekcie targów broni napisać sążnisty traktat antropologiczny. Na przykład o tym, jak zseksualizowane są takie miejsca: broń jako substytut penisa, im większa, grubsza, potężniejsza, szybciej strzelająca, tym lepiej; w tłumie jest trochę kobiet i dzieci, ale generalnie to męska impreza, kipiąca od nieznajdującej ujęcia, incel-skiej energii, której namacalny wyraz stanowią sprzedawane tu naszywki lub metalowe tabliczki na ścianę: „Ammosexual”, „Nigdy nie ufaj facetowi, który nie lubi lo-

wić ryb, nie potrafi strzelać i nie uściśnąłby dłoni twojemu ojcu”.

Doktor Freeman mógłby też zauważyć, że w komercyjny pejzaż łatwo wślizguje się polityka. Chodzi nie tylko o sprzedawane naszywki z nazwiskiem Trumpa. Przy jednym ze stolików siedzi niejaki Daryl M. Brooks, lokalny autor książek, których tytuły mówią same za siebie: „Witamy w Ameryce: jak kulturowy marksizm powoli niszczy Amerykę” i „37 dni: pozbawienie prawa głosu pracownika komisji wyborczej w Filadelfii”.

Zapewnia, że książki schodzą jak ciepłe bułki.

– W przyszłym tygodniu będę z nimi w Oaks [na kolejnych targach broni], jeśli wystarczy mi egzemplarzy – mówi.

– O czym jest ta? – Chwytam za „Witamy...”, chociaż mniej więcej znam odpowiedź.

– O tym, że przemysł wideo i muzyczny popycha coraz więcej naszych dzieciaków do samobójstw. O tym, czym jest marksizm, polityczna poprawność, krytyczne nauczanie historii, ruch transgender, Black Lives Matter – wszystkie te rzeczy, które wypychają naszemu społeczeństwu – wyrzuca z siebie Brooks.

Przy pobliskim stoliku dwie młode czarne kobiety kupują pistolet. Tłumaczą sprzedawcy, że mieszkają w Filadelfii i nie czują się bezpiecznie.

– Teraz będziecie, gratulacje – uśmiecha się sprzedawca, biały, około sześćdziesiątki.

Opłata za wejście na targi broni to 10 dolarów, ale dzieci poniżej 12. roku życia wchodzą za darmo

Kobiety martwią się miejskimi regulacjami posiadania broni.

– Macie do niej prawo, nawet w Filadelfii. Do noszenia jej przy sobie potrzebujecie licencji, ale ona jest na cały stan. Filadelfia czasem myśli sobie, że jej mały grajdołek jest wyjątkowy, ale wiecie co? Nie jest – ciągnie mężczyzna, po czym podsuwa im jakąś ulotkę. – Tak się składa, że wiele spraw sądowych wygrał z nimi mój prawnik Josh Prince. Teraz kandyduje na sędziego w stanowym sądzie apelacyjnym. Może byście go wsparły? Potrzebujemy takich ludzi jak on, żeby bronić drugiej poprawki do konstytucji!

Ulotka mówi m.in. o pozwach o zbyt wolne rozpatrywanie odwołań od decyzji w procedurze sprawdzania nabywców czy utraceniu zakazu broni szturmowej i wielonabożowych magazynków wprowadzonego przez Pittsburgh.

Kobiety kiwają głowami, ale widać, że najchętniej zmyłyby się już do domu. Jedna z nich trzyma w dłoni czule, prawie jak niemowlaka, kupione zawiniątko.

Według szwajcarskiego projektu badawczego Small Arms Survey Amerykanie mają ok. 393 mln sztuk broni. Oznaczałoby to, że na każdych 100 obywateli przypada ok. 120 sztuk. Prawdziwej liczby nie zna nikt. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Hans Magnus Enzensberger*

W. M. M. (1890-19)

Oddychając ciężko, pod kwitnącą jabłonią
za dachą, Wiaczesław Michajłowicz kręci się
w swoim wiklinowym foteliku to w tę to w tamtą stronę,
on, który przeżył, on dożył. Emerytury, emerytury.

Jego Żelazny Tylek także nie jest już tym
czym niegdyś. Tylko temperówka
na dewizce przypomina owe słoneczne lata
w Politbiurze. Rozmyśla, pstryka palcami.

Jako bolszewik „mało ważny”: grupa „Chemików”.
„Sam byłem w więzieniu!” (Usprawiedliwienia).
„Gotów do powstania, na śmierć”. Wokoło pamiątki.
„Fakty są przecież tylko czystą propagandą”.

Np. swego czasu w Kancelarii Rzeszy, w szyby
bębnił listopadowy deszcz. „Naszą przyjaźń
scementowała krew”. Czy on to powiedział naprawdę?
Toasty artykuły wstępne notatki w aktach: „ta” historia?

„jakaś” historia? Któż to odróżnić zdoła!

Któż zdoła to spamiętać? Muchy bzyczą
w pomieszczeniach

na zapleczu i w celach. W protokole czytamy:
„Męty. Wściekle psy. Niebezpieczne kanalie”.

Własna żona, zesłana jak wszyscy inni:
Czy miała oczy zielone, czy piwne? A dzieci?
„Mało ważne”: cóż to znaczy? „Szmata!”
krzyczał Lenin. W majowym słońcu siedzi mumia.

Muchy bzyczą jak zawsze. A on przeżył, on dożył.
Przysnął, zawekowany. W snach
plączą mu się zadania domowe i wyroki śmierci.
Zawsze był dobrym uczniem. Opuszczał się tylko

w angielskim. Na przykład „coctail”: wyraz obcy
niezrozumiały. W jego niedosłyszających uszach
nie huczą już detonacje. Pstrykanie palcami.
Nasłuchuje. Czy to muchy? Opieszale

powracają subtelne etiudy, „Rêverie”, „Un Sospiro”,
które grywał swego czasu w Kukarce,
rejon noliński, anno tysiąc dziewięćset trzeciego,
„wyraziście i owładnięty szlachetnym uczuciem”.

***Hans Magnus Enzensberger** – 1929-2022, znany niemiecki poeta i publicysta, ważny uczestnik debaty publicznej. Po polsku ukazały się zbiory jego wierszy, poemat „Zagłada Titania” czy wybór esejów „Czechy nad morzem”. Wiersz (którego bohaterem jest Wiaczesław M. Mołotow, 1890-1986) za: Enzensberger, „Mauzoleum. Trzydzieści siedem ballad z historii postępu”, tłumaczył Grzegorz Prokop, wyd. Prokop, Warszawa 2020. W Niemczech tomik ukazał się w 1975 r.



FOT. TOMASZ WIECH / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza	magazyn wyborczej	WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;	ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44	DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak DRUK: Agora SA Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

I eno ten godzien życia i wolności, / kto je codziennie zdobywał!” – tym mottem z „Fausta” poprzedził Andriej Sacharow (1921-89) swój pierwszy, opublikowany na Zachodzie w 1968 r. manifest polityczny.

Pisząc „Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej”, rozpoczął nowy etap życia – twórca radzieckiej bomby wodorowej, trzykrotny Bohater Pracy Socjalistycznej, laureat nagród im. Stalina i Lenina, wystąpił przeciwko reżimowi jako twardy przeciwnik, dysydent i obrońca praw człowieka.

Rok 1968, jak dla wielu innych, był dla niego przełomem. Jak napisze później, jego ostatnie złudzenia co do radzieckiego reżimu rozwały się do wtóru „loskotu czołgów na ulicach niepokornej Pragi”.

Sacharowowi można było zarzucić naiwność, idealizm czy niezajomość realiów świata, ale nikt nie ważył się kwestionować jego uczciwości i męstwa. Z własnego doświadczenia znał zbrodnie komunizmu i zamienił akademicki komfort na prześladowania i zesłanie, poświęciwszy się bez reszty walce o wolność i demokrację.

Poglądów nie zmieniał, podobnie jak tego, czego domagał się od rządzących: powszechnej amnestii dla więźniów politycznych, zniesienia monopolu KPZR i zaprowadzenia systemu wielopartyjnego, denacjonalizacji i dekollektywizacji gospodarki, wolności słowa, prasy, sumienia, zgromadzeń i przemieszczania się, rehabilitacji ofiar represji, potępienia zbrodni stalinizmu, demilitaryzacji i rozbrojenia, ochrony środowiska i zniesienia kary śmierci.

W 1938 r. bez trudu dostał się na wydział fizyki Uniwersytetu Moskiewskiego, gdzie zyskał sławę najlepszego studenta w dziejach uczelni. Zatrudnił się w Instytucie Fizyki Akademii Nauk ZSRR w Moskwie, a jego opiekunem naukowym został laureat Nobla Igor Tamm. W wieku 26 lat został kandydatem nauk fizycznych i matematycznych, a po roku wszedł w skład tajnej grupy pod kierunkiem Tamma, która weryfikowała projekt bomby wodorowej opracowywany przez inną grupę.

Młody uczony zaproponował własny model bomby i w 1950 r. trafił do tajnego ośrodka atomowego w zamkniętym mieście Sarowie, słynnego Arzamas-16. „Wierzyliśmy wtedy wszyscy – pisał później – w doniosłość naszej pracy, od której zależała równowaga sił w świecie”.

12 sierpnia 1953 r. ZSRR przeprowadził pierwszą udaną próbę bomby wodorowej. W tymże roku Sacharow obronił pracę doktorską i został najmłodszym członkiem rzeczywistym w dziejach AN ZSRR. Dostawał najwyższe odznaczenia, m.in. po udanej próbie kolejnej, potężniejszej bomby (1955) i po największym w dziejach wybuchu termojądrowym – próbie bomby wodorowej o mocy 50 megaton (1961).

Zaczynał pojmować, jak śmiertelną broń stworzył. Zaczął niepokoić się już w roku 1953, kiedy był świadkiem masowego wypędzenia tysięcy mieszkańców okolic poligonu. Na uroczystym bankie-

cie wznosił toast za to, żeby „bomby wybuchły tylko nad poligonami”. Marszałek Niedielin [Mitrofan, m.in. szef artylerii wojsk ZSRR] przerwał mu ostro: uczeni nie powinni wtrącać się w sprawy kierownictwa politycznego.

W 1958 r. ogłosił dwa artykuły, w których opisał szczegółowo szkodliwy wpływ prób jądrowych na zdrowie, płodność i średnią długość życia. Poinformował radzieckie kierownictwo, że każda megatona wybuchu jądrowego to 10 tys. przypadków raka. Odpowiedzią na te ostrzeżenia był ów wybuch 50-megatonowej bomby. Gigantyczny grzyb urosł na wysokość 67 km. W gruzach legły wszystkie domy w wiosce oddalonej o 400 km od epicentrum eksplozji.

„Nie mogłem nic zrobić z czymś, co uważałem za niesłuszne i niepotrzebne. Miałem dojmujące poczucie bezsilności. Od tamtej chwili stałem się innym człowiekiem” – tak opisywał swoje odczucia.

Po trzeciej próbie jądrowej konflikt między nim a władzami sięgnął szczytu, ale autorytet i presja Sacharowa w dużej mierze skłoniły radzieckie kierownictwo do podpisania w 1963 r. Układu o zakazie prób broni nuklearnej w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej i pod wodą.

Pierwszym otwartym wystąpieniem Sacharowa był list do sekretarza generalnego KC KPZR Leonida Breżniewa, podpisany przez niego i 24 innych twórców i uczonych. Był on reakcją na proces pisarzy Siniawskiego i Daniela, skazanych w 1966 r. za „antyradziecką propagandę”.

Przyjacieli i współpracowników Sacharowa, współuczestników ruchu praw człowieka Władimir Bukowski, wspomina jego uderzającą nieznajomość realiów życia codziennego obywateli ZSRR. W „Rozmyśleniach o postępie...” pisał np., że ludzie radzieccy powinni dziękować partii za wyzwolenie kobiet. Bukowski spytał go, czy widział kobiety w brudnych kufajkach kładące gorący asfalt na moskiewskich ulicach. Zdumiony Sacharow pytał: „Jakie kobiety? Jaki asfalt?”.

Komuś, kto żył w zamkniętych, elitarnych enklawach Akademii, trudno było zrozumieć radziecką rzeczywistość. Sacharow powoli ją przyswajał. W artykułach z połowy lat 70. doszedł do nieuchronnego wniosku, że „kapitalistyczne demokracje bliższe są prawdziwie ludzkiemu społeczeństwu niż jakiegokolwiek totalitaryzm”, podczas gdy realny „socjalizm sprowadza się zawsze do systemu monopartyjnego, rządów chciwej i nieudolnej biurokracji, ekspropriacji wszelkiej własności prywatnej, terroru bezpieczeństwa i dławienia wolności poglądów i sumienia”.

To, co wielu brało u Sacharowa za naiwność, było troską o los każdego człowieka, stawianiem na pierwszym miejscu nie chimery abstrakcyjnej ideologii, tylko centralnych wartości, takich jak życie ludzkie, uczciwość, moralność. Demokratyzacja i demilitaryzacja były wedle niego „jedyną alternatywą dla zagłady ludzkości”, a „każde wspieranie konfrontacji między ideologiami i narodami” uważał za „szaleństwo i zbrodnię”.



Adam Michnik poleca. **Sacharow**

PROROK, KTÓRY ZACZĄŁ OD BOMBY

Czekała go świetna kariera naukowa.
A on zerwał z wygodnym życiem fizyka i został dysydentem

Władimir Kara-Murza*

Pisał w „Rozmyślaniach...”: „Wolność myśli to jedyna ochrona przed skażeniem masowymi mitami, które w rękach podstępnych i obłudnych demagogów łatwo przeradza ją się w krwawą dyktaturę”. Jakby uprzedzając zarzuty tych, którzy ciągle przeciwstawiają „bandę antyradzieckich intelektualistów” „masom ludowym”, przypomniiał, że „wolności muszą strzec wszyscy myślący ludzie”, wszystkie grupy społeczne.

Po opublikowaniu „Rozmyślań...” na Zachodzie Sacharow został odsunięty od tajnych projektów i przeniesiony do Instytutu Fizyki im. Lebediewa jako starszy pracownik naukowy. To najniższe stanowisko, jakie mógł zajmować radziecki akademik.

Sacharow wiedział, że zrywając z władzą, zrywa z wygodnym życiem. Kolejne lata jego życia to represje i szykany.

W 1970 r. założył razem z innymi opozycjonistami Komitet Praw Człowieka. Nauka okazała się mniej ważna – życie poświęcił tysiącom żywych i milionom ofiar reżimu. Już wiosną 1971 r. napisał kolejny list do Breżniewa, domagając się powszechnej amnestii dla więźniów politycznych, zerwania z wykorzystywaniem psychiatrii przeciwko dysydentom, wolności prasy i swobody wyjazdu z ZSRR czy rehabilitacji represjonowanych narodów.

Nie opuścił ani jednego procesu politycznego, podróżował do miejsc zesłania, pisał stale listy do radzieckich i międzynarodowych organizacji, był w kontakcie z zachodnimi dziennikarzami.

Procesy dysydentów były zamknięte, ale Sacharow umiał przedostać się na salę rozpraw. – Pojawiał się obwieszony wszystkimi swoimi orderami, wyjaśniając milicjantom, że jest światowej sławy uczonym – wspominał Bukowski. – Miał więcej nagród niż Breżniew!

W 1975 r. został pierwszym radzieckim laureatem pokojowego Nobla (jak na ironię, drugim miał za 15 lat zostać sekretarz generalny KC). Komitet Noblowski ogłosił, że nagrodę przyznał za „nieustraszone wspieranie fundamentalnych zasad pokojowego współistnienia” i „odważną walkę z nadużyciami władzy i wszelkimi formami tłumienia ludzkiej godności”.

Władze nie wypuściły go z kraju, po nagrodę udała się do Oslo jego żona Jelena Bonner, która odczytała jego wykład noblowski. Wymienionych w nim było z imienia i nazwiska 126 radzieckich więźniów sumienia.

Ządał publicznego potępienia komunistycznych zbrodni, polityki KPZR i krwawych czynów Czeka, GPU, NKWD, MGB, KGB. „Naród wyzuty z pamięci historycznej jest skazany na degradację” – powtarzał. Państwo radzieckie musi obnażyć popelnione zło: masowy krwawy terror, przymusową kolektywizację, gulag, unicestwienie całych narodów, pakt z Hitlerem czy państwowy antysemityzm.

Wrażenie, jakoby władcy ZSRR ignorowali Sacharowa, jest dalekie od prawdy – oni bali się go śmiertelnie. W 1973 r. „Prawda” opublikowała list 40 „oburzonych” akademików, którzy potępił Sacharowa. Tekst powstał w KC i był zapowiedzią rychłych prześladowań. We wspólnym okólniku KC i KGB uznano wszelkie wzmianki o Sacharowie w prasie za „niecelowe”, bo „rozgłos, nawet negatywny, sprzyja antyspołecznej działalności” akademika.

Władze obrały kurs na przemilczenie działalności Sacharowa, jakby w ogóle nie istniał. Poprawiono nawet hasło w „Radzieckim słowniku encyklopedycznym”: „Sacharow A. D. (ur. 1921), fizyk radz., akad. AN ZSRR (1953). Gł. prac. w zakresie fizyki teoretycznej. W ostatnich latach wycofał się z działalności naukowej”.

Po przyznaniu Sacharowowi Nobla straciło sens udawanie, że go nie ma. 15 października 1975 r. Andropow skierował do KC notę na temat „konkretnych działań mających na celu kompromitację przyznania Nagrody Nobla Sacharowowi”. Władza chciała zdyskredytować Sacharowa w oczach Zachodu. Tamtejszym przyjaciółom ZSRR polecono podkreślać „absurdalność” przyznania pokojowego Nobla twórcom broni masowego rażenia.

Na uroczystym bankiecie wzniósł toast za to, żeby „bomby wybuchły tylko nad poligonami”. Marszałek wojsk radzieckich przerwał mu ostro: niech się uczeni odczepią od polityki

Aresztowali go 22 stycznia 1980 r., kiedy zażądał wycofania się ZSRR z Afganistanu. Decyzją KC został pozbawiony wszystkich tytułów i odznaczeń, a potem zesłany do zamkniętego miasta Gorki, gdzie przeżył prawie siedem lat w areszcie domowym. Sacharowa i Jelenę Bonner zakwaterowano w dawnej kryjówce KGB. Pod ich drzwiami dzień i noc dyżurował milicjant, który nie wpuszczał nikogo.

W październiku 1986 r. napisał do nowego sekretarza generalnego KC KPZR Michaiła Gorbaczowa list z prośbą o umożliwienie Jelenie leczenia za granicą, obiecując wycofanie się z działalności publicznej. 16 grudnia w jego mieszkaniu pojawili się niespodziewanie agenci KGB i zainstalowali telefon, który odezwał się pierwszy i ostatni raz – dzwonił Gorbaczow. Pozwolił akademikowi Sacharowowi wrócić do Moskwy.

Po powrocie zaraz wrócił do życia publicznego. Domagał się uwolnienia więźniów politycznych, nuklearnego rozbrojenia, działań na rzecz ochrony środowiska. Doczekał się pierwszych w Rosji od roku 1917 wolnych wyborów – wyborów deputowanych ludowych ZSRR (marzec 1989). Miejsce na liście okręgu moskiewskiego oddał Borysowi Jelcynowi, by kandydować z listy AN ZSRR. Zdobył mandat w pierwszym i ostatnim parlamencie ZSRR.

Jego program wyborczy łączył wątki liberalne i ekologiczne z troską o wartości ogólnoludzkie i moralne. Opowiadał się m.in. za gospodarką rynkową, wolnością słowa, otwarciem archiwów NKWD i KGB, przekształceniem ZSRR w prawdziwą federację z prawem republik do samostanowienia, zniesieniem kary śmierci, wreszcie bezpośrednim wyborem deputowanych do Rady Najwyższej i głowy państwa.

Ostatnie miesiące życia poświęcił pracy w Międzyregionalnej Grupie Deputowanych – pierwszym legalnym ugrupowaniu opozycyjnym

w ZSRR, powołanym do życia przez prodemokratycznych posłów Zjazdu Deputowanych Ludowych.

Brał czynny udział w pracach Zjazdu – przemawiał, polemizował. Ale niewiele mógł zdziałać, podobnie jak żaden z demokratów, w ramach Zjazdu z łatwo sterowalną przez komunistyczną wierzuszkę „agresywnie posłuszną większością”.

Najważniejszy był sam fakt istnienia Zjazdu, jawność procedowania i nade wszystko bezpośrednie transmisje posiedzeń na cały kraj. Cały kraj mógł zobaczyć, jak Gorbaczow spędza Sacharowa z mównicy, jak wygwizdują go złośliwie miernoty.

Zmarł 14 grudnia 1989 r. Zdażył jeszcze wygłosić ostatnie przemówienie na posiedzeniu Międzyregionalnej Grupy Deputowanych. Mówił o swoim rozczarowaniu Gorbaczowem, o tym, że pierestrojka okazała się połowiczna i powierzchowna.

„Nie możemy brać na siebie pełnej odpowiedzialności za to, co robi kierownictwo, które prowadzi kraj do katastrofy” – mówił, wzywając współtowarzyszy do walki o prawdziwą demokrację. „Najlepszym prezentem [dla władz] byłaby nasza bierna krytyka. Niczego innego im nie trzeba” – zakończył swoje ostatnie wystąpienie Sacharow.

Tego samego dnia umarł, u zarańia dekady, która przyniosła upadek dyktatury i całego systemu, kiedy z kremlowskiego masztu znikła krwawa płachta, otworzono archiwa i urzeczywistniło się wiele postulatów Sacharowa. Ale wiele z tego, o co walczył, nie urzeczywistniło się nigdy, m.in. nie osądzono komunistycznego systemu. Nawiasem mówiąc, KGB do końca bacznie obserwowało Sacharowa – ostatni list szefa KGB Władimira Kriuczkowa do Gorbaczowa, za tytułowany „O działalności politycznej A. D. Sacharowa”, datowany jest 8 grudnia 1989 r.

Jak wspomina Bukowski, Sacharow był człowiekiem nieskazitelnie uczciwym, kierującym się jakąś „staroświecką szlachetnością” – szlachetnością XIX-wieczną, dziś prawie niespotykaną. Trudno nie zgodzić się z tym, co na pogrzebie Sacharowa powiedział akademik Dmitrij Lichaczow: „Był prawdziwym prorokiem. W starożytnym, pierwotnym tego słowa znaczeniu: kimś, kto wzywa swych współczesnych do odnowy moralnej w imię przyszłości”. ●

przeł. Sergiusz Kowalski



FOT. JINDŘICH NOSEK/CC BY-SA 4.0/WIKIPEDIA

*Władimir Kara-Murza

• ur. w 1981 r., rosyjski opozycjonista, pisarz i historyk. Został aresztowany w kwietniu 2022 r. w Moskwie za sprzeciwianie się inwazji na Ukrainę i krytykę działań Kremla. Grozi mu wieloletnie więzienie.

Tekst za książką zbiorową „Rossijskij libieralizm: idiei i ljudi” pod red. Aleksieja Kara-Murzy, Moskwa 2007. Cytat z „Fausta” w przekładzie Emila Zegadłowicza.

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

„Boski Juliusz” rusza w świat

Niedługo całą trylogię starożytną Jacka Bocheńskiego będzie można czytać po angielsku.

Anna Nasiłowska*

Już dzisiaj na platformach internetowych można zamówić powieść Jacka Bocheńskiego „Boski Juliusz”, czyli „Divine Julius. How to Become a God in Four Easy Steps”, oraz jej drugą część „Nazo poeta”, obie w tłumaczeniu Toma Pincha.

Tłumacz, podpisany zacierpniętym z Dickensa pseudonimem, wyruszył z Polski za granicę w 1979 r. W walizce towarzyszyła mu powieść Bocheńskiego, toteż jej udostępnienie nieznanym polskiego czytelnikom było jednym z pierwszych pomysłów, gdy założył wydawnictwo Mondrala Press.

Firma radzi sobie dobrze, dostosowując się do obecnego modelu dystrybucji książek, w którym małe wydawnictwa odchodzą od sprzedaży nakładu w księgarniach na rzecz druku na życzenie i sprzedaży książek elektronicznych. Dzięki obniżeniu kosztów wydawnictwo nie korzystało z dofinansowania z polskiego programu wsparcia tłumaczeń. Możliwe było też wydanie specjalnego tomu „Bochenski’s Notorious Roman Trilogy”, zawierającego fragmenty, eseje poświęcone twórczości pisarza i jego wypowiedzi.

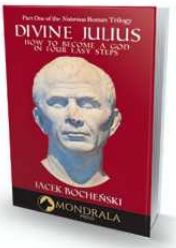
Reakcje na książki są pozytywne. „To wielki dar dla języka angielskiego” – skomentował swoją lekturę jeden z czytelników. „Boski Juliusz”, wydany w Polsce po raz pierwszy w 1961 r., uchodził długo za powieść z kluczem. Zadecydowało o tym pierwsze zdanie: „Czy ktoś z państwa chciałby zostać bogiem?”. Zapewne nie czyta się już tej książki jako przewrotnej przypowieści na temat kultu Stalina, ale jak najbardziej pozostała aktualna. Zawłaszczenie demokracji przez zręczne posługującego się hasłami dyktatora jest dzisiaj jednym z typowych zagrożeń, w wielu krajach.

„Przede wszystkim jest to znakomita literatura, o uniwersalnym przesłaniu. Praca nad angielską wersją powieści »Boski Juliusz« i »Nazo poeta« była dla mnie bardzo poruszająca. Są tam takie fragmenty, które powodowały, że musiałem na chwilę wstać, oderwać się, aby przeżyć je w trakcie spaceru. Myślę, że są to utwory, z którymi będzie się obcować także za 500 lat. Proza Bocheńskiego przypomina mi Thomasa Manna ze względu na jej europejskość i uniwersalną problematykę” – mówi tłumacz.

Pinch za największą barierę obecności literatury polskiej na Zachodzie uznaje szczupłe grono przygotowanych tłumaczy: „W Polsce obecna jest właściwie cała literatura światowa, tłumaczy się szybko i z wielu języków. Dlatego polscy pisarze dyskutują z problemami obecnymi w wielu literaturach. Niestety, nie działa to w drugą stronę”.

Urodzony we Lwowie w 1926 r. Jacek Bocheński, dziś 96-letni, czeka na angielską wersję powieści „Tyberiusz Cezar”, która po polsku ukazała się w 2009 r. Nie kryje radości, a i pewnej nadziei, że możliwe będzie także wydanie jego trylogii współczesnej, którą tworzą „Blog”, „Justyna. Blog drugi” i „Ujście. Blog trzeci” – internetowe zapisy, które przerodziły się w powieści o nowych formach współczesnego życia. ●

*prof. Anna Nasiłowska – pisarka, krytyczka, prezeska Stowarzyszenia Pisarzy Polskich



SPEC-GOGOL, SPEC-BULHAKOW I SPECOPERACJA

Na Kremlu rządzi doktryna dzikiego kolonializmu: gdziekolwiek jest rosyjski ślad – ludzie, tradycje – tam jest Rosja

Marek Beylin

Państwo to my – mówi uczestnik Majdanu, ochotnik w wojnie o Donbas. Państwo to Putin – wie rzą w większości Rosjanie.

Te różne przekonania pokazują, jak odmiennymi drogami powędrowały społeczeństwa ukraińskie i rosyjskie po rozpadzie ZSRR. Nigdy zresztą nie były bardzo „bratnie”, choć do 1991 r. żyły w tym samym sowieckim imperium. Owszem, podlegały bliźniaczym totalitarnym instytucjom, tyle że Rosja była kolonizatorskim centrum, które traktowało ukraińskie peryferie z systemową podejrzliwością, bo Ukraińcy zachowywali własną świadomość narodową. Mimo odgórnego przymusowej homogenizacji pamięci, przeszłości i kultury.

Właśnie o tych odrębnych drogach i dawnych wierzach znakomicie opowiada francuska badaczka Anna Colin Lebedev w książce „Jamais frères? Ukraine et Russie: une tragédie postsoviétique” (Nigdy bracia? Ukraina i Rosja: tragedia postsowiecka, 2022).

W sowieckich dziejach Ukraińców totalitarna przemoc Moskwy łączyła się z tą naturalną bliskością obu społeczeństw, jaka tworzy się przez dekady współbywania w jednym państwie, zwłaszcza tak centralistycznym. Te same podręczniki, narzucana jednolita wizja przeszłości i przykazy, jak żyć, wspólne kody kulturowe, liczne mieszane małżeństwa, obustronne migracje za pracą, edukacją i karierą, podobne style życia, ba, nawet do dziś pamiętany wspólny smak lodów – wszystko to w pokoleniach 50+ budowało poczucie bliskości.

A jeśli dodać kultywowane w rodzinach kombatanckie pamięci – i te masowe związane z II wojną światową, i te mniej intensywne, lecz bliższe, wojny w Afganistanie – staje się jasne, że na początku lat 90. Ukraińcy, choć wyrwali się z rosyjskiej niewoli, uważali Rosjan za bliskie społeczeństwo. Aż do wojny w 2014 r.

Potwierdzają to praktyki językowe. Ukraiński i rosyjski mają ok. 60 proc. wspólnego słownictwa. Osoba rosyjskojęzyczna złapie więc sens rozmowy po ukraińsku, choć już nie subtelności.

Ukraina przez dekady była dwujęzyczna; do niedawna obowiązywał kontrakt językowy: ktoś mówił po ukraińsku, odpowiedź padła po rosyjsku i strony świetnie się rozumiały. Co więcej, używanie rosyjskiego jako pierwszego języka nie oznaczało prorojskości. Wszak ten język rozbrzmiewał także na Majdanie. Zresztą bardziej związa-

ny z rosyjskim był wcześniej prezydent Zelenski, bo w Ukrainie wykształciła się obywatelska koncepcja narodu: o tym, kto jest Ukraińcem/Ukraińką, decyduje akces do republiki, a nie język czy pochodzenie.

Jednak od wybuchu wojny coraz więcej Ukraińców mówi temu językowemu kontraktowi „idi nach...”. A rosyjski jest postrzegany jako język najeźdźcy, imperialnej tożsamości. Jeszcze w 2006 r. 52 proc. Ukraińców za rodzimy język uznawało ukraiński, 31 proc. – rosyjski. Ale w 2015 r., rok po aneksji Krymu i agresji na Donbas, już 60 proc. Ukraińców wybierało ukraiński, 15 proc. – rosyjski.

Widać, jak wojenna polityka Rosji dopełniała długie zmagania Ukraińców nie tylko o suwerenność, lecz także o społeczną świadomość własnej kulturowej odrębności. Choć, powtórzę, stawka na odrębność aż do niedawna nie wiązała się z negatywnym postrzeganiem Rosjan. Jednak wojna toczona od ponad ośmiu lat pozrywała więzi rosyjsko-ukraińskie, także rodzinne, zniszczyła wspólne odniesienia kulturowe i poczucie dzielanej przeszłości.

**Wiara w wyższość
kulturową Rosji i ukraińską
podrzedność przyjęła się
również na Zachodzie.
Putin umiejętnie złączył
wojnę z kulturą.
Jeśli to pojmniemy, lepiej
zrozumiemy ukraińskie
wezwanie do bojkotu
rosyjskich twórców**

Tak szybkie rozejście się było możliwe, bo w Ukrainie nawet w najcięższych czasach nie zanikło poczucie narodowej i kulturowej odrębności. Mimo że imperium sowieckie zwalczało ją zbrodniami i represjami.

Jeszcze w latach 20. i 30. XX w. zezwalało na pewne ekspresje ukraińskości, bo Moskwa chciała zakorzenić się w ukraińskim społeczeństwie przy pomocy lokalnych elit. Ukraiński stał się więc głównym językiem nauczania w szkołach, aparat polityczny rekrutowano z rodzimej populacji. Władze centralne wspierały też rozwój ukraińskiej kultury. Jednak jeszcze w latach 30. Stalin radykalnie zmienił tę politykę.

Ludobójczym przejawem tej zmiany był Wielki Głód w latach 1932-33. Na fali przymusowej kolektywizacji i konfiskaty żywności na wsi władze centralne doprowadziły do głodowej śmierci miliony wiejskich mieszkańców Ukrainy. I choć klęska głodu objęła całe imperium, ukraińscy historycy mają dobre, bo statystyczne argumenty na rzecz tezy, że Stalin potraktował Ukrainę

szczególnie okrutnie. Co wiązało się m.in. z chęcią unicestwienia wszelkich odrębności narodowo-kulturalnych.

Wielki Głód był pierwszym ludobójczym instrumentem rusyfikacji. A drugim stała się eksterminacja ukraińskich elit podczas „wielkich czystek”. Stalin konsekwentnie wycinał ukraińskość – tak jak zresztą polskość, żydowskość czy litewskość, tyle że w Ukrainie działało się to w większej skali. Społeczeństwo ukraińskie bowiem było najliczniejszą mniejszością w imperium, zachowało też pamięć swych walk o niepodległość i własne tradycje kulturalno-historyczne.

Moskwa sięgała też po mniej zbrodnicze, choć represyjne praktyki, trwające do lat 80., z krótką przerwą podczas odwilży lat 50. Ukraina przestała być urzędowo dwujęzyczna, język ukraiński był marginalizowany, rosyjski – dawał szansę na karierę. W 1958 r. 60 proc. książek wydanych w Ukrainie było ukraińskojęzycznych, w 1980 – już tylko 24 proc. Ukraiński wygnano z prasy, teatrów i literatury naukowej. Władza centralna chciała uczynić z niego jedynie tubylczy dialekt. Naród ukraiński miał się rozpuścić w jednolitym narodzie sowieckim, oczywiście rosyjskojęzycznym.

To pokazuje, że imperium sowieckie nie mniej sprawnie niż zbrodnia posługiwało się narzędziami kultury. Serbski antropolog Ivan Čolović pisał kilka lat temu, że współcześni nacjonałści stali się „kulturoznawcami”, mniej interesuje ich to, jaką kto „krew” dziedziczy, bardziej – jak narzucać kody historyczno-kulturowe.

Imperialna Moskwa była prekursorką obecnych nacjonalistycznych zmagani. Prowadziła bowiem ustawiczną wojnę kulturową z Ukraińcami. Przegrała ją sromotnie, ale tamte wzory i ambicje przetrwały w ambicjach Putina. Obecna wojna, pełna śmierci i rosyjskich bestialstw, ma być tylko wstępem do kulturowego unicestwienia Ukraińców.

Ale ani „kulturoznawca” Putin, wychowanek Stalina, ani imperialistyczna elita Rosji nie są w stanie pojąć, że ukraińskie społeczeństwo przeszło od 1991 r. liczne, skuteczne kursy obywatelstwa i samostanowienia.

Przed wszystkim, zauważa autorka, w Ukrainie powstało aktywne, samorządne społeczeństwo, nierzadko silniejsze niż słabe, skorumpowane państwo. Przyczyniła się do tego najpierw oddolna, prodemokratyczna i udana pomarańczowa rewolucja w 2004 r., gdy wspierany przez Rosję premier Wiktor Janukowycz, startujący w wyborach prezydenckich przeciw prozachodniemu Wiktorowi Juszczenko, sfalszował wyniki ich II tury. Przejęcie władzy uniemożliwiły mu w dużej mierze masowe protesty; w powtórzonych wyborach wygrał Juszczenko. Liczny był udział w tym buncie ludzi młodych, wychowanych już po rozpadzie ZSRR.

Potężniejszą i krwawą mutacją pomarańczowej rewolucji był Majdan czy Euro-majdan, masowy bunt ciągnący się od listopada 2013 do lutego 2014 r. Znów wybuchł



przeciw Janukowyczowi, tym razem w roli prezydenta.

Bezpośrednio poszło o to, że Janukowycz wbrew obietnicom nie podpisał umowy stowarzyszeniowej z UE. Ale na sile sprzeciwu zaważył też autorytarny zwrot Janukowicza – chciał pójść w ślady Putina, a większość społeczeństwa żądała drogi prozachodniej. W szczytowych momentach w protestach uczestniczyło ok. 800 tys. osób. Władze nie opanowały buntu, Janukowycz zwił do Rosji.

Wystąpienia te nazwano rewolucją godności. Wzmocniły one bowiem i utrwaliły przekonanie, że społeczeństwo obywatelskie ma siłę, by powściągać władzę. I jest zdolne do masowej samoorganizacji. Państwo to my, społeczeństwo – takie przeświadczenie łączyło ludzi ponad światopoglądami. I ponad płciami, bo rozkwit aktywności obywatelskiej przejawiał się również w emancypacji kobiet.

Siłę obywatelstwa potwierdziła społeczna mobilizacja, gdy zaraz po Majdanie Putin zabrał Krym i zaatakował Donbas. Największy opór dały mu siły społeczne, nie państwo. W Donbasie walczyły przede wszystkim ochotnicze bataliony zastępujące regularne wojsko. A społeczeństwo organizowało potężną sieć wsparcia dla ochotników, od wyżywienia, przez sprzęt wojskowy, po opiekę medyczną. Słabość państwa została miejsce społeczeństwu i je uruchomiła.

Efekty tego widzimy od lutego 2022 r.: od początku rosyjskiej agresji Ukraińcy samoorganizowali się w oporze i tworzyli sieci samopomocy. Pod tym względem Majdan był punktem zwrotnym zbiorowej ukraińskiej świadomości: ludzie zobaczyli się w swojej sile i sprawczości.

To musiało przerazić Kreml. Zresztą skutki Majdanu wykroczyły poza Ukrainę i Rosję. Jestem przekonany, że przyhamowały choćby zapędy PiS-u, by bardziej siłowo zaprowadzać autorytarne rządy. Ob-



• 22 lutego, moskiewski stadion Łuźniki, publiczność podczas patriotycznego show „Chwała obrońcom ojczyzny” w przeddzień Dnia Obrońców Ojczyzny FOT. AP

raz rewolucji zmiatającej władcę, który przeciągnął strunę, jest stałym ostrzeżeniem dla innych europejskich autokratów.

Do 2022 r. w sprawie ukraińskiej społeczności Rosji niemal powszechnie milczało. Są różne milczenia. Jest milczenie ludzi gnojonych, w którym czai się gniewny pomruk mogący przekształcić się w zbiorowy krzyk i bunt. Takie milczenie odnotowuje historia każdego udanego buntu społecznego. I jest milczenie przygitych do ziemi, kiedy górę nad pomrukami bierze przyzwolenie na los – własny, choć marny, ale przede wszystkim cudzy, nawet jeśli straszny.

Aprobata większości Rosjan dla inwazji połączona ze społeczną ciszą najbardziej zszokowała Ukraińców. Nagle Ukraina rozpoznała w sąsiadach nieprzyjacień i całkowicie odmienne społeczeństwo, choć jeszcze podczas Majdanu Ukraińcy odrzucali reżim Moskwy, ale blisko 80 proc. deklarowało sympatię wobec Rosjan.

Toteż dziś większość Ukraińców i Ukraińek nie ufa, wątpliwym zresztą, rosyjskim protestom przeciw wojnie. Moi ukraińscy znajomi nie bez racji pytają, ile w tych sprzeciwach jest tylko skargi, że wojna bezpośrednio uderzyła w Rosjan, a ile przekonania o zbrodniczości całego reżimu Putina i o tym, że Ukraina to odrębny naród mający prawo do wyboru własnej drogi.

Skąd to współnictwo Rosjan z Putinem? Przede wszystkim olbrzymia część rosyjskiego społeczeństwa ugrzęzła w wielkoruskim nacjonalizmie, tyleż narzucanym, co oswojonym. Jednym z jego przejawów jest postępująca rehabilitacja Stalina. W 1992 r. 30 proc. Rosjan uważało go za wielkiego przywódcę, w 2021 – już 56 proc. Ta restalinizacja zbiorowej pamięci minimalizuje zbrodnie Stalina, podnosząc jego oszalamiający sukces: przywrócenie Rosji wielkości.

Fundamentem nowej, wielkiej Rosji stała się ideologia „ruskiego miru”. Nabrala ona cech totalitarnych wraz z utrwalaniem się władztwa Putina. Zgodnie z nią Rosja ma obowiązek chronić „rosyjskość” Rosjan rzeczywistych bądź potencjalnych, gdziekolwiek przebywają. I może to czynić także za pomocą armii i wojen. Winna też rozgłaszać światu własną wielkość i prawo do ekspansji. A temu służy przede wszystkim kultura.

Jak oznajmił w czerwcu 2022 r. dyrektor Ermitażu, „nasze ostatnie wystawy za granicą są mocarną kulturalną ofensywą. Rodzajem »operacji specjalnej«”. Bo taką „operacją” jest w Rosji wszelka publiczna oficjalna działalność. Także język rosyjski, a może trzeba by pisać: „specjęzyk”?

Wszak w tym samym czerwcu władza rosyjska zorganizowała na Krymie festiwal „Wielkość rosyjskiego słowa”. A, jak podkreśla autorka, większość Rosjan podziela wiarę w uprzywilejowaną, uniwersalną pozycję rosyjskiej kultury i języka, górującą nad wyzbytymi uniwersalności „lokalnymi kulturami i językami”, także kulturą ukraińską. Ba, wiara w wyższość kulturową Rosji i ukraińską podrzędność przyjęła się również na Zachodzie.

Putin umiejętnie złączył więc wojnę z kulturą. Jeśli to pojmujemy, lepiej zrozumimy też ukraińskie wezwania do bojkotu rosyjskich twórców, dawnych i współczesnych, oraz ich dzieł. Wszak kremlowska propaganda zaprzęgała do wojennego orszaku wielu zmarłych klasyków, również tych demaskujących nikczemność Rosji. Choćby Gogola i Bułhakowa. Nagminnie przypomina się ich opinie niechętnie Ukrainie, pomijając w dużej mierze to, jak opisywali swój kraj. Są to więc już raczej spec-Gogol i spec-Bułhakow, zmistyfikowani przez propagandę.

W sumie otrzymujemy doktrynę dzięki, agresywnego kolonializmu głoszącego, że gdziekolwiek jest rosyjski ślad – ludzie, przeszłość, tradycje – tam są Rosja i jej pra-

Skutki Majdanu 2014 roku wykroczyły poza Ukrainę i Rosję.

Przyhamowały choćby zapędy
PiS-u, by bardziej siłowo
zaprowadzać
autorytarne rządy

wo do ingerencji. W dodatku Rosja nie była, tylko stojąca zawsze po stronie Dobra przeciw zagrażającemu jej złemu światu.

To, że Rosja po wsze czasy połączyła się z Dobrem, stanowi fundament opowieści o II wojnie i zwycięstwie nad faszyzmem. W tej wersji wojnę tę toczył „lud radziecki”, w domyśle rosyjski; nie było na frontach milionów Ukraińców czy Białorusinów. Nie było też innych ofiar niż radzieckie. Ani Zagłady, w tej opowieści marginalnego zdarzenia. Nie ma też, rzecz jasna, mowy o zbrodniach wojennych po stronie Rosji.

Taką szowinistyczną wykładnię usankcjonowało prawo. W 2020 r. wprowadzono do konstytucji zapis o ochronie tej „prawdy historycznej”. A skoro wtedy Rosja konstytucyjnie złączyła się z Dobrem, jest z Nim i teraz.

Od Majdanu Putin stale przedstawiał Ukrainę jako spadkobierczynię Hitlera: oto Majdan zorganizowali „banderowcy”, quasi-faszyści terroryzujący Rosjan, Żydów i wszelkie mniejszości; toteż wojna na Krymie i w Donbasie to kontynuacja tamtej Wielkiej Wojny. Dobro znów musiało stanąć przeciw złu.

Przekaz o Ukrainie, córce Hitlera, trafiał do Rosjan, stąd m.in. skok poparcia dla Putina. Zwłaszcza że do 2022 r. dla Rosjan ta wojna toczyła się głównie w telewizji, poza

ich codziennym życiem. Jak pisze Anna Colín Lebedev, Ukraińcy wiedzieli, że walczą przeciw Rosji, Rosjanie nie wiedzieli, że są na wojnie z Ukrainą.

Piszę o ultranacjonalizmie rosyjskim, ale z własnym nacjonalizmem zmagają się też Ukraińcy. Jej budowana od 1991 r. narodowa opowieść opiera się na Wielkim Głodzie i walkach o niepodległość w I połowie XX w., zarówno przeciw Stalinowi, jak i Niemcom. Ta oficjalna wersja historii minimalizuje sojusz ukraińskich nacjonalistów z Niemcami i uwikłanie Ukraińców w Zagładę. Spycha też na margines rzeź wołyńską. A bohaterem urzędowej wykładni i zbiorowej pamięci jest Stepan Bandera, tyleż antykomunistyczny, co antysemicki i antypolski.

Te niemiłe prawdy jakoś uwiarygadniały propagandę Putina o „nazistowskiej” Ukrainie i psuły jej reputację na Zachodzie. Również w Polsce nierzadko mówiło się – zwłaszcza do agresji w lutym 2022 r. – Ukrainiec banderowiec czy Ukrainiec nacjonalista. Wzmocniała ten obraz rozdmuchiwana obecność sił neofaszystowskich, zarówno na Majdanie, jak i w ochotniczym pułku Azow.

Tyle że akurat w Polsce pisanie o ukraińskim nacjonalizmie i neofaszyzmie wymaga najpierw spojrzania w narodowe lustro. Wszak bohaterem polskiej niepodległości jest Roman Dmowski, zaciekle nacjonalista, antysemita, przekonany, że niepodległa Ukraina zagrażałaby suwerenności Polski. Dmowski, jak Bandera, wychwalał europejskie faszyzmy i wprowadził sam nie organizował antyżydowskich pogromów, lecz jego obsesje je inspirowały.

W dodatku neofaszyzm w Ukrainie, jeśli porównać go z polskim, jawi się jako siła bardziej marginalna. Nie było w Ukrainie ponadstutysięcznych marszów organizowanych przez narodowców i wspieranych przez państwo. Pułk Azow został w dużej mierze zdefaszyzowany. Jego pierwszy dowódca Andrij Bilecki założył skrajną partię Korpus Narodowy, który jednak w wyborach w 2019 r. w sojuszu z innymi nacjonalistycznymi formacjami zdobył nieco ponad 2 proc. głosów. Nie są to spektakularne sukcesy, zwłaszcza w porównaniu z siłą naszej Konfederacji.

Ukraiński nacjonalizm przedstawia się raczej mizernie również w zestawieniu z rosyjskim. O czym świadczy stosunek do Zagłady.

Ukraińcy stoją jeszcze przed rozrachunkiem z własnym antysemityzmem i współnictwem w mordowaniu Żydów. Na razie dominuje wypieranie odpowiedzialności. Jak mówi ukraiński historyk Jarosław Hrycak, Ukraińcy wciąż „nie rozumieją, że sam fakt milczenia o Holokauście jest już godny potępienia” („Zrozumieć Ukrainę”, rozmowa Izy Chruślińskiej, 2022). Zarazem przybywa w Ukrainie takich głosów jak Hrycaka.

Inaczej w Rosji. Coraz bardziej wielkie milczenie obejmuje też Zagładę. Putin wymazuje z historii Rosji i ZSRR antysemityzm i udział rosyjskich „sąsiadów” w mordowaniu Żydów podczas wojny. Odpowiedzialnością za takie współnictwo obarcza jedynie Ukraińców i Bałtów. Toteż w powszechnej świadomości Zagłada nie ma związków z rosyjskimi dziejami.

Co oznacza, że Rosja zakleszczyła się, pewnie na pokolenia, we wsobnym imperialnym nacjonalizmie. W Ukrainie zaś rozgrywa się wewnętrzny konflikt między ucieczkową nacjonalistyczną wersją własnych dziejów a tendencjami rozrachunkowymi.

Oczywiście wojna stłumiła te debaty, więc o przyszłej ukraińskiej świadomości, czyli kształcie demokracji, decyduje powojnie. I choć każda wojna, także sprawiedliwa, sprzyja nacjonalizmowi, to jednak siła różnorodnego obywatelskiego społeczeństwa w Ukrainie pozwala na dozę optymizmu w tej sprawie. ●

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

CZY TUSK WIE, CO MÓWI

Grożą nam dwa kryzysy. A opozycja nie jest bez winy

Z PROF. **LESZKIEM BALCEROWICZEM** ROZMAWIA
WITOLD GADOMSKI

Czy po ośmiu latach rządów PiS, kupowaniu wyborców socjalnymi programami można będzie prowadzić racjonalną politykę gospodarczą?

– Rozumiem, że pytanie dotyczy tego, czy poglądy społeczeństwa zostały tak zniekształcone przez rozdawnictwo socjalne, że uniemożliwi to powrót do polityki nastawionej na długofalowy rozwój i utrzymanie równowagi. Moim zdaniem nie ma takiego zagrożenia, a przynajmniej nie musi ono koniecznie wystąpić. Sytuacja przypomina lata 70., kiedy następował szybki rozwój kosztem zadłużania kraju, co się zakończyło późniejszą katastrofą. PiS wprowadził nie zaciągał długów zagranicznych, ale nacjonalizował gospodarkę, przez co osłabiał jej siły napędowe, które są związane z sektorem prywatnym i konkurencją. W ten sposób rządy PiS zwiększały podatność polskiej gospodarki na przyszłe kryzysy.

Na czym one mogą polegać?

– Zła polityka gospodarcza nie od razu przynosi negatywne konsekwencje. Złe skutki mogą być przez jakiś czas przesłaniane przez czynniki zewnętrzne. Ale czas zapłaty kiedyś nadejdzie. Gwałtowny spadek dynamiki gospodarki, jaki obserwujemy, jest nie tylko rezultatem tego, co się dzieje na zewnątrz, ale przede wszystkim polityki gospodarczej ostatnich lat. W dodatku spowolnienie jest nie epizodem, ale zjawiskiem trwałym. Grozi nam kryzys fiskalny. Dane za ubiegły rok pokazują, że wpływy podatkowe w relacji do PKB wzrosły o trzy punkty procentowe, ale wydatki wzrosły jeszcze bardziej. Ten wzrost był spowodowany głównie przez wydatki o charakterze socjalnym, przede wszystkim wzrost świadczeń emerytalnych. To będzie jednym z problemów, jakie odziedziczy opozycja.

Drugim kryzysem, który może wystąpić, będzie kryzys bankowy. Jego symptomów na razie nie widać, ale wiemy z badań porównawczych, że kryzysy takie biorą się z nadmiernej obecności państwa. Po kilku nacjonaliza-

cjach przeprowadzonych w sektorze bankowym do skarbu państwa należy około 50 proc. banków, licząc to ich kapitałem lub aktywami. Do tego trzeba dodać regulacje, które pogarszają sytuację finansową banków – wakacje kredytowe, a wcześniej podatek bankowy. Niestety, te szkodliwe regulacje były popierane przez część opozycji, która doszła do absurdu wniosku, że niepopieranie PiS jej się nie opłaca, gdyż może zmniejszyć poparcie u wyborców. Prognozy OECD mówią, że Polska bez reform wkrótce przestanie doganiać Zachód, utrzymując się na poziomie ok. 70 proc. średniej unijnej. Przed nami ogromne wyzwania, w tym związane z demografią, a politycy zachowują się tak, jakby mieli nieskończoną możliwość rozdawania prezentów.

Samo spowolnienie wzrostu nie jest dla polityków dużym problemem. Do naprawy polityki gospodarczej może ich zmusić tylko poważny kryzys.

– Bywali różni politycy, ale rozumiem, że ma pan na myśli tych, którzy uprawiają tzw. czystą politykę, która w rzeczywistości jest brudna, kłamliwa i polega na składaniu fałszywych obietnic, których nie da się spełnić i które prowadzą do gospodarczej katastrofy.

No tak, ale mamy takich polityków, jakich mamy, i wszyscy są nastawieni na to, by wygrać wybory, składając obietnice, a nie proponując reformy, które przynajmniej w początkowej fazie oznaczać będą, że pewne grupy coś utracą – zasiłki, niski wiek emerytalny, ochronę przed zwolnieniami.

– Nie chcę oceniać wszystkich polskich polityków, wydaje mi się, że są wśród nich także ludzie odpowiedzialni. Razi mnie to, że największa partia opozycyjna – PO – pomija milczeniem antyrozwojową politykę PiS – nacjonalizację i generalnie wzrost udziału polityki w gospodarce. Wszystkie partie opozycyjne słusznie koncentrują się na zamachu na praworządność, ale pomijają deformacje, te antyreformy w gospodarce. Da się to wytłumaczyć wyborcom, tylko trzeba się trochę bar-

dziej napracować. Trzeba przedstawić w języku zrozumiałym dla większości, dlaczego upolitycznienie gospodarki jest złe dla większości społeczeństwa. Tymczasem to, co PO nazywa programem, to są albo bardzo cząstkowe, zwykle drobne rzeczy, albo obietnice niepokazujące, skąd wziąć pieniądze na ich realizację.

PO i Tusk mają hasło: „Wszystko, co zostało dane, nie będzie odebrane”. Czyli 500+, obniżony wiek emerytalny, 13. i 14. emerytura zostaną. Tusk powtarza też za młodymi politykami lewicy, że „mieszkanie jest prawem, a nie towarem”.

– Jeżeli rzeczywiście tak mówią, to jest to nie tylko głupie, ale też szkodliwe. W PRL mieliśmy teoretycznie bardzo dużo praw, a nie było towarów. Opozycja stanie przed problemem jeszcze przed wyborami. Bardzo silne spowolnienie spowoduje problemy z finansowaniem wydatków budżetowych, co okaże się w drugiej połowie roku. I co wtedy będzie mówiła opozycja? Będzie popierała rosnące wydatki kosztem zadłużenia? To jest moje pytanie, na któ-

re powinni odpowiedzieć lider PO. Jeżeli tak uczynią, to postąpią nieodpowiedzialnie z punktu widzenia nie tylko kraju, ale także własnego interesu. Elektorat PO to nie jest elektorat PiS. Da się mu wytłumaczyć, jakie są koszty popierania polityki gospodarczej PiS. Założmy, że po wyborach PiS zostanie odsunięty od władzy. Sytuacja gospodarcza, a zwłaszcza finansów publicznych, będzie jeszcze bardziej dramatyczna niż obecnie. To jak wówczas zwycięska opozycja odpowie wyborcom, gdy zapytają: „Dlaczego nie sprzeciwialiście się, a przynajmniej nie protestowaliście przeciwko polityce, która doprowadziła do tego dramatu?”.

Obawiam się, że opozycja w ogóle nad tym się nie zastanawia. Chce po prostu wygrać. Wychodzi z założenia, że jeżeli zapowie redukcję świadczeń społecznych przyznanych za rządu PiS, to na tym straci.

– Nie mówmy „opozycja”, bo być może niesłusznie obwiniamy wszystkie partie. Chciałbym wiedzieć, czy politycy opozycji mają jakieś głębsze badania opinii publicznej. Wiele zależy od te-

go, jakie zada się pytania. Trzeba postawić je w formie alternatywy: czy chcesz utrzymać obniżony wiek emerytalny kosztem kilkunastu miliardów złotych z budżetu, które mogą być wydane na inne cele? Nie słyszałem, by PO takie badania prowadziła.

To głupie założenie, że w Polsce nie wygra się wyborów, jeśli nie będzie się populistą.

Mamy wiele przykładów zagranicznych – Reagana, Thatcher – którzy prowadzili liberalną politykę gospodarczą i utrzymywali wysokie poparcie przez wiele lat. Nie chcę się z nimi zestawiać, ale nie mogę nie wspomnieć, że w 1997 r. otrzymałem na Śląsku najwięcej głosów ze wszystkich polityków, a Unia Wolności, której przewodniczyłem, dostała prawie 14 proc. w całym kraju. Nie sądzę,

żeby po doświadczeniach rządów PiS polskie społeczeństwo tak bardzo odwróciło się od polityki wolnorynkowej. W ubiegłym roku poparcie dla PiS spadło o jedną czwartą, mimo że wzrost gospodarczy wynosił ponad 4 proc. To świadczy, że większość ludzi nie daje się oszukać. Jeżeli opozycja nie krytykuje tego, co PiS robi z gospodarką, to nie zna społeczeństwa, a na pewno nie zna swojego elektoratu.

Obawiam się, że pan profesor przecenia dojrzałość społeczeństwa. Trzeba też

wziąć pod uwagę, że polityka rozdawnictwa

PiS była dobrze przyjmowana przez większość mediów, nazwijmy je liberalnymi. Publicyści i komentatorzy od siedmiu lat powtarzają frazę o tym, że program 500+ „przywrócił ludziom godność”.

– Nie mam dowodów na skuteczność takiej propagandy. Mam natomiast sygnały, że poparcie dla PiS spada, więc jego polityka jest aprobowana przez coraz mniejszą grupę wyborców.

Jakie należałoby przeprowadzić działania dla uporządkowania finansów publicznych?

– Trzeba zobaczyć, jak rosły wydatki, a rosły głównie nie na edukację i zdrowie, tylko na emerytury z powodu obniżonego wieku emerytalnego i dodatkowych, nadzwyczajnych świadczeń, którymi PiS kupował wyborców. Prognozy mówią, że przy znacznym spadającym dynamice PKB spadną realne wpływy budżetu. Trzeba przedstawić wybór: czy dostosujemy wydatki do malejących wpływów, redukując te, które są mniej rozwojowe, mniej niezbędne do utrzymania usług publicznych na jakim takim poziomie, czy podwyższamy podatki. Nie da się uniknąć problemowi wieku emerytalnego, ale to trzeba przedstawić w kontekście wyboru coś za coś, a nie naiwnych deklaracji o tym, jak kochamy emerytów.

Mam wątpliwości, czy wyborcy potrafią przeprowadzić tak racjonalną kalkulację, czy dostrzegają w swojej kieszeni

skutki rosnącego deficytu budżetowego.
– Ależ to jest bardzo proste! Ty-le i tyle kosztuje obniżony wiek emerytalny, czyli o taką sumę zmniejszają się wydatki na edukację lub zdrowie. Pytamy wybor-cę: „Wybieraj, co chcesz, ale nie możesz mieć i jednego, i drugie-go”. Nawet osoba bez wyższego wykształcenia to rozumie.

Jak szybko można byłoby obniżyć inflację do poziomu celu inflacyjnego, czyli 2,5 proc., i jakimi metodami?
– Spójrzmy na szerszy kontekst. W roku 2018 inflacja w Polsce wyniosła 1,2 proc., a w strefie eu-ro – 1,8 proc. Od tego momen-tu inflacja w Polsce zaczęła ro-snąć o wiele szybciej niż w stre-fie euro. W 2020 w Polsce wy-niosła 3,7 proc., a w strefie eu-ro – 0,7 proc., w 2021 – 5,2 proc. wobec 2,9 proc., wreszcie, w 2022 – 13,2 proc. w Polsce i 9,2 proc. w strefie euro.
Dlaczego inflacja rosła w Pol-sce szybciej niż w krajach strefy euro? Jest jeden czynnik, nazywa się Glapiński.

Błędna polityka Rady Polityki Pieniężnej, kierowanej przez Gla-pińskiego, doprowadziła do infla-cji, która nie wynika tylko z przy-czyn zewnętrznych, czyli wzrostu cen energii. Jeżeli chcemy infla-cję obniżyć, to musimy podwyż-szyć stopy procentowe NBP. Jak ktoś mówi, że to jest niedobre dla ludzi, to niech im wytłumaczy, że korzystna jest dla nich inflacja.

Władza jest przekonana, że zacięśnienie polityki pieniężnej przez podwyżki stóp doprowadzi do silnego zahamowania wzrostu gospodarczego i wzrostu bezrobocia. Niektórzy politycy PiS mówią wręcz, że lepiej jest prowadzić taką politykę jak Erdogan w Turcji – lekceważyć inflację, ale utrzymać silny wzrost i niskie bezrobocie.

a także NBP za łagodną polityką pieniężną.
– Na krótką metę bezrobocie mo-że być ceną za zwalczenie inflacji. Ale jeżeli nie chcemy płacić żad-nej ceny, musimy się liczyć z tym, że inflacja będzie nam towarzy-szyć przez wiele lat, zjadając oszczędności i zwiększając kos-zty kredytów. A na dłuższą metę bezrobocie i tak wzrośnie, gdyż bez inwestycji nie będzie nowych miejsc pracy. Populizm nie ma żadnych racjonalnych argumen-tów. Ale żeby z nim wygrać, trze-ba być lepszym w przekazie.

Niezależnie od wyników wy-borów prezes NBP i wskazani przez PiS członkowie RPP pozo-staną na stanowiskach jeszcze pięć lat.
– Ale trzeba ludziom wyjaśniać, że wysoka inflacja wynikała w du-żej mierze z zaniechań NBP. Pre-sja opinii publicznej może też działać na niektórych członków RPP. To nie są fanatyczni zwo-lennicy PiS, raczej karierowicze, którzy mogą być podatni na na-cisk. Dobrym przykładem jest na-cisk opinii publicznej, a także śró-dowisk prawniczych, protestują-cych przeciwko łamaniu prawo-rządności.

Czy szybkie wejście Polski do strefy euro jest możliwe i czy jest pożądane?
– Szybkie wejście nie jest ani moż-liwe, ani prawdopodobne. Nie by-łoby też pożądane, gdyby miało zastępować zasadnicze reformy, które są niezbędne – prywatyza-cję, obniżenie deficytu fiskalnego, zniesienie lub uproszczenie wielu regulacji szkodliwych dla gospo-darki. Jeżeli wcześniej takie refor-my przeprowadzimy, to możliwe będzie przyjęcie wspólnej waluty, nie zakładając, że będzie to istot-nym czynnikiem rozwoju. Być może będzie pozytywnie oddzia-ływać na stabilność gospodar-ki, ale jeżeli Polska nie przepro-

To nie czasy dla Churchillów

Przepis na wygrane wybory: nie głosić swojej prawdy, lecz jak najmniej zrażać i jak najwięcej przyciągać.

Ernest Skalski

C oraz wyraźniej dostrzegamy spadek dynamiki gospodarki. Z powodu dotkliwej inflacji coraz liczniej upadają warsztaty rzemieślnicze, restauracje, niewielkie wytwórnie – to, co stanowi głebę gospodarki rynkowej. Duże zakłady rozpoczynają zwolnienia grupowe. Grozi stagflacja, czyli zastój gospodarczy w połączeniu z inflacją, a do tego zapowiada się kryzys fiskalny, bo rząd wydaje pieniądze poza budżetem.

Ta sytuacja, jak stwierdza profesor Balce-rowicz, jest przede wszystkim skutkiem poli-tyki gospodarczej ostatnich lat polegającej na nacjonalizacji i wzroście upolitycznienia gos-podarki. PiS tę fatalną politykę nasila z mie-siāca na miesiąc, bo są to miesiące dzielące nas od wyborów.

Wybory dają szansę odwrócenia fatalnego trendu. By tak się stało, musi zostać spełniony podstawowy warunek, którym jest odsunie-cie od władzy PiS, czyli wyborcze zwycięstwo opozycji. I to zdecydowane, takie, które by by-ło tej władzy trudno podważać.

W czerwcu ’89 r. prawie dwie trzecie wybor-ców głosowało za szeroko rozumianą de-mokratyzacją, która doprowadziła do zmia-ny władzy, lecz nie głosowało za gospodar-ką rynkową.

Powyborcze osiągnięcia socjalne przyspie-szyły upadek gospodarki nakazowej. W grud-niu tegoż roku trzeba już było przystąpić do jej transformacji, zaczynając od uchwalenia przez Sejm – jeszcze kontraktowy! – ustaw składających się na plan Balcerowicza. To je-go historyczna zasługa, której nikt mu nie może odebrać, choć lewica, z powodów dok-trynalnych, do dziś nie może jej profesorowi darować. Lecz nawet bez lewicy wprowadze-nie transformacji przez referendum nie by-ło możliwe tak samo jak głosowanie na nią w czerwcu ’89 r.

Ludzie raczej boją się daleko idących zmian w materii, od której zależy jakość ich życia. Wolą naprawiać to, co już jest, nawet gdy do naprawy się już nie nadaje. Natomiast po przełomach politycznych wielu oczeku-je przejścia do krainy szczęśliwości, której ni-gdy nie było, nie ma i nie będzie. Wystarczy pomyślność, a ona też nie przychodzi od ra-zu. Szczególnie w gospodarce, w której tylko katastrofa może się zdarzyć z dnia na dzień. Przeważnie jednak nawet pogorszenie zajmu-je jakiś czas, a poprawa wymaga go więcej.

To, że przebudowa gospodarki musi być początkowo bolesna, było jasne dla tych, któ-rzy chcieli to wiedzieć. Dlatego pod koniec lat 80. lewicowy polityk Ryszard Bugaj powie-dział mi, że na pewno wygra pierwsze wolne wybory, ale drugie wygra przerobiona PZPR. Tak się stało. W dużym stopniu dzięki woj-nie na górze w obozie „Solidarności” i na sku-tek jego dyktantwa w polityce. Ale zwycię-ska lewica już się wpasowała w demokra-cję i przez jakiś czas wymieniała się u władzy z ruchem postsolidarnościowym.

Nie było wówczas liczącej się części elek-toratu głosującej za utrzymaniem dotychcza-sowej władzy i ancien regime nie miał moż-liwości powrotu. Teraz 30 proc. i plus jest za utrzymaniem tego, co jest. To prawda, że w 2021 r. sondażowe poparcie dla PiS spadło o blisko jedną czwartą, mimo że wzrost PKB wynosił prawie 5 proc. Lecz to dlatego, że PiS przejechał się na zakazie aborcji.

Opozycja nie ma się po co przejmować tym, że jakieś jej zapowiedzi okażą się niere-alne jeszcze przed wyborami. Dopiero po wy-borach mogą się okazać nierealne. Tym bar-dziej nie ma się co przejmować tym, jak wów-czas odpowie wyborcom, gdy zapytają: dla-

czego nie sprzeciwialiście się, a przynajmniej nie protestowaliście przeciwko polityce, która doprowadziła do tego dramatu? Po wyborach za stan gospodarki wini się poprzednią wła-dzę, a nową dopiero za jej aktualną politykę. I będzie to niebezpieczny atak. W arcytrudnej powyborczej sytuacji zwolenników restytucji państwa PiS może być więcej, niż dzisiaj jest jego obrońców. Przyszłość liberalnej demo-kracji może się okazać gorsza, niż była w ro-ku 1989.

W tej sytuacji demokratyczna opozycja po-winna być jak adwokat ustanowiony w spra-wie, któremu wolno robić tylko to, co słu-ży jej wygraniu, czyli opozycja ma robić tylko to, co przybliży jej polityczne zwycięstwo. I to wiedząc, że trzeba będzie dokonać kardyna-lnych zmian w gospodarce. Wiadomo, że poli-tyka i gospodarka są wzajemnie od siebie za-leżne. Teraz trzeba zacząć od polityki i zdo-być władzę.

Tu, z całym szacunkiem, Panie Leszku, po-zwalam sobie mieć inne zdanie. Cytuję: „Czy poglądy polskiego społeczeństwa zostały tak zniekształcone przez pisowskie rozdawnic-two socjalne i etatystyczną propagandę, że uniemożliwi to powrót do polityki nastawio-nej na stabilność i rozwój gospodarki. Moim zdaniem nie ma takiego fatum”.

Trudno mówić o społeczeństwie jako cało-ści. Jego jednej trzeciej to fatum dotyczy. Pan to dostrzega, przedstawiając, co trzeba zrobić, by wyprowadzić gospodarkę na prostą: „Da się to wytłumaczyć niepisowskim wyborcom, tylko trzeba się trochę bardziej napracować. Trzeba przedstawić w zrozumiałym języku, dlaczego upolitycznienie gospodarki jest złe dla większości społeczeństwa”.

Spójrzmy na tę pisowską część, której, jak wynika z Pana wypowiedzi, niczego wytłuma-czyć się nie da. Są w niej wyznawcy, w więk-szości raczej starsi, gorzej wykształceni, prze-ważnie z prowincji, uzależnieni osobiście od rozdawnictwa, dla których Kaczyński i PiS to samo dobro, a co złe, to wina Tuska. Wi-dzą zło dla nas w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, w zamachu na polską suwerenność ze stro-ny Unii, w tym Niemiec, które tą Unią ma-ją kierować, a to dla nich też wina Tuska. Pa-rę lat temu tę grupę szacowano na mniej wię-ciej 18 proc. całego elektoratu. Resztę, nieco mniej niż połowę, w elektoracie PiS stanowi-liby członkowie aparatu władzy i przybliżeni, których beneficja także pochodzą z rozdaw-nictwa, ale nie socjalnego. Oni mogą nawet wiedzieć, że system, któremu służą, jest szko-dliwy dla gospodarki, ale jest dobry dla nich. Są też, nie tylko w elektoracie PiS, tacy, którzy w ciemno zagłosują za swoją partią i jej lide-rem. Idą za pasującym im przywódcą oraz za nośnym hasłem.

Pozostaje jednak szerokie i bardzo zróżnico-wane spektrum. Jego część to wahający się zwolennicy PiS. Na opozycję raczej nie za-głosują, ale mogą nie zagłosować na PiS. Do-bre i to. Pozostałą większość tego spektrum można określić jako niepisowską. To chwiej-ni zwolennicy partii opozycyjnych oraz ci, którzy jeszcze nie wiedzą – czy nie mają – na kogo głosować. Są też tacy, którzy nie wie-dzą, czy będą głosować, i tacy, którzy wiedzą, że nie będą. Ale i wśród nich niektórzy mo-gą zmienić zdanie. Bywają wyborcy głosują-cy pod wpływem impulsu, podejmujący de-cyzję dopiero w kabinie wyborczej. I ta wielka część społeczeństwa rozstrzygnie wynik. Stąd ogólna zasada: nie głosić swojej prawdy, lecz jak najmniej zrażać i jak najwięcej przyciągać.

Nie jest to wiedza tajemna. Są spin dokto-rzy, fachowcy, którzy wiedzą, jak to się robi. Ale nie trzeba być jednym z nich, by zdać so-bie sprawę, że fatalna sytuacja gospodarcza, bliska krwawa wojna, ale jeszcze nie w na-szych granicach, to nie są największe nie-szczęścia, jakie przeżyła Polska w ciągu ostat-nich 100 lat. Nie są to też warunki, w których polityk może, wzorem Churchilla, uzyskać poparcie, zapowiadając krew, pot i łzy.

Więcej na **Wyborcza.pl/magazyn**

To głupie założenie, że nie wygra się wyborów, jeśli nie będzie się populistą. Reagan, Thatcher prowadzili liberalną politykę gospodarczą i utrzymywali wysokie poparcie przez wiele lat

– To są pomysły absurdalne choć-by dlatego, że nie da się utrzymać wzrostu przy obecnej inflacji. Wzrost wymaga inwestycji, a kto będzie inwestował, gdy inflacja jest wysoka i niestabilna? Gdy zo-stałem prezesem NBP, inflacja wynosiła 7,4 proc., gdy po sześciu latach odchodziłem – 1,6 proc. W następnych latach, aż do rzą-dów PiS, mieliśmy w Polsce in-flację na poziomie zbliżonym do średniej unijnej.

Ale w latach 2001-03 bezrobo-cie wzrosło do poziomu rekor-dowego. To jest argument PiS,

wadzi kolejnego pakietu reform rynkowych, to stopy Europejskie-go Banku Centralnego będą za ni-skie jak na warunki Polski, co mo-że doprowadzić do nadmierne-go napływu kapitału i baniek spe-kulacyjnych, które – jak w Grecji czy Hiszpanii – zakończą się kry-zysem.

O LONGTERMIZMIE, FILOZOFII, KTÓRA OPANOWAŁA UMYSŁY MILIARDERÓW Z DOLINY KRZEMOWEJ, Z DR. **KACPREM KOWALCZYKIEM*** ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Od dawna żaden nurt filozofii nie budził tylu kontrowersji co longtermizm...

– Longtermizm utrzymuje, że jednym z najpilniejszych zadań jest pozytywne oddziaływanie na długofalową przyszłość ludzkości. Longtermiści mają na myśli kolejne setki tysięcy, a może nawet miliony lat. Wychodzą z założenia, że ludzkość jest stosunkowo młodym gatunkiem.

Typowy gatunek ssaka żyje mniej więcej milion lat, a Homo sapiens pojawił się co najmniej 200 tys. lat temu. Ludzkość może mieć przed sobą jeszcze jakieś 800 tys. lat. To dużo więcej, niż mamy za sobą. Łatwo sobie wyobrazić, że nasz wpływ na tak długą przyszłość może okazać się ważniejszy niż na obecne pokolenie. Np. w latach 70. wskutek skoordynowanej akcji wielu organizacji wyteplono ośpę prawdziwą, która wcześniej pochłaniała miliony ofiar. Oczywiście było to korzystne dla pokolenia, które żyło w latach 70., ale główną korzyścią było to, że kolejne pokolenia były wolne od tej strasznej choroby.

Miliarderzy od dawna zastanawiali się, jak zbawić ludzkość. Longtermizm wyrasta z ruchu tzw. efektywnych altruistów. Co różni oba podejścia?

– Longtermizm stanowi część efektywnego altruizmu. Efektywny altruizm to również filozofia oraz ruch społeczny, którego celem jest jak najwięcej pomagać innym. Według efektywnych altruistów organizacje charytatywne różnią się stopniem skuteczności. Możemy np. przeznaczyć część dochodu na pomoc lokalnej organizacji, ale taka sama kwota przeznaczona na pomoc w kraju rozwijającym się może pomóc większej liczbie ludzi.

Wielu efektywnych altruistów praktykuje też świecką wersję dzieściny – zobowiązują się do przekazywania rocznie 10 proc. dochodu na starannie wybrane cele. Do tego starają się doradzać, jakie kariery zawodowe mogłyby przynieść najwięcej dobra. Istnieje np. organizacja o nazwie 80,000 Hours – czyli 80 tys. godzin, ponieważ tyle czasu w ciągu życia średnio spędzamy w pracy – której celem jest doradzanie, jak nasza kariera może zmienić świat na lepsze.

Efektywny altruizm wychodzi zatem od tezy, że możemy pomóc większej liczbie ludzi w krajach rozwijających się niż w naszym lokalnym otoczeniu, jeśli w odpowiedni sposób dobierzemy interwencje charytatywne, np. jeśli zakupimy siatki antymalaryczne czy dokonamy bezpośredniego przelewu na konta rodzin potrzebujących w krajach rozwijających się.

Niektórzy efektywni altruści posunęli taką logikę o krok dalej, sugerując, że istnieje znacznie większa grupa ludzi, której również możemy pomóc, a o której rzadko myślimy. To przyszłe pokolenia.

Longtermizm spotkał się z krytyką. Niektórzy twierdzą, że podstawowe założenie jest błędne, ponieważ ludzkość nie

ma przed sobą dziesiątek tysięcy lat istnienia. Pozostali wątpią, czy w ogóle możemy wpływać na tak odległą przyszłość.

– Niektórzy longtermiści uważają, że historia ludzkości może być znacznie krótsza, ale w takim razie powinniśmy próbować ją wydłużyć. Ich zdaniem powinno to prowadzić nie do rezygnacji, ale do działań mających na celu minimalizowanie zagrożeń.

Więcej wydajemy na lody niż na przeciwdziałanie katastrofie egzystencjalnej

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRON UCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT



FOT. GETTY IMAGES

POMYŚL O NAJBLIŻSZYCH 800 TYSIĄCACH LAT

sze działania mogą mieć bardzo długofalowy wpływ. Z kolei filozof William MacAskill rozważa historię instytucji, wartości i religii, i przekonuje, że one też mają bardzo długofalowy wpływ. Zdaniem longtermistów warto zadbać, żeby ten wpływ był świadomy i pozytywny.

Tylko że na ogół nie jesteśmy zainteresowani aż tak długofalowymi konsekwencjami tego, co robimy, a z ludźmi, którzy będą żyć za tysiące lat, nie łączy nas w zasadzie nic. Dlaczego mam bardziej przejmować się losem kogoś, kto będzie żył za setki tysięcy lat, niż własnych płaczących i głodnych dzieci?

– W zdroworozsądkowym podejściu do moralności jest miejsce na bezstronność, np. obowiązki wobec nieznajomych, z którymi nic nas nie łączy, ale też na pewną stronniczość – jak obowiązki wobec rodziny, przyjaciół czy ludzi, z którymi jesteśmy bardziej związani. Stronniczość czasem może wziąć górę nad bezstronnością. Longtermiści podkreślają, że los naszych bliskich jest ważny, ale skala problemu – przyszłość całej ludzkości – wskazuje, że być może powinniśmy się częściej kierować bezstronnością.

Kluczowa wydaje się kategoria ryzyka egzystencjalnego, czyli po prostu wyginięcia inteligentnego życia na Ziemi. Na ile jest obecnie szacowane?

– Longtermizm nie jest monolitem, jest w nim miejsce na różnice zdań co do tego, jak kształtować tę długofalową przyszłość oraz jakie są główne zagrożenia.

Z jednej strony mamy pesymistyczne wizje, jakie snują np. filozof Toby Ord, który przekonuje, że ryzyko egzystencjalnej katastrofy w kolejnym stuleciu wynosi 1:6. Z drugiej strony mamy MacAskila, który twierdzi, że ryzyko wyginięcia w krótkiej perspektywie czasowej wynosi między 1:100 a 1:1000. Bardziej interesuje go zatem możliwość, że ludzkość przetrwa, ale nie zrealizuje w pełni potencjału, bo będzie uwiązana przez niewłaściwe normy moralne.

Co stanowi główne źródło zagrożenia z perspektywy 2023 r.? Każda epoka ma własny katalog lęków i niepokojów.

– Bardzo trudno oszacować odmienne kategorie ryzyka egzystencjalnego i je porównać. Problem polega na tym, że nigdy nie mieliśmy do czynienia z katastrofą egzystencjalną, nie mamy więc danych statystycznych. Musimy opierać się na modelach teoretycznych czy historii wypadków, które niemalże skończyły się katastrofą.

Ogólnie rzecz biorąc, longtermiści wyróżniają dwie główne kategorie ryzyka egzystencjalnego – pochodzenia naturalnego i antropogenicznego. Nie przejmują się bardzo pierwszą. Ich zdaniem ludzkość przetrwała już co najmniej 200 tys. lat, w czasie których zdarzały się wybuchy wulkanów czy uderzenia asteroid. Daje nam to pewne podstawy do optymizmu. Dużo bardziej przejmują się ryzykiem antropogenicznym, do którego przyczynia się nasza własna zaawansowana technologia. Nie mamy takiej technologii na tyle długo, żeby powiedzieć, że takie ryzyko jest niewielkie.

Analizując przeszłość, można dostrzec na przykład, że katastrofami, które wiązały się z wyjątkowo dużą śmiertelnością, były pandemie. Longtermiści martwią się, że pandemia przyszłości mogą być jeszcze bardziej śmiertelne. Obniżyły się koszty produkcji oraz zwiększył dostęp do technologii, które pozwalają na modyfikowanie wirusów i bakterii. Być może właśnie postęp w tej dziedzinie doprowadzi do tego, że będziemy mogli przyczynić się do powstania, przypadkiem czy intencjonalnie, pandemii, która może się okazać naprawdę katastrofalna.

A może longtermizm to hobby znudzonych miliarderów w rodzaju Elona Muska? W eseju w styczniowym „Znaku” pisze pan, że więcej niż na zapobieganie egzystencjalnej katastrofie wydajemy na lody. W 2018 r. kwota ta wyniosła 60 mld dol.

– Często zarzuca się longtermistom, że odwracają uwagę od innych palących problemów, na które zabraknie funduszy. Longtermiści bronią się, mówiąc, że tak naprawdę mało jeszcze wydaje się na cele longtermistyczne. Nie twierdzą jednak, że długofalowa przyszłość ludzkości powinna być naszym jedynym priorytetem.

Australijski filozof Toby Ord – z którego książki pochodzi chwytliwe sformułowanie o 60 mld wydawanych rocznie na lody – sugeruje, że pierwszym celem powinno być osiągnięcie etapu, gdzie na przeciwdziałanie katastrofie egzy-

stencjalnej wydajemy więcej niż na lody.

Dopiero później możemy się zastanawiać, czy powinniśmy iść dalej. Na pewno nie znajdujemy się w momencie, w którym możemy się obawiać, że wydatki na cele wskazywane przez longtermistów są za wysokie.

Podkreśla pan również, że w tym samym roku ludzkość zabiła 69 mld kurczaków. Czy dla longtermistów cierpienie innych gatunków ma znaczenie?

– Tak. Longtermizm wywodzi się z ruchu efektywnego altruizmu, a jednym z jego założeń jest to, że w rachunku moralnym powinniśmy uwzględnić wszystkie istoty odczuwające cierpienie. Z tego punktu widzenia przynależność gatunkowa ma równie mało znaczenia co przynależność narodowa czy pokoleniowa, choć należy pamiętać, że zwierzęta różnią się pod względem potencjału do odczuwania złych stanów świadomości. Longtermiści uważają, że sprawą otwartą pozostaje, czy powinniśmy starać się przedłużać trajektorię cywilizacji, czy zmienić jej kierunek? Tu pojawia się zagadnienie zwierząt, hodowlanych i dziko żyjących. Jest ich bardzo dużo, więc jeśli cierpią na tyle, że lepiej byłoby się dla nich nie narodzić, to może lepiej skupić się na zmianie kierunku cywilizacji, np. przekazując przyszłym pokoleniom bardziej altruistyczne normy moralne.

Socjolog z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu Jan Jęcz stwierdził: „Ideologia longtermistyczna skłania wyznawców do przyjęcia beznamietnej postawy wobec zmian klimatycznych”.

– Zmiana klimatyczna jest na liście egzystencjalnych zagrożeń. MacAskill pisze nawet, że inwestycja w rozwój czystej energii może służyć jako wzór i punkt odniesienia dla innych longtermistycznych działań. Longtermiści nie uważają jednak, że jest to jedyna kwestia, którą powinni się zajmować. Zaważają, że świadomość zagrożeń związanych ze zmianą klimatu jest spora i wiele rządów zobowiązało się do działania. Akcentują więc inne zagrożenia, jak te związane z pandemią, wojną nuklearną czy sztuczną inteligencją.

Mamy oczywiście Elona Muska, który stał się w jakimś sensie rzecznikiem ruchu. Wiele osób usłyszało o longtermizmie wyłącznie z jego Twittera. Być może stąd bierze się przekonanie, że longtermiści lekceważą zmiany klimatyczne. Musk czasem sprawia wrażenie, że dużo bardziej niż zmiany klimatyczne obchodzą go kolonizacja Marsa czy spadek dzietności.

Ale może w ujęciu longtermistycznym opóźnianie ekspansji międzyplanetarnej należałoby określić jako zbrodnie wymierzoną w przyszłe pokolenia?

– Wielu longtermistów zdaje sobie sprawę, że jeśli spojrzymy na ludzkość w długiej perspektywie czasowej, to Ziemia nie jest miejscem, które będzie zawsze zamieszkiwane przez ludzkość. Ich zdaniem jeśli naprawdę zależy nam, żeby istniało wiele szczęśliwych pokoleń, żeby ludzkość wciąż zdobywała wiedzę o wszechświecie i promowała sprawiedliwość czy piękno, to będziemy musieli spojrzeć

Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przeznaczyć jakąś kwotę na bezpośrednią pomoc ubogim rodzinom w Afryce, a jednocześnie budować organizacje, które będą mogły przeciwdziałać asteroidom czy pandemiom

poza Ziemię. Na pozostałe planety. Być może również na inne układy słoneczne. W ostatecznym rozrachunku w którymś momencie warto zająć się tym, żeby ludzkość zapewniła sobie przetrwanie na innych planetach, ale dla czołowych longtermistów nie jest to zagadnienie najważniejsze. Uważają, że istnieją bardziej bezpośrednie zagrożenia, z którymi ludzkość musi poradzić sobie na Ziemi, i to w ciągu następnych kilku dekad lub stuleci. To właśnie zagrożenia związane ze sztuczną inteligencją, pandemią, wojną nuklearną czy zmianami klimatycznymi. Jeśli je rozwiążemy, wtedy będziemy mogli pomyśleć, czy kolonizować inne planety.

Longtermiści podkreślają też, że kolonizacja innych planet czy terraformacja Marsa nie jest bezsprzecznym dobrem. Są z nimi związane różne zagrożenia. Np. jeśli ludzkość przeniesie się na inne planety, to może na kosmiczną skalę rozprzestrzenić swoje instytucje, które mogą okazać się niedoskonałe. To sprawy, o których

warto pomyśleć, zanim obierzemy drogę, z której może nie być powrotu.

Krytycy przyrównują longtermizm do pierwszej w historii techreligii, religii opartej na rozwoju technologii.

– Longtermizm jest religią nie bardziej niż kiedyś ruch ekologiczny czy kampania na rzecz nuklearnego rozbrojenia. Nie jest też na tyle zorganizowany czy powszechny. Longtermiści chcieliby pewnie, żeby ich ruch miał pewne cechy religii. Religie są przecież pewnym sposobem na przekazanie wartości w bardzo długoterminowej perspektywie.

Ale longtermizm tym bardziej nie jest techreligią. Longtermiści nie uważają, że technologia nas zbawi. Mają mieszane uczucia, ponieważ zdają sobie sprawę, że technologia to miecz obosieczny. Z jednej strony to technologia doprowadziła do zwiększenia poziomu życia, rozwoju czystej energii i może niedługo doprowadzić do technologicznej utopii napędzanej sztuczną inteligencją. Z drugiej strony to rozwój technologii jest odpowiedzialny za niebezpieczne poziomy dwutlenku węgla w atmosferze, a sztuczna inteligencja może równie dobrze doprowadzić do totalitarnej dystopii albo nawet do wyginięcia ludzkości, bo będzie nas przewyższała we wszystkich zadaniach intelektualnych – możemy wtedy podzielić los orangutanów, które są gatunkiem zagrożonym.

A jeśli sam świat wydaje nam się zły, a los ludzkości obojętny? Czy również znajdziemy coś dla siebie w longtermizmie?

– Tak, longtermizm niekoniecznie wiąże się z przekonaniem, że ludzkość powinna mieć przed sobą jak najdłuższą przyszłość. To wyłącznie przekonanie, że kształt długofalowej ludzkiej przyszłości powinien być ważny dla ludzi żyjących obecnie, ale to, jaki kształt przybierze przyszłość, jest pytaniem otwartym. Jedna szkoła utrzymuje, że powinniśmy się starać, żeby ludzkość przetrwała jak najdłużej, a druga, że powinniśmy działać tak, aby cywilizacja w przyszłości przyjęła jak najlepszą formę. Jeśli uważamy, że życie przeciętnego człowieka jest przepelnione

cierpieniem, to dłuższe przetrwanie ludzkości niekoniecznie będzie czymś dobrym. Ale dalej możemy być longtermistami, o ile obchodzi nas jakość ludzkiego życia w długofalowej perspektywie. Podobnie jeśli uważamy, że jest czymś obojętnym, czy istnieje więcej ludzi, czy mniej, o ile dalej obchodzi nas jakość ich życia.

Tylko że w takim ujęciu przyszłe pokolenia wydają się bardziej wartościowe niż ludzie żyjący obecnie. A więc inwestujemy, poświęcamy coś, co dzieje się teraz, w imię czegoś, co może się nie wydarzyć.

– Wskazał pan na jeden z najważniejszych teoretycznych problemów stojących przed longtermizmem. Nie mamy pewności, czy przyszłe pokolenia w ogóle będą istniały. Do tego nie mamy pewności, czy uda się nam mieć pozytywny wpływ na jakość ich życia. Czy warto więc poświęcać nasze zasoby i czas na rzecz poprawy ludzkiej przyszłości? Co robić, kiedy z jednej strony możemy z dużą pewnością wiele uczynić dla obecnych pokoleń, a z drugiej możemy uczynić o wiele więcej – ale z dużo mniejszą dozą pewności – dla pokoleń przyszłych, których w ogóle może nie być? Jak porównywać tego typu działania?

Zabawmy się w longtermistyczny dylemat wagonika. Mamy do wyboru uratowanie od śmierci głodowej kilkudziesięciu osób, które żyją obecnie w Afryce, a po drugiej stronie kilka procent szans na to, że w przyszłości zestrzelimy hipotetyczną asteroidę, która zabije całą ludzkość za 1000 lat. Jak taki dramat rozstrzygnąłby longtermista?

– Longtermiści powiedzieliby, że trzeba robić jedno i drugie. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przeznaczyć jakąś kwotę – powiedzmy 10 proc. dochodów – na organizację w rodzaju GiveDirectly, która dokonuje bezpośrednich przelewów na konta ubogich rodzin w Afryce, a pozostały czas poświęcić na przekonywanie innych, że długofalowa przyszłość ludzkości jest ważną kwestią, np. że warto budować organizacje, które będą mogły przeciwdziałać potencjalnym asteroidom czy pandemiom. Praca nad zmniejszeniem ryzyka katastrofalnych pandemii pewnie zmniejszy też ryzyko pandemii mniej katastrofalnych. Nie jest tak, że działania nakierowane na teraźniejszość i na przyszłość zawsze są odrębne i zupełnie się wykluczają. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

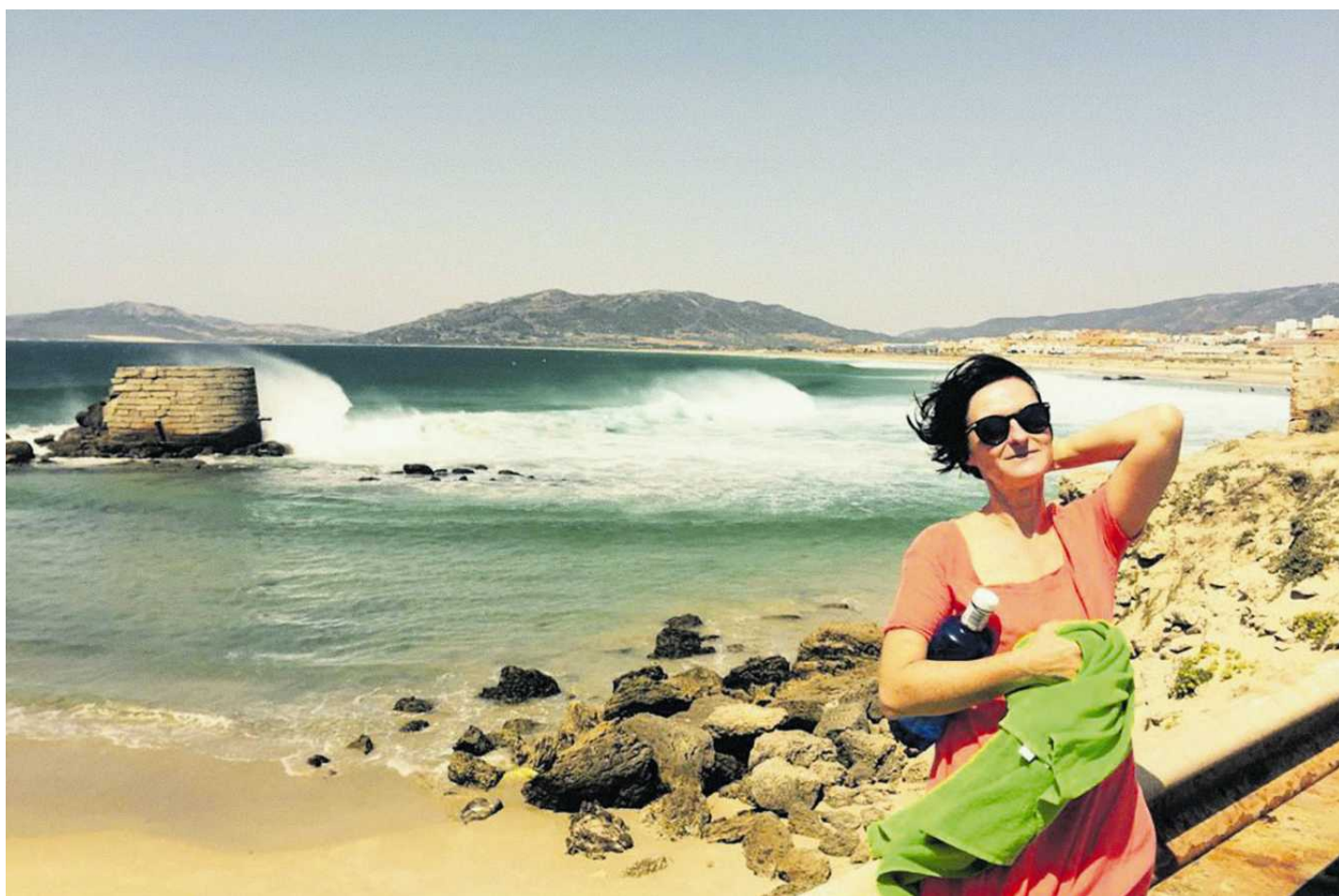
*Dr Kacper Kowalczyk

• dr filozofii specjalizujący się w etyce, absolwent Cambridge i Oksfordu, pracownik naukowy na University College London, wspierany przez grant Longview Philanthropy

PIĘKNA PLAŻA, BY UMRZEĆ

Nie rozmawialiśmy o tym,
że nadchodzi koniec.

Po pierwsze,
była w nas nadzieja,
po drugie, ja się bałem,
a ona milczała.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Z **WOJCIECHEM CZUCHNOWSKIM**,
DZIENNIKARZEM „WYBORCZEJ”,
AUTOREM KSIĄŻKI „DZBANEK ROZBITY.
SCENY Z ŻYCIA, CHOROBY, ŚMIERCI
I ŻAŁOBY”, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

W którym momencie dopadła cię myśl, że chciałbyś odejść razem z Agnieszką?

– Gdy już wiedziałem na pewno, że będzie bardzo źle. Jesienią 2021 roku. Wtedy powiedziałem jej to po raz pierwszy.

Bardzo się starałem, by nawet przez chwilę nie brzmiało to patetycznie, próbowałem wręcz obracać to w żart. Choć myślałem o tym całkowicie serio. Ta myśl w zasadzie do końca jej życia ze mnie nie wyparowała. Zżyłem się z nią tak bardzo, że gdy ruszaliśmy na Sycylię, by moja żona raz jeszcze zobaczyła swoją ukochaną plażę, zabrałem leki, które w samobójstwie mogłyby mi pomóc. Miałem w głowie plan, jak to wszystko przeprowadzić.

Ta myśl cię przerażała czy przyniosła ulgę?

– Dopóki czegoś, zwłaszcza w sprawach ostatecznych, nie sprawdzimy, trudno znaleźć odpowiedź na takie pytanie. Chyba po ludzku boję się powiedzieć, że w ogóle mnie nie przerażała?

Odpowiem nieco ucieczkowo. Jestem zwolennikiem sytuacji, w której człowiek, o ile może mieć na to wpływ, odchodzi na własnych warunkach. Uważam też, że w pewnych sytuacjach dopuszczalne jest samobójstwo. I to honorowe, i to, gdy chce się umrzeć wraz z najbliższą sobie osobą. A być może przede wszystkim to, gdy jest się w sytuacji bez wyjścia – choroba postępuje, wiadomo, że czeka człowieka już jedynie coraz większe cierpienie, marzy się wyłącznie o natychmiastowym skróceniu bólu.

Skoło nie decydujemy o chwili własnych narodzin, to może chociaż moglibyśmy mieć wpływ na to, kiedy życie się skończy?

Ale nie wiem, co by się stało, gdyby Agnieszka powiedziała: „W porządku, jeśli chcesz, umrzyj ze mną”.

Powiedziała: „Nie”.

– I potwornie się na mnie wkurzyła. Nie tylko jako osoba wierząca, ale i ktoś, kto mnie kochał. Cały czas mówiła, że to idiotyczne, że przecież będę potrzebny dzieciom, że ona sobie tego nie życzy i że to ogromny grzech.

Miałem kontrargumenty. Na przykład, że – gdy chodzi o dzieci – to będą miały pozytywny wzór, rodzice tak bardzo się kochali, że postanowili odejść razem. Zresztą kilka lat temu oglądaliśmy wspólnie „Miłość” Hanekego, Agnieszka była pod ogromnym wrażeniem historii i zachowania głównego bohatera, męża, który postanowił skrócić cierpienia sparaliżowanej żony. Być może więc, gdybym bardzo chciał postawić na swoim, znalazłbym siłę i wystarczające powody, by uległa. Ale uznałem, że nie powinienem klócić się z żoną znajdującą się w bardzo złym stanie. Przyjąłem, że nie życzy sobie mojej śmierci u jej boku.

W książce piszesz jednak, że coraz częściej zastanawiałeś się, czy nie zabraknie ci odwagi, czy jednak coś cię od pomysłu na samobójstwo nie odwiedzie...

– Nie wiem, może myślałem, że Agnieszka nagle zmieni zdanie i powie „tak”? Co bym wtedy zrobił? Nigdy tego nie sprawdziłem. Wiem, że zabrzmi to być może dziwnie, ale w ostatnich dniach życia mojej żony nawet nie tyle nie miałem na to czasu i siły, ile po prostu chyba w ogóle takie rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy.

Te kilka dni przed śmiercią Agnieszki to było nieustanne zajmowanie się rozpoznawaniem jej stanu, pilnowanie, by cokolwiek zjadła i przyjęła lekarstwa, sprawdzanie, czy być może odzyskała przytomność i jest w stanie cokolwiek jeszcze powiedzieć...

Trud? Po prostu niełatwa fizyczna praca?

– Czas, w którym przy Agnieszce trzeba było być bez przerwy, nie trwał zbyt długo. Zaledwie kilka miesięcy. Nie mogę więc nawet porównywać się z tymi, którzy opiekują się bliskimi chorymi przez lata, których to męczy fizycznie – niezależnie od emocji, uczuć – w stopniu nieporównanie większym.

Ostatnie dwa miesiące były najtrudniejsze. Miała ogromne problemy z poruszaniem się, nosiłem ją. Morfinę zażywała ledwie 24 dni i do końca w małych dawkach. Nie doszła w chorobie i umieraniu do momentu, o którym słyszałem od wielu osób – do potrzeby zwiększenia dawek i częstotliwości przyjmowania morfiny. I ja nie znalazłem się w stanie permanentnego wyczerpania.

Agnieszka, zawsze szczupła, w czasie choroby zeszła do 42 kilogramów. Bez problemu brałem ją na ręce i mogłem wykonywać przy niej wszystkie czynności higieniczne. Ten ostatni czas bycia przy odchodzącej żonie nie był więc dla mnie fizycznie męczący. A problemy psychiczne dopiero się zaczynały.

Wiesz, do samego końca miałem nadzieję, że dostaniemy od losu nieco więcej czasu.

Chciałeś to jakoś zaczarować? Gdy na krótko przed śmiercią żony wpadłeś na pomysł, że pojedziecie we trójkę, z córką, kamperem na Sycylię, do mieszkania, które tam wcześniej – przed wznową choroby – kupiliście, na jej ukochaną plażę, zareagowała pozytywnie. Choć przecież ta podróż, w momencie gdy była już poddana opiece paliatywnej, była czymś szalonym...

– Liczyłem na kilka miesięcy. Na to, że Agnieszka dojdzie do momentu, w którym będzie ją można wozić wózkiem na plażę, zabierać na spacer. Pomyślałem, że na to się zanoszą, gdy odzyskała przytom-

ność po przyjeździe na Sycylię. A potem wszystko nagle podzieliło się nieprawdopodobnie szybko. Zabrakło nawet czasu, bym się zmęczył...

Pojechaliśmy kamperem, choć przecież musiała ją ta podróż bardzo boleć. Musiała cierpieć za każdym razem, gdy wjechaliśmy na nierówny odcinek drogi. Ale zgodziła się, bo myślała, że chciała za wszelką cenę opuścić nasze krakowskie mieszkanie, pokój, który nagle stał się całą przestrzenią jej życia. Nazywaliśmy go zresztą, trochę żartem, „pokojem śmierci”. Miała go dosyć.

Chciała pojechać na piękną plażę z dwiema skałami, które – jak mówiła – zawsze dają cię. Ale czy wiedziała, że tam umrze, czy chciała tam właśnie umrzeć? Tego nie wiem. Nie wiem, bo myśmy o tym nie rozmawiali. O tym, że nadchodzi koniec. Po pierwsze, była w nas nadzieja, po drugie, ja się bałem, a ona milczała.

Bardzo długo wierzyłem, że Agnieszka znajdzie się w tej grupie osób, które po wznowie będzie można poddawać dalszemu leczeniu i że dostaniemy jeszcze przynajmniej kilka wspólnych lat. Potem myślałem, że kilka miesięcy, później już miałem nadzieję na kilka tygodni...

Nie chciałem o tym rozmawiać, nie miałem odwagi, bo nagle zorientowałem się, że potwornie ją to wszystko przysiębia. Przez cztery lata choroby chętnie i kompetentnie rozmawiała o niej ze mną, odsyłała mnie do różnych źródeł, chciała, żebym miał pojęcie. Ale w pewnym momencie „puściła kierownicę” i przestała się tym już kompletnie interesować. Nie była zainteresowana ostatnimi wynikami. Chciała po prostu jak najszybciej wyjechać.

To było wtedy, gdy okazało się, że jest nie tylko wznową nowotworu piersi, ale i przerzut do mózgu?

– I kiedy po bardzo trudnej operacji głowy, której mogła nie przeżyć, a którą przeszła

bardzo dobrze, okazało się, że tego prze-rzutu już nie można dalej zalecać dotych-czasowymi środkami, ponieważ one zabija ją wcześniej.

Mieliśmy cały czas nadzieję, że po odsta-wieniu tej terapii Agnieszka jakoś odżyje. Tym bardziej że lekarze mówili nam, że jej silne osłabienie wynika właśnie z tego, że przyjmuje bardzo mocne środki. Potoczyło się to jednak inaczej... Nie było chyba mo-mentu, w którym oboje byliśmy w stanie stwierdzić, że czas odbyć tę najpoważniej-szą rozmowę. A gdy w końcu nadszedł, była już nieprzytomna.

Piszesz, że zmarła, gdy ją karmiłeś, mię-dzy jedną łyżką zupy a drugą.
– Najpierw niedowierzanie. Potem zupełnie idiotyczne myśli. Że to przeze mnie, że zro-bilem coś nie tak i ona się tą zupą udławiała. Bo jadła, jadła i nagle przestała.

Gdy próbowałem sobie później odtwo-rzyć te minuty, to przypomniało mi się, że chciałem koniecznie sprawdzić, czy bi-je jej serce. Przyłożyłem ucho, myślałem, że tak, aż w końcu dotarło do mnie, że to puls w moim uchu, w mojej głowie... Przy-szła potworna rozpacz, zacząłem strasz-nie płakać.

Nie wiem, ile to trwało. Po jakimś cza-sie, tak to teraz pamiętam, przyszła sycylijska sąsiadka, która nam pomagała w tych ostatnich dniach. Ale nie potrafię powie-dzieć, czy tak po prostu sprawdzić, czy wszystko dobrze, czy też słyszała, że płą-czę, wyję z rozpacz. W tym czasie na pew-no też zadzwoniłem do lekarki opiekującej się Agnieszką z prośbą, żeby przyjechała. Wyszła od nas kilka godzin wcześniej. Ale kompletnie straciłem rachubę czasu, oprzy-tomniałem dopiero następnego dnia, gdy jej ciało wyniesiono z naszego mieszkania.

Wszystko to był jakiś sen na jawie. Dzia-łałem jak robot, w głowie kłębiły się obsesyj-ne myśli – że nikt nie powinien jej dotykać, że sam ją umyję i ubiorę, że muszę wyrwać jej włos z brody, o co mnie niedługo przed śmiercią prosiła, a zwyczajnie zapomniałem.

Nocy po jej śmierci – gdy zostałem sam z jej ciałem, leżałem obok niego – nie pa-miętam w ogóle.

Czułeś złość, że to stało się z dala od domu, w miejscu, w którym – jeszcze nie tak dawno – planowaliście spędzić eme-ryturę?

– Nie. Chyba dobrze, że Agnieszka umarła właśnie tam, bo ja też nie lubilem naszego krakowskiego mieszkania, jej choroba spra-wiła, że przestałem czuć się w nim dobrze. Gdyby to się stało w Polsce, nad wszystkim bardzo szybko straciłbym kontrolę, każdy wiedziałby lepiej, co robić.

Spełniłem jej ostatnie życzenie, była na tej ukochanej plaży.

Jak długo byliście razem?

– 34 lata.

Szczęśliwie?

– Chwilami piekielnie trudne. Ostatnie dzie-sięć lat to był dobry czas. Ale wcześniej, zwłaszcza na przełomie wieków, nie byłem dobrym mężem – odchodziłem z domu, do-starczyłem Agnieszce wielu zgrzyot i trosk, miałem i mam z tego powodu ogromne po-czucie winy.

Być może także dlatego tak bardzo chciałem odejść razem z nią? Żeby poka-zać, że się zmieniłem i że jest dla mnie naj-ważniejsza?

Ale, jednocześnie, był to związek bardzo mocny. Przetrwaliśmy rzeczy, które innych pokiereszowały. Wiele razy oboje próbowa-liśmy zrozumieć, co takiego jest między na-mi, że trwamy przy sobie. Gdy Agnieszka zmarła, panicznie wręcz chciałem opisać, zrozumieć to, jaka była naprawdę. Zaczą-łem zbierać o niej różne informacje i uświa-domilem sobie, że wielu rzeczy o niej nie wiedziałem – zwłaszcza o ostatnich latach życia, gdy przyszła choroba.

Nie pytałem – ze strachu – co czuła pod-czas kolejnych etapów choroby, gdy zosta-wała sama w Krakowie, bo ja jeździłem do

redakcji w Warszawie. Nie rozmawiałem z nią o tym, że bardzo dużo się modliła. Ale, z drugiej strony, nie wiem, czy to cokolwiek by dało. Nieliczne wymiany zdań, jakie mie-liśmy na te tematy, sprowadzało się do jej krótkiego wyznania, że bardzo się boi.

Takich rozmów czy śmierci?

– Tego, co ją czeka. Wydaje mi się, że Agnieszka bardzo późno uświadomiła so-bie, że może chodzić o śmierć. Myślę, że trudna była dla niej niepewność, co jesz-cze będzie musiała znieść. Dopiero gdy zro-zumieliśmy, gdy dowiedziała się – choć nie wprost – że nic więcej nie da się już zrobić, zaczęła się chyba przygotowywać do śmier-ci. Mówię „chyba”, bo to była jej bardzo in-tymna sfera. Rozmawiałem później z jej spowiednikiem, z tego, co usłyszałem, wy-nikało, że głęboko wierzyła w to, że czeka ją przejście do innego wymiaru.

Ty w to wierzysz?

– Ta książka wzięła się i z tego, z krzysu wiary... Gdy Agnieszka zmarła, wierzyłem. Ale z czasem z przerażeniem zacząłem do-chodzić do wniosku, że jednak nie ma ni-czego potem. A to oznacza, że już się nigdy nie spotkamy.

Skoro tak, chciałbym ocalić cokolwiek. Oczywiście pojawiają się wciąż momen-ty chwilowej nadziei, że jednak coś za tą granicą życia jest. Wydaje mi się czasem, że Agnieszka skądś na mnie patrzy, przyglą-

■
*Nie wiem, co bym zrobił,
gdyby Agnieszka powiedziała:
„W porządku, jeśli chcesz,
umrzyj ze mną”*

da się, jak sobie radzę. Ale od dawna już gó-rę wziął pesymizm. Nasz wspólny czas się skończył. Czuję żal.

Sięgnąłeś po zdjęcia i to na ich pod-stawie odtwarzasz – na ile to możliwe – w „Dzbanku rozbitym” wasze wspól-ne życie.

– Bo ten żal, że nie ma już Agnieszki, stał się nie do zniesienia. Zacząłem pisać tę książkę w momencie całkowitej utraty wiary. I bycia złym na siebie, że – choć sobie obiecywałem – zarzuciłem prowadzenie dziennika w cza-sie, gdy chorowała. Ale nagle olśniło mnie, że przecież mam telefon, a w nim zapis na-szego życia, tych ostatnich lat. Wyjazdy, wy-niki badań, krajobrazy, wspólne i tylko jej zdjęcia. Nawet to, gdy leżała już w trumnie.

Te zdjęcia, często mało wyraźne, ro-bione w pośpiechu, uratowały mi pamięć. Opierając się na nich, przypominając sobie różne momenty, napisałem „Dzbanek roz-bity”. Ta książka rozgrywa się w trzech pla-nach. Pierwszy to widoczne z czasem zmi-ały w wyglądzie Agnieszki. Drugi to różne dokumenty medyczne, które fotografowa-łem, by mieć w telefonie pełną dokumenta-cję. Trzeci to wspomnienia naszych wyjaz-dów, w czasie których starał się udowodnić sobie, że właśnie przewałczyła cho-robę, skoro była w stanie na przykład dłu-go i samodzielnie maszerować przez Ta-try, zwłaszcza wtedy, gdy byłem już bardzo zmęczony.

Pisałem kolejne rozdziały, przygląda-jąc się fotografiom. Ryczałem. Ona na nich jeszcze żyje, coś mówi, jest wesola.

Niedawno patrzyłem na zdjęcie zro-bione pół roku przed jej śmiercią na Sycylii. Dotarło do mnie, że wyniki badań by-ły już wówczas bezlitosne, a my planowali-smy przyszłość.

Pisząc tę książkę, myślałeś w ogóle o tym, kto mógłby być jej adresatem?

– Nie byłem pewien, czy to nadaje do druku. A jeśli, to że trzeba chyba zaznaczyć,

że powstała z myślą o ludziach, którzy zna-leźli się w podobnej do mojej sytuacji, któ-rych bliscy chorują. „Dzbanek rozbity” opo-wiada o tym, czego mogą się spodziewać.

Nie chciałbym, by czytelnicy odbierali tę książkę jako wyłącznie pesymistyczną. Du-ży procent pacjentów radzi sobie z rakiem – nie ma wznowy, walczą przez wiele, wie-le lat, ale żyją. Szanse na przeżycie, dzięki współczesnej medycynie, są znacznie więk-sze – w prawie połowie przypadków można mówić o pełnym wyleczeniu. Zbyt rzadko się o tym mówi, zbyt rzadko o tym słyszy-my, ludzka natura każe nam interesować się tym, co nie ma szczęśliwego zakończe-nia. Wiadomość o śmierci zawsze znacznie lepiej się przebija.

Całą naszą nadzieję w przypadku Agnieszki opieraliśmy właśnie na wiedzy o takich przypadkach choroby, gdy pacjenci byli w stanie żyć jeszcze 10, 15, 20 lat...

Przez 3,5 roku byliście optymistami.

– Do tego czasu wyniki Agnieszki były re-welacyjne. Trudno więc się dziwić, że za-kładaliśmy najlepszy z możliwych scena-riusz. Wznowa i sytuacja, gdy po tomo-grafii, po miesięcznym bólu głowy, błyskawicznie zawieziono ją do szpitala na ope-rację mózgu, były wielkim szokiem. Choć chyba bardziej baliśmy się, że nie przeżyje tej ingerencji, niż tego, że może być już tyl-ko gorzej. Gdy wyszła ze szpitala, wciąż za-kładaliśmy optymistyczny scenariusz.



Ale wyniki kolejnych badań szybko spro-wadziły nas na ziemię.

Pisanie było elementem procesu prze-pracowywania żałoby?

– Z pewnością bardzo mi to pomogło. Nie-kóre rzeczy sprawiały mi radość – przypo-minanie sobie, czym Agnieszka się intere-sowała, co czytała. Gdy córka przesłała mi zdjęcie półki z jej starymi książkami, wró-ciły do mnie pierwsze chwile spędzone ra-zem, ten moment, gdy poznaliśmy się we Francji, rozmawialiśmy wtedy między inny-mi o literaturze.

Czułem, że choć przez chwilę jesteśmy jeszcze razem, że nasze wspólne życie choć w ten sposób ulega przedłużeniu. Wró-ciły do mnie wspomnienia, które na dłu-go uleciały, których nie byłem świadomy, gdy Agnieszka jeszcze żyła. Opowiedziałem o niej w tej książce dwadzieścia razy więcej, niż mówiłem znajomym przez lata.

Niestety, jest też w tej książce sporo o mnie, o tym, co przyszło mi przeżyć. Trud-no było w tak osobistej historii tego unik-nąć. Wciąż przechodzę żalobę, nie minął na-wet rok. Wciąż często dopada mnie smu-tek. Wiele czynników potrafi go wyzwolić, uruchomić – zasłyszane słowo, przedmiot, książka, film, konkretne miejsce, w którym byliśmy razem. Nagle cały świat, który mam dookoła, znika i zostaje zastąpiony tym, któ-ry bezpowrotnie przepadł.

Układał mam sobie życie na nowo, ale ten cień wciąż jest.

Gdy pytałem o zmęczenie, wspomnia-łeś, że fizycznie nawet nie zdążyłeś tego odczuć. A psychicznie? Piszesz, że wspólnie zaangażowaliście się w pomoc Ukraincom. Twoja żona – gdy miała jeszcze siłę – robiła dziesiątki kanapek, ty zawoziłeś je do centrów wsparcia. Ale w pewnym momencie ruszyłeś do Ukra-iny w konwoju z pomocą humanitarną. Potrzebowałeś choć chwili oddechu, dobrze rozumiesz?

– Bardziej oddechu niż ucieczki, bo prze-cież ja i tak z mieszkania, z „pokoju śmier-ci”, wychodziłem dość często, choćby na zakupy. To Agnieszka nie miała ruchu, zwłaszcza wtedy, gdy przestała móc cho-dzić. Nie była sama, przyjeżdżały dzieci, przyjaciółki, przychodził jej spowiednik. Nie wymagała wtedy jeszcze opieki 24 go-dziny na dobę, wyjechałem więc, by na mo-ment zmienić krajobraz, stanąć do pionu.

Ostatni wyjazd do Ukrainy skończył się jednak pod Krakowem. Było już źle, Agnieszka zaczęła przyjmować morfinę. Umówiliśmy się, że gdy będzie mnie po-trzebowała, da znać, wezwie mnie. I wróćę, gdziekolwiek bym był.

Wróciłem i byłem szczęśliwy, że mo-głem spełnić obietnicę.

Powiedziała wtedy, że jest pewna, że naprawdę ją kochasz.

– Tak.

Drugi raz spełniłem obietnicę, gdy do-wieźliśmy ją kamperem na Sycylię. Ale wte-dy byłem już zrozpaczony, popłakałem się za kierownicą, gdy dojeżdżaliśmy do na-szej części wyspy, dotarło chyba do mnie, że to droga w jedną stronę, że ilekolew by to potrwało, nie wróci już do domu, do Krako-wa, że tam się jej życie dopełni. I tylko ma-rzyłem, by ten stan opieki paliatywnej trwał jak najdłużej i by nie oznaczał potworne-go cierpienia.

Ale dostaliście tylko osiem dni...

– Lekarz, który opiekował się Agnieszką na Sycylii, powiedział na zakończenie wi-zyty tuż po naszym przyjeździe, że idzie na urlop i że widzimy się za dwa tygodnie. Nie spodziewałem się, że to skończy się lada moment. Tym bardziej że odzyskała przy-tomność. Gdy zaraz po dotarciu na miejsce pokazaliśmy jej ukochaną plażę, nie była świadoma. I nagle na jeden dzień przyszła znacząca poprawa, kojarzyła, gdzie jest, by-ła rozmowna. Kolejnego dnia planowałem, by zabrać ją na spacer, ale zaczął się koniec.

Byłem z tym zupełnie sam. Gdy lekarz powiedział: „Do zobaczenia za dwa tygo-dnie”, nasza córka, która pojechała na wy-spę z nami, wróciła na kilka dni do Polski. Po prostu wierzyliśmy, że Agnieszka jesz-cze długo będzie.

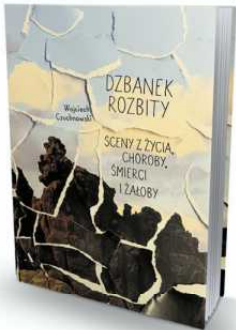
Mieszkanie na Sycylii, w dalszej per-spektywie dom, o którym myśleliście, to miało być wasze miejsce na ostatnią część życia. Porzucisz je?

– Nie, myślę, że już nigdy nie zrezygnuję z tej wyspy. To mieszkanka, w którym ode-szła Agnieszka, jest miejscem moim, moich bliskich, miejscem wspomnień. Nie boję się go, bardzo chciałbym tam zostać. Gdybym mógł pozwolić sobie na to finansowo, po-jechałbym i już nigdy nie wrócił. Tam czu-łem i wciąż czuję się najbardziej bezpiec-znie. Mogłbym tam umrzeć, to piękne miej-sce, by pożegnać się z tym światem. Ideal-ne wręcz.

Wojtek, a jakie jest życie bez Agnieszki? Albo życie po?

– Nie ma czegoś takiego jak życie bez Agnieszki. W moim nowym życiu ciągle jest miejsce dla niej i ona zawsze w nim bę-dzie. ●

„Dzbanek rozbity. Sceny z życia, choroby, śmierci i żałoby”, Wojciech Czuchnowski, wyd. Agora



Weekendówka
42



Autorem wielu haseł jest **Maciej Czarnecki**

GWIAZDY I PASY

Wprawdzie najważniejszy dzień dla Amerykanów to 4 lipca, kiedy za oceanem świętują Dzień Niepodległości – rocznicę ogłoszenia Deklaracji niepodległości USA od Wielkiej Brytanii (1776 r.), ale nie mniej istotną datą za oceanem jest 4 dzień marca.

To wówczas odbyło się pierwsze posiedzenie Kongresu Stanów Zjednoczonych (1789 r.). 4 marca był też bardzo długo, do 1933 roku datą zaprzysiężenia kolejnych prezydentów USA – tego dnia rozpoczęło urzędowanie 27 z nich, pierwszym był George Washington, który 4 marca 1793 roku złożył przysięgę w Federal Hall w Filadelfii rozpoczynając tym samym swoją drugą kadencję, a ostatnim Franklin Delano Roosevelt (1933 r.), jedyny człowiek, który rządził Ameryką dłużej niż przez dwie czteroletnie kadencje (wybierany na ten urząd czterokrotnie).

Rzecz jasna niemal równie często – 25-krotnie – tego dnia właśnie ustępujący prezydent składał urząd – chyba, że jego kadencję przerwała śmierć. Pierwszym, który tego dnia ustąpił był Washington, ostatnim Herbert Hoover (1933).

4 marca wreszcie to dzień uchwalenia Konstytucji Stanów Zjednoczonych, co nastąpiło w 1789 r. – zbieżność dat z pierwszym posiedzeniem Kongresu nie jest oczywiście przypadkowa. Przed Kongresem Stanów Zjednoczonych władzę sprawował tzw. Kongres Kontynental-

ny, zwołany dwukrotnie (1774 i 1775-89), w skład którego wchodziłi delegaci 13 kolonii brytyjskich, a od 1776, czyli od Deklaracji niepodległości, stanów. To Kongres Kontynentalny uchwalił tzw. „Artykuły Konfederacji”, regulujące zasady ustroju państwowego.

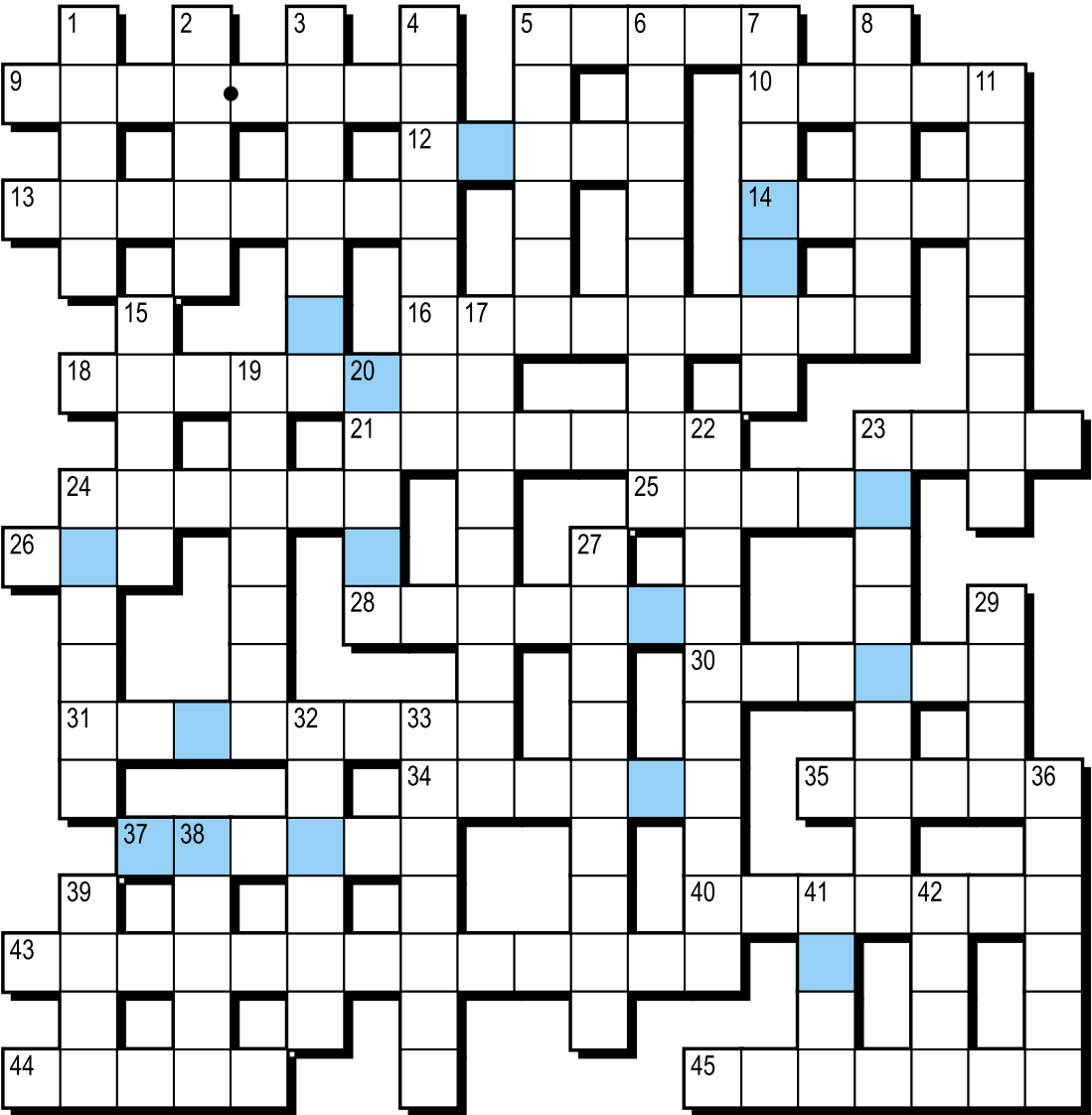
Nie rozwiązywały one jednak wszystkich problemów dopiero co niepodległej federacji (wojna z Brytyjczykami zakończyła się w 1783 roku), poza tym w Massachusetts wybuchła rebelia farmerów pod wodzą Daniela Shaysa, którzy protestowali przeciwko zbyt wysokim podatkom. Kongres Kontynentalny musiał działać i zreformować nieskuteczne artykuły. Tak doszło do inauguracji Kongresu USA i ustawy zasadniczej.

Projekt konstytucji opracował urodzony w Wirginii James Madison podczas tzw. Konwencji Filadelfijskiej. Została ogłoszona w 1787 roku, a weszła w życie dokładnie 234 lata temu.

Dlatego dzisiejsza „Weekendówka” jest w gwiazdy i pasy oraz jest poświęcona Stanom Zjedn. oczonym właśnie. A o pomoc w opracowaniu haseł poprosiliśmy Macieja Czarneckiego, dziennikarza działu Świat „Gazety Wyborczej”, który specjalizuje się właśnie w tematyce amerykańskiej (między innymi!).

A zatem „good luck!” drodzy Państwo! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 41 z 25.02:

Poziomo:

- 4) Mistrz 8) Brzezina 10) Kłos
11) Karol 12) Kierc 13) Seweryn
14) Wielki Tydzień 17) szable
19) małżonek 21) Suwałki 24) Welt
25) Opania 26) klasa 27) reżyser
30) tatarak 31) Emilia 33) Krajobraz
35) Alina 36) Korab 37) serial
38) Kronika

Pionowo:

- : 1) Kraków 2) Wesele 3) Pieczka
4) Makbet 5) sprzedaż 6) Ryłski
7) Lotna 9) Niwińska 10) Korczak
15) Iżewska 16) senator 18) Żłota
Palma 19) Mirosław Baka 20) Nina
21) Stokrotka 22) Zemsta
23) Panna 28) Żoliborz 29) Cezar
32) Kino 33) kraj 34) Adam

HASŁO: **PANNY Z WILKA**

STANY, STANY

Hasła Macieja Czarneckiego oznaczono inicjałami (MC). Liter y w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 5)** przy Union Square w Nowym Yorku, odlicza czas do katastrofy klimatycznej
9) miasto, które nigdy nie śpi (MC)
10) ... Winfrey, gwiazda TV
12) ... de la Hoya, słynny amerykański bokser meksykańskiego pochodzenia (MC)
13) siedziba Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych
14) ssak nazywany norką amerykańską
16) globalna sieć fast foodów
18) serial o rodzinie Carringtonów
21) właściciel gospodarstwa rolnego w Ameryce Północnej

23) Samuel kojarzony z rewolwerm bębenkowym popularnym na Dzikim Zachodzie

24) w wierzeniach Indian: tajemnicza siła przenikająca przyrodę

25) Vivien, zagrała Scarlett O'Hare w ekranizacji „Przeminęło z wiatrem”

26) ... Bon Jovi, rockman

28) Elvis urodzony w Tupelo

30) amerykańskie, kanadyjskie lub australijskie (MC)

31) między Kansas a Teksasem (MC)

34) Gary, zagrał w filmach „JFK”, „Air Force One”

35) ... o niepodległość, czyli rewolucja amerykańska (MC)

37) mroczny rycerz z Gotham City

40) Lyndon, 36. prezydent USA, lub Magic ..., legenda ligi NBA

43) kibicka z pomponami

44) porucznik Theo z serialu kryminalnego

45) prestiżowa uczelnia w Cambridge (stan Massachusetts)

Pionowo:

1) MLB – baseball, NHL – ?

2) szeryf ... Earp

3) jego gmach szturmowano 6 stycznia 2021 r. (MC)

4) konik Janet Yellen, sekretarz skarbu USA w rządzie Bidena (MC)

5) Dzikie ...

6) Paul Simon i Art ...

7) miasto w Nowym Meksyku znane wszystkim ufologom

8) wielki ... w latach 1929–33, rozpoczął się czarnym czwartkiem na amerykańskiej giełdzie

11) stolica Hawajów

15) Bob, zdobywca Oscara, Grammy i Literackiej Nagrody Nobla

17) przylądek na Florydzie, z kosmodromem NASA

19) ... Dream (MC)

20) Donald, pokonany przez Joe Bidena

22) Biały Dom

23) „azjatycka” część Manhattanu

24) Marilyn, zaśpiewała Kenneyemu „Happy Birthday”

27) agencja prasowa wyspecjalizowana w informacjach ekonomicznych, albo Mike, były burmistrz Nowego Jorku (MC)

29) gdy go grają, Amerykanie wstają z miejsc i kładą dłoń na sercu (MC)

32) Mark, zagrał Luke'a Skywalkera w „Gwiezdnym wojnach”

33) jeden z najstabilniej zaludnionych stanów USA, głównie pokryty prerią (MC)

36) imię gubernatora Kalifornii w latach 2003–11

38) Watergate

39) stan, który opisał J.D. Vance w książce „Elegia dla bidoków” (MC)

41) hippisowski musical z piosenką „Aquarius”

42) ... koncertowa Madison Square Garden

Leszek Rydz

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play